

ZBIGNIEW NIENACKI

**PAN SAMOCHODZIK I
SKARB ATANARYKA**

1993

TMN

* * *

...Zanim po swoim wuju odziedziczyłem niezwykley wehikuł, który spowodował, że zaczęto mnie nazywać Panem Samochodzikiem, studiowałem historię sztuki na jednym z naszych uniwersytetów. Już wówczas ujawniły się moje zdolności detektywistyczne, które sprawiły, że przeżyłem kilka niezwykle dramatycznych przygód i odzyskałem dla naszych muzeów bardzo cenne zabytki kultury. Miało to później decydujący wpływ na fakt, że gdy ukończyłem studia, natychmiast zatrudniono mnie w Ministerstwie Kultury i Sztuki jako swego rodzaju detektywa lub – wyrażając się inaczej – człowieka do specjalnych zadań. Owe zadania polegały na poszukiwaniu zaginionych podczas minionej wojny lub zrabowanych przez hitlerowców cennych polskich dzieł sztuki i kolekcji muzealnych, a także już później włączyłem się w walkę przeciw fałszerzom dzieł sztuki, nieuczciwym handlarzom antyków oraz złodziejom naszych zabytków kultury. Niektóre ciekawsze przygody z tych czasów opisałem w cyklu opowieści o Panu Samochodziku, a jest tych opowieści aż dwanaście.

Lecz czy dramatyczne historie z moich lat studenckich powinny być zapomniane tylko dlatego, że wówczas nie pracowałem w Ministerstwie i nie nazywano mnie Panem Samochodzikiem? Jakże ciekawa jest na przykład sprawa odnalezienia słynnego szczerozłotego skarbu króla Atanaryka, którą przeżyłem, gdy jako student brałem udział podczas wakacji w pracach na wykopaliskach we wsi Gąsiory? Wyobraźcie sobie ogromny skarb złotych przedmiotów, skarb bezcenny, który został odzyskany tylko dzięki ludzkiemu sprytowi i naukowej wiedzy. A ileż z odnalezieniem go wiązało się niezwykley przygód...

Zapewne trafi was pytanie: kim był król Atanaryk? Dlaczego właśnie we wsi Gąsiory w Polsce udało się odzyskać jego złoty skarb? Przecież król Atanaryk był Gotem, a co mogli robić Goci plemię skandynawskie – na polskich ziemiach przed prawie dwoma tysiącami lat, bo to z tamtych czasów pochodził ich złoty skarb. Na te pytania odpowie wam niniejsza opowieść.

* * *

Ojczyzną Gotów była południowa Skandynawia. W III wieku naszej ery założyli potężne państwo Ostrogotów i Wizygotów w południowo-wschodniej Europie. Od ciosów ich mieczy padły dwa wielkie miasta: Olbia, położona u ujścia Bohu i Dniepru, oraz Tyras, u ujścia

Dniestru. Pod wodzą Alaryka złupili Ateny, Korynt, Rzym. Na początku V wieku stali się panami Hiszpanii, a potem pod wodzą Teodoryka Wielkiego opanowali Italię. Dotąd prawie nikomu nie znane północne plemię germańskie szczękiem swego oręża nappełniło całą Europę, od stepów nadczarnomorskich aż po daleką Hiszpanię.

Jak się to stało, że w III wieku znaleźli się Goci nad Morzem Czarnym?

Napisano o Gotach setki rozpraw naukowych i powieści. Urzekła pisarzy historia pięknej gockiej królowej Amulusunty i jej zdegenerowanego syna Atalaryka, zachwycała postać wielkiego króla Gotów Teodoryka i jego mądrego ministra, Rzymianina Kassjodora. Ale choć poświęcono Gotom tyle książek, przecież nie odpowiedziano w żadnej z nich w sposób zdecydowany i wyczerpujący: którędy i kiedy wywędrowali Goci ze swej północnej ojczyzny.

Minister króla Teodoryka, mądry Kassjodor, w latach 526-533 napisał na rozkaz swego władcy „Historię Gotów”. Do naszych czasów dochowała się ona tylko w złym streszczeniu, sporządzonym w 551 roku przez Jordanesa, mnicha, Gota z pochodzenia, który – gdy Ostrogoci zeszli już z areny politycznej świata – zapragnął pamięć o nich ocalić na kartkach książki noszącej tytuł: „De origine actibusque Getarum”.

Opowiadał Jordanes, że pod wodzą króla Bericha odbili Goci od brzegów Skandynawii i na trzech jesionowych okrętach przepłynęli przez morze do miejsca, które przez nich nazwane zostało „Gothiscandza”. A było to nasze wybrzeże Bałtyku, bowiem Jordanes opisując dalej wędrówkę gockiego szczepu Gepidów, którzy opuścili kraj w kilkadziesiąt lat później w ślad za Gotami, mówi: „Ci więc Gepidzi tknięci zawiścią, przebywali w kraju Spesis na wyspie otoczonej wodami Wisły, którą w mowie ojczystej nazywali Gepedojos”.

Tylko kilka zdań w księdze Jordanesa – a ileż sporów naukowych i polemik! Gdyby pozwolić równocześnie przemówić wszystkim kłócącym się w tej sprawie, powstałaby wrzawa tak wielka, że zagłuszyłaby hałas wzlatającego w niebo odrzutowca. Ale krzyk ten ginie tłumiony stronicami grubych foliałów, szemrze cicho jak strumyk w murach pracowni historyków i archeologów. My, niefachowcy, musimy dobrze nadstawić ucha, aby choć cokolwiek usłyszeć...

Wywędrowali Goci ze swej ojczyzny prawdopodobnie na krótko przed początkiem lub na początku naszej ery. Czy można więc ufać Jordanesowi, który dopiero w sześć wieków później opowiada o tej wędrówce? – zastanawiają się historycy. I śmieją się z owych „trzech jesionowych okrętów”. Bo czy możliwe, aby plemię, które podbiło potem prawie cały świat antyczny, wyruszyło w bój tylko na trzech łódkach? I dochodzą do wniosku, że Jordanes przekazuje nam prastarą gocką legendę. Trzy jesionowe okręty mają symbolizować późniejszy podział Gotów na Ostrogotów, Wizygotów i Gepidów. Zastanawiają się uczeni: „A może legendą jest także historia pobytu Gotów u ujścia Wisły? Bo czy nie bliżej i łatwiej było im przemaszerować po Półwyspie Jutlandzkim, a potem wędrując wzdłuż Łaby i Dunaju zjawić się nad Morzem Czarnym?”

I wielu historyków powiada: „Nie, nie było nigdy Gotów na polskim Pomorzu”.

Jeśli zaś przyjąć, że wędrówka Gotów odbyła się tak, jak ją opisuje Jordanes, znowu zagrozi drogę mur pytań. Kogo spotkali Goci na Pomorzu? Czy natknęli się tu na plemię germańskich Burgundów – jak twierdzą niektórzy niemieccy naukowcy? A może wypadło im walczyć z plemionami Prasłowian pomorskich? Odnieśli nad nimi zwycięstwo czy też zostali pokonani? Jak długo przebywali na Pomorzu i kiedy stąd poszli na dalszą wędrówkę, która przyniosła im tyle sławy?

W spór historyków wmieszali się archeologowie. Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta – wydawało się, że archeologowie w sposób najbardziej zdecydowany rozwiążą zagadkę tak zwanej „sprawy gockiej”. Jeśli bowiem Goci rzeczywiście byli na Pomorzu, to przecież musieli pozostawić jakieś ślady.

...Są ślady. Wiele śladów. Zawitych, krętych, splątanych ze sobą jak tropy zwierząt w dzikiej puszczy leśnej. Który z nich jest tym poszukiwanym, tym najwłaściwszym, tym, co zawiedzie do celu? Archeologowie – „tropiciele historii” – kluczą pośród rozrzuconych na Pomorzu starych cmentarzysk, odnajdują gliniane naczynia, metalowe ozdoby, poznają materialną kulturę ludzi, co tu żyli przed wiekami. I jak w puszczy leśnej, gdy goniącemu po splątanych śladach nagle otwiera się przed oczami wypełniona słońcem przestrzeń wolna od drzew i wydaje mu się, że oto doznał do kresu lasów, tak i archeologom zdawało się nieraz, że już rozwikłali gocką zagadkę. Potem okazywało się, że była to tylko niewielka polana. A za nią jest znowu, gęsty, pełen zawitych tropów las.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

**PAWEŁ CHCE ZAPUŚCIĆ BRÓDKĘ • W POSZUKIWANIU „KRĘGÓW
MAGICZNYCH” • SPOTKANIE Z TEMATEM • ALFRED Z DOLINY •
STRASZNA HISTORIA DZIADA RZYNDY • ZŁOTY SKARB • SMUTNY
PRZYPADEK ŁOWCY RAKÓW • DZIWNE ŚWIATEŁKO • „PAWLE,
CZEMU MNIE PRZEŚLADUJESZ?”**

Zbliżały się wakacje – tym razem ostatnie w moim życiu, ponieważ ukończyłem wreszcie historię sztuki i nawet napisałem pracę magisterską. Jak zwykle podczas wakacji chciałem wziąć udział w ekspedycji archeologicznej, a potem przygody takiej wyprawy opisać w gazecie, gdzie jako dziennikarz dorabiałem sobie do skromnego stypendium.

Historyk sztuki nie zarabia w redakcji gazety zbyt wiele pieniędzy. Zazwyczaj pisze sprawozdania lub recenzje z wystaw artystycznych lub jakichś odkryć dzieł sztuki. Skromnie więc zarabiałem, uzupełniając swoje stypendium. Kogo obchodzą bowiem korespondencje z ekspedycji archeologicznych i to nie gdzieś za granicą, w Egipcie czy w Palmirze, ale z wykopalisk dokonywanych w Polsce? A jednak cieszyłem się, że z ramienia redakcji wyjadę do wsi Gąsiory.

Oczekujące mnie wakacje napełniały mnie więc radością. Jedyłą troskę stanowił mój młodszy brat Paweł, który właśnie zdał maturę, ale nie okazywał chęci do dalszego zdobywania wiedzy. Tak w ogóle był to młody człowiek dziwnie zgorzkniały i niechętny światu, o dziwacznych manierach i braku zainteresowania dla kogokolwiek poza własną osobą. Rodzice sądzili, że mogę mieć na niego dobry wpływ, zainteresować go czymkolwiek i uczynić wartościowym człowiekiem. Dlatego poprosili mnie, abym zabrał go ze sobą na planowaną wyprawę archeologiczną i poświęcił mu więcej uwagi. A właśnie w tym czasie pasjonowały mnie tajemnicze „kamienne kręgi” odnalezione na Pomorzu i chciałem swoim pragnieniem zbadania ich tajemnicy zarazić młodszego brata.

Powiedziałem do niego:

– Pawle, masz dopiero dziewiętnaście lat. Ale świat w twoich oczach wygląda jak stara i brudna ścierka. Czy naprawdę nie ma sprawy, która mogłaby cię szczerze zainteresować? Czy nic nie jest w stanie cię zachwycić, przerazić, wstrząsnąć, porwać?... W tym roku uzyskałeś maturę. Zdałeś ją z wynikiem przeciętnym. W ogóle wszystko w tobie jest przeciętne, letnie, nijakie. Próbowaleś zdać na uniwersytet i nie przyjęto cię. Okazało się, że nie masz żadnych szczególnych zainteresowań. Z równym niepowodzeniem mógłbyś studiować chemię, fizykę, matematykę, etnografię, medycynę czy archeologię. Rodzicom i mnie, bratu twemu, nie sprawiłeś nigdy żadnego kłopotu. Nie przysporzyłeś jednak i chwili dumy czy radości. Zaczynasz ziewać po piętnastu minutach czytania najciekawszej książki, ja ziewam po pięciu minutach twojego towarzystwa. Powiedz mi: co z ciebie wyrośnie? Wieje od ciebie szarością, pleśnią i stęchlizną jak od pustej beczki po kapuście. Błagam cię: zainteresuj się czymś i zacznij być człowiekiem, a nie próżnym śpiworem bez serca i bez duszy, nieciekawą powłoką kryjącą tylko kształt człowieka. I powiedz mi: co zamierzasz z sobą czynić, skoro jednak nie przyjęto cię na studia?

Paweł ziewnął.

– Tymczasem wyjadę z kumplami na wakacje nad morze. Wiesz, co postanowiłem? – ożywił się. – Zapuszczę sobie bródkę. Taką szwedzką bródkę, bo nie mam jeszcze zbyt gęstego zarostu.

Wyobraziłem sobie twarz Pawła okoloną kępkami młodzieńczego zarostu, rude, brzydkie wąsiki i nad nimi ogromny nos, świecący czerwono. Patrzyłem na wykrzywione nudą usta, małe śpiące oczka i ogarniało mnie uczucie ogromnego niesmaku, jakby w tym pokoju wraz z jego obecnością rozchodził się zniechęcony zapach gotowanych kalafiorów.

– Jesteś śmieszny – wyrzekłem.

Wzruszył ramionami. Mówił jakby od niechcienia, jak człowiek, który przeżył już wszystko i wszystko pozostało poza nim.

– Jeśli ja wydaję ci się śmieszny, cóż mogą powiedzieć ci, którzy patrzą na ciebie? Czym się teraz zajmujesz? Alchemią? Truciznami? Rolnictwem? A może zamierzasz hodować bawełnę albo szykujesz wyprawę po złote runo?

Mówił długo i zawile jak wszyscy w naszej rodzinie. Żałosny, smutny człowiek. Jakże wiele bym dał, aby uwolnić go od nudy i szarości jego własnej osoby, tchnąć ducha w tę glinianą figurę o dużym, czerwonym nosie i o policzkach, które obrosnąć miały niechlujną szwedzką bródką...

Zdjąłem ze stołu książki, rozłożyłem mapę Pomorza Wschodniego. Zazieleniła się duża plama Puszczy Tucholskiej, wąskie, długie jeziora Wyżyny Kaszubskiej spojrzały na nas jak szparki wielu niebieskich przymrużonych oczu.

– Popatrz, Pawle – zaostrzonym końcem ołówka dotknąłem czerwonej niteczki drogi, wijącej się wśród jezior. – Dwa lata temu wędrowałem tędy od Kartuz z archeologiem, doktorem Andrzejem K. Pomagałem mu szukać kamiennych „kręgów magicznych”.

Spod sterty książek wyciągnąłem teczkę z fotografiami i naprędce robionymi szkicami.

– Nie wyobrazasz sobie, jakie potężne wrażenie czyni widok kamiennego kręgu. Wchodzisz do lasu albo na wrzosowisko nad jeziorem i oto nagle natykasz się na kilka ogromnych kół utworzonych z podługowatych głazów. Pośrodku koła stoją zazwyczaj po trzy głazy, z których środkowy bywa wyższy od dwóch pozostałych. Te trzy głazy nazywają archeologowie „trylitami”, zaś te podługowate „stelarni”. Z obecnością kręgów związana jest trudna do rozwiązania zagadka. Prawdopodobnie twórcami ich byli Goci! Ale to długa historia...

– Błagam cię, nie rób mi wykładu – jęknął Paweł.

– Czy lubisz kryminalne powieści?

– Oczywiście. Byle nie polskich autorów.

– Niestety, to będzie „kryminał” polskiego autora.

* * *

Pamiętam, był właśnie początek września, wieczór, brnęliśmy z Andrzejem drogą od Kartuz.

Przemaszerowaliśmy chyba z piętnaście kilometrów na piechotę. Bolały mnie nogi, byłem głodny i zmęczony, ciążył mi plecak i połowa namiotu. Mijał ostatni dzień lata i ostatni dzień tegorocznej swobody, nazajutrz mieliśmy wsiąść w autobus i jechać do Gdańska, a stamtąd koleją do domu, do zwykłych zajęć.

Andrzej był archeologiem, a ja kończyłem historię sztuki.

Wędrowałem z Andrzejem już przeszło tydzień. Odnaleźliśmy jedno wczesnośredniowieczne grodzisko, które okazało się już kiedyś przez kogoś odkryte i wymienione w pracy naukowej, natrafiliśmy na kilka mogił „skrzynkowców”¹.

W napotkanej po drodze wsi Gąsiorzy postanowiliśmy zanoć. Czuliśmy się tak strudzeni, że nie chciało się nam rozbijać namiotu, ale wprosililiśmy się na nocleg do stodoły. Gospodarz, Kaszub, przyjął nas bardzo życzliwie i gościnnie. Opowiedzieliśmy mu, skąd i po co wędrujemy.

– Koła z kamieni? Mogiły usypane z kamienia z głazem na szczycie? Są, są u nas. Pięć kilometrów od wsi. Nad jeziorem.

Podziękowaliśmy za nocleg i choć noc się zbliżała, poszliśmy we wskazanym kierunku. Andrzej był niestrudzony, gdy tylko mały krok dzielił go od celu.

Weszliśmy w pustą, bezludną okolicę. Na jałowych kamienistych wzgórzach rósł wrzos i małe karłowate sosenki, piaszczysta droga prowadziła głębokim wąwozem pośród stromych zboczy. Na horyzoncie majaczyły lasy – skraj rozległej Puszczy Tucholskiej. Piękna malownicza okolica, teraz jednak kryjąca swoje piękno pod szarą zasłoną zmierzchu.

¹ Mogiły „skrzynkowców” – rodzaj grobów budowanych z płaskich płyt kamiennych, układanych w formie skrzyń. Taka budowa grobów charakteryzuje kulturę nazwaną przez historyków kulturą grobów skrzynkowych; powstała ona na początku epoki żelaznej (ok. 800 r. przed n. e.) na południowym wybrzeżu Bałtyku i stamtąd szerzyła się w kierunku południowo-wschodnim.

Nad jeziorem znajdowało się spore wzgórze i niewielki, rzadki las schodzący po stromym stoku pagórka aż do jeziora i do małego zamulonego strumyka. To tu, na wzgórzu i nad brzegiem strumyka, drzemało od wieków stare cmentarzysko. Pośród pni drzew wyrastały z ziemi podłużne głazy, jedne, jakby rozrzucone w chaosie bez ładu i składu, inne – ułożone w wielkie symetryczne koła otaczające trylity.

Noc uniemożliwiła dokładniejsze obejrzenie cmentarzyska. Rozbiliśmy namiot u ujścia rzeczki, nad brzegiem jeziora. Rozpaliliśmy ognisko, w sąsiedztwie wody odczuwało się bowiem chłód bliskiej jesieni.

Pamiętam dobrze tę chwilę. Oto przecież zbliżał się do mnie TEMAT. Tajemniczy, niejasny jak księżyc wiszący nad jeziorem, nakryty krągłą czapą żółtawej mgły. Dookoła nas trwała noc i zupełna cisza. Trzask palących się w ognisku sosnowych gałązek wydawał się bardzo głośny. O kilka kroków od nas spały kurhany i kręgi magiczne, smuga blasku ognia bezszelestnie płynęła po jeziorze gdzieś ku drugiemu brzegowi, ledwie rysującemu się w mroku. Widziałem twarz Andrzeja – szczupłą, pociągłą twarz, która w blasku ognia była prawie czerwona, czerwono mieniły się także jego jasne włosy. Pomyślałem, że jest zupełnie podobny do owych Gotów, którzy przed niespełna dwoma tysiącami lat siedzieli być może tu, w tym samym miejscu, u ogniska, i których ślady – te kręgi magiczne i kurhany – tak cierpliwie tropił. „Wszyscy mają białą cerę, jasne włosy i przyjemne oczy, a wysokiego są wzrostu” – pisał o Gotach Prokop z Cezarei².

Nagle struga blasku na jeziorze zadrgała, załamała się. Dopiero potem usłyszałem cichy plusk i zamajaczył kształt łodzi rybackiej. W milczeniu i bez ruchu oczekiwaliśmy przyjazdu gościa. Wyłuskał go z nocy blask naszego ogniska – jak chyba nikt inny pasował do kolorytu tej okolicy. Stary siedemdziesięcioletni rybak kaszubski, Alfred Rzynda, zwany wśród swoich Alfredem z Doliny.

* * *

Teraz, rozmawiając z Pawłem, wyobraziłem sobie, że jestem jednym z kapłanów gockich. Siedział przede mną młody, ale zupełnie znudzony człowiek, którego nic nie interesowało poza własną nieciekawą osobą.

Jak obudzić w nim życie i rozdmuchać pragnienie przygody?

Dla osiągnięcia tego celu wszystkie chwytły zostały mi dozwolone, mogłem zastosować wszelkie zabiegi magiczne.

Mówiłem szeptem. Tajemnica sznurowała mi usta:

– Jezioro, przy którym odnaleźliśmy z Andrzejem stare cmentarzysko i kręgi kamienne, nazywa się Długie. Ale Alfred z Doliny, czyli Rzynda, powiedział mi, że niekiedy zowią je Złotym. Przez wiele lat wśród Kaszubów zamieszkujących wieś Gąsiorzy krążyła legenda przekazywana z pokolenia na pokolenie, że kamienne kurhany nad jeziorem kryją złote

² Prokop z Cezarei (ok. 490-562) – historyk grecki. Opisał dwór cesarza bizantyńskiego Justyniana (ok. 483-565) i prowadzone przez niego wojny.

skarby. Byli nawet tacy, co przysięgali, że w noc Sobótki widzieli ogień płonące w kurhanach. Tak w legendach pali się złoto zakopane w ziemi. Opowiadał Alfred z Doliny, że jego dziad, rybak na jeziorze Długie, postanowił wydostać skarby z kurhanów. W noc św. Jana, w tajemnicy przed własną żoną i synami, zakradł się na cmentarzysko i wypatrzył, z którego kurhanu wydobywa się blask złota. Miał ze sobą łopatę i kurhan rozkopał. Znalazł w nim bogate naczynia z litego złota, klejnoty najszlachetniejsze. Pierwszy kur zapiał, gdy dziad Rzyndy przeniósł skarby do łodzi, żeby przewieźć je do swego domu. Ludzie mówią, że skarbami ukrytymi w kurhanach opiekują się siły nieczyste. Dziad Rzyndy przewrócił się z łodzią na jeziorze, skarby wpadły w głęboką toń. Rzynda próbował ratować wielką złotą misę, ale była tak ciężka, że jak kamień młyński pociągnęła go za sobą na dno jeziora. Skąpstwo nie pozwoliło Rzyndzie rozstać się z ciężką misą, nie wypuścił jej z ręki i wraz z nią zatonął. Odtąd nigdy już w żadną noc świętojańską nie pali się złoto na cmentarzysku. Nie ma już skarbów w kurhanach, wykraść je Ryndza i wraz z nimi spoczął głęboko pod wodą.

Paweł niespokojnie poruszył się na krześle. Na ustach miał sceptyczny uśmiezek, ale słowa jego biegły zbyt nerwowo i pośpiesznie. Nie potrafił zamaskować ciekawości.

– To oczywiście tylko legenda? Lipa? Prawda?

– Nie wiem...

Westchnął.

Czyżby mu żal było, że historię dziada Rzyndy należy włożyć między bajki?

Wyciągnąłem spośród książek fotografię uchatego kubka. Na odwrocie fotografii widniała metryczka:

ZBIORY MUZEUM ARCHEOLOGICZNEGO: ZŁOTY KUBEK, JEZIORO DŁUGIE NA POMORZU WSCHODNIM

– Odnaleziono ten kubek jeszcze przed wojną. Znalazca przekazał go do muzeum. Proszę cię, Pawle, zachowaj tę sprawę w ścisłej tajemnicy. Ludzie roznieśliliby kurhany w poszukiwaniu skarbów, uniemożliwiłoby to pracę naukowcom.

– I... i... – Paweł aż jąkał się z wrażenia – i nie znalazł żadnego innego złotego przedmiotu?

– Opowiadał mi stary Rzynda, że zaraz po wojnie pewien młody chłopak ze wsi przez całe lato łowił w jeziorze raki, które potem sprzedawał w mieście. Pewnego dnia okazało się, że chłopak ten, syn ubogiego rolnika, posiada bardzo dużo pieniędzy; kupił działkę ziemi nad jeziorem i duży dom tam stawia. Może dorobił się na połowie raków? Dom wymurował duży, ceglany. Ale rozpił się i umarł. Dom pozostał pusty i niszczy się, nikt ze wsi nie chce w nim zamieszkać. Tłumaczą, że nie wykończony, za bardzo na uboczu, z daleka od drogi i od wsi. Andrzej, który od trzech tygodni kieruje ekspedycją wykopaliskową na cmentarzysku w Gąsiorach, pisał mi w liście, że gdy nocą przechodził obok tego domu, w oknach zauważył

światło. Wszedł do wnętrza, ale napotkał tylko pustkę i ciemność. Światło zgasło albo było tylko złudzeniem...

– Hm... – chrząknął Paweł.

– Postanowiłem spróbować wyjaśnić zagadkę „złotego jeziora”. Jadę do ekspedycji Andrzeja. Jeśli chcesz, jedź razem ze mną. Zrezygnuj z brody, z kumpli, z morza... Andrzej przyjmie cię jako robotnika. Otrzymasz dniówkę za pracę przy wykopach. Popołudnia będziesz miał wolne, pomyszkujemy po okolicy.

– Phi, i tak mają wyglądać wakacje? Harówka na wykopach. Nie możesz mnie jakoś inaczej urządzać?

Rozgniewany pośpiesznie składałem wielką mapę Pomorza. Mój młodszy brat okazał się, jak na mój gust, człowiekiem zbyt wygodnym i pozbawionym wyobraźni. Było mi już wszystko jedno, czy zdecyduje się pojechać ze mną, czy też wybierze morze, kumpli i zapuszczenie bródki. Żałowałem tylko naszej matki, która tak mnie przecież prosiła: „Zabierz go ze sobą, oderwij od tych kolegów, zainteresuj go czymś, niech przestanie być taki wiecznie skrzywiony i znudzony, pamiętaj, że i ty, jako starszy brat, ponosisz za niego odpowiedzialność...”

– No co? Jedziesz ze mną? – zapytałem po raz ostatni.

Rozejrzał się po moim pokoju, jakby u kogoś niewidzialnego szukał pomocy czy ratunku.

– Jadę – burknął ponuro tonem człowieka wyświadczonego ogromną łaskę.

Wieczorem zobaczyłem Pawła w małej zadymionej kawiarni. Siedział w gromadzie podobnych do niego chłopców i dziewcząt, okupujących aż trzy stoliki. Chłopcy nosili małe, niechlujne bródki, a jeden bezwąsy palił ogromną fajkę. Czym prędzej ukryłem w kieszeni swoją ulubioną fajeczkę – nie chciałem, aby ktoś myślał, że należę do ich towarzystwa. Dziewczęta miały twarze aniołów, hałasowały jednak jak przekupki. Wszyscy oni najpierw bardzo długo i niemądrze mówili o samochodach, językiem, który wydał mi się podobny do mojej ojczystej mowy, ale był chyba jakąś jej dziwną odmianą. Potem nudzili się indywidualnie i zespołowo, a wreszcie poczęli przy stoliku bawić się w dziwną grę. Podrzucali do góry pudełeczko zapalek, z niezwykłym napięciem oczekując, na którą stronę upadnie. Trwało to bardzo długo. Tak długo, że opuścił mnie spokój i czmychnąłem z kawiarni.

Na ulicy dogonił mnie Paweł i jakiś młody wysoki człowiek w spodniach nabijanych gwoździami jak żołnierskie buty.

– Mój przyjaciel Kurza Rączka – przedstawił go Paweł.

– Pojutrze nasz wyjazd... – przypomniałem Pawłowi.

Kurza Rączka konfidencjonalnie uścisnął mą prawicę.

– Ach, to pan jesteś ten nadziany facet, co nam Pawła zabiera? Ma baciara fajnego braciachę. Poderwiemy go panu, koniec świata.

Spojrzałem surowo na swego brata. „Rzekł Pan: Pawle, Pawle, czemu mnie prześladujesz?”

ROZDZIAŁ DRUGI

**ŁAMIGŁÓWKA • CZY WOLNO UFAĆ ALFREDOWI Z DOLINY? •
KRNĄBRNI I STRONNICZY ŚWIADKOWIE • „KUSK ZA ZYMNO” •
„SKRZYNKOWCY” I „SZPILKOWCY” • KOŚĆ NIEZGODY • PIĘŚĆ
ZAMIAST ARGUMENTÓW • ZNOWU ZŁOTO...**

W pociągu do Gdańska i potem, w podróży autobusem do Kartuz, tłumaczyłem Pawłowi:

– Jeśli chcemy odnaleźć skarb, trzeba nam zastosować tę samą metodę, jaką posługują się oficerowie śledczy rozwiązujący zawile zagadki popełnionych przestępstw. Metoda ta wymaga dużego wysiłku umysłowego i wielkiej cierpliwości, żmudnego dociekania i mozolnego wiązania w jeden łańcuch poszczególnych ogniwi, zdarzeń i spraw. W dzieciństwie zabawiałeś się układaniem z klocków obrazkowej łamigłówki. Każdy klocek miał na sobie część dużego obrazu; trzeba było tak ułożyć te klocki, tak je dopasować, aby stworzyły całość, jeden wyraźny i całkowity obraz. Teraz będziemy musieli wykonać podobną pracę. Tylko niestety owe klocki są rozrzucone i ukryte – jeden tu, drugi tam. Należy je odnaleźć i zestawić ze sobą. Trudność jest w tym, że nie bardzo wiemy, gdzie leżą owe klocki. Nie wiadomo także, które zdarzenia i sprawy są z naszej łamigłówki, a które z innej, zupełnie nas nie interesującej...

– Czy nie prościej byłoby postarać się o aparaty do nurkowania i przepatrzeć dno jeziora?

– Jezioro, Pawle, jest rozległe i głębokie na czterdzieści metrów. Można w nim nurkować latami i nic nie znaleźć. Nie wiemy przecież, w jakim miejscu znajduje się ów skarb. Wydaje mi się, że od samego początku popełniasz zasadniczy błąd. Gdy kilka dni temu powtarzałem ci opowiadanie Alfreda z Doliny, uśmiechnąłeś się sceptycznie. „Lipa, legenda”. Teraz zaś traktujesz je jako rzeczywistość, jako autentyczną relację.

– Odnaleziono złoty kubek w jeziorze. Potem chłopak, który łowił raki, natrafił na złoto, sprzedał je i postawił sobie wspaniały dom. To wszystko potwierdza prawdziwość opowiadania Alfreda z Doliny.

– Okazuje się, że masz jednak odrobinę wyobraźni. Tylko nie wtedy, kiedy potrzeba. Na fotografii napisano ogólnikowo: „Jezioro Długie. Złoty kubek”. Na podstawie takiego uogólnienia można równie dobrze wnioskować, że kubek odnaleziono na piasku koło jeziora, jak i w wodzie blisko brzegu lub też wydobyto gdzieś z głębokości czterdziestu metrów. Znalazca, który kubek przekazał do muzeum, być może nie podał dokładnych okoliczności odnalezienia, a może po prostu nie zapisano ich na odwrocie zrobionej fotografii. Była wojna, część zbiorów Niemcy wywieźli i te bezpowrotnie zaginęły. Przepadł i ów kubek, bo był ze złota i stanowił łakomy kąsek. Dziś w zbiorach muzeum pozostała tylko fotografia ze skąpą metryczką... I druga sprawa. Chłopak, który łowił raki, nagle się wzbogacił. To przecież tylko opowiadanie Alfreda z Doliny. Ów chłopak chyba nie tylko zajmował się łowieniem raków? Pamiętaj, że było to wkrótce po wojnie, a w czasie wojny niektórzy ludzie w łatwy i niezbyt uczciwy sposób dochodzili do wielkich majątków. Alfred z Doliny, którego prześladowała legenda o jego dziadku, powiązał fakt nagłego wzbogacenia się chłopaka z jego zajęciem, łowieniem raków. My powinniśmy być ostrożniejsi w kojarzeniu tych bądź co bądź różnych spraw. I jeszcze jedno, drogi Pawle: Nie sugeruj się za bardzo opowiadaniem starego Alfreda. Wydał mi się on człowiekiem o dużej wyobraźni, powiedziałbym, wyobraźni literackiej. Kto wie, ile do tej historii dodał od siebie? Takie historyjki są jak kamienie rzucone na dno jeziora. W ciągu lat zaczynają obrastać...

– Czy nie możesz go dokładnie wypytać?

– Umarł przed pół rokiem. Miał siedemdziesiąt lat.

Nie ludiłem się, że odnajdę złoty skarb z jeziora Długie. W tej sprawie wszystko było niepewne, zagmatwane i wątpliwe. Nawet ów złoty kubek.

Kubek miał dość prosty kształt i nie nosił prawie żadnej ornamentacji. Najprawdopodobniej pochodził z IV – VI wieku. Andrzej jednak był zdania, że równie dobrze kubek ten mógł zostać wykonany w czasach daleko wcześniejszych albo i daleko późniejszych. Nie najważniejszym było, kiedy go wykonano – ale kiedy i w jakich okolicznościach znalazł się on nad jeziorem Długie. Czy skarb ten stanowił własność plemienia, które chowało swych zmarłych w kurhanach nad jeziorem? Andrzej twierdził, że kurhany te pochodzą z II wieku naszej ery, byłyby więc o wiele starsze od złotego kubka. Dlatego jak detektyw, który pragnąc rozwikłać zagadkę, stara się zapoznać ze środowiskiem, w jakim się ona zrodziła, musiałem najpierw poznać historię tej okolicy, wnikać w jej najstarsze dzieje.

Rosła więc na mym stole sterta książek – naukowych rozpraw z dziedziny archeologii i historii. Prowadziłem jakby najzwyczajniejsze śledztwo, tylko że w charakterze przesłuchiwanym stawały przede mną stulecia, książki, które mówiły o zamierzonych czasach...

Książki. Och, cóż to za krnąbrni i niesforni świadkowie. Zeznania jednego każą wątpić o zeznaniach drugiego, trzeci zaś przeczy dwóm pozostałym. Na stawiane im pytania nie chcą odpowiadać wprost, czasem długo i z ogromną odpowiedzialnością ważą każde słowo,

zastrzegając się: „być może”, „najprawdopodobniej”, „hipotetycznie”. Czasem znowu najśmielsze twierdzenia piętrzą się jak wysoki wieżowiec, który nie ma trwałych fundamentów i lada podmuch potrafi go obalić. Relacje stron wypowiedane są językiem trudnym i zawiłym; trzeba dużego wysiłku, żeby wysłuchać ich aż do końca.

Najgorzej jednak, kiedy w charakterze stron stają książki z różnych krajów. Tu można się zupełnie zgubić – komu zawierzyć, komu zaufać, jakim dowodom dać wiarę, jeśli każdy twierdzi inaczej i prawie każdy świadczy tylko na swoją korzyść?

Ale nie wolno się zrażać. Do trudnego języka łatwo przywyknąć, a w miarę zapoznawania się z całym materiałem coraz lepiej odróżnia się wywód fałszywy od wyводу prawdziwego. Obowiązuje tu zresztą stara zasada wszystkich detektywów – temu trzeba wierzyć, kto przedstawia najwięcej rzetelnych dowodów.

* * *

Prawie całą drogę Paweł narzekał, że nie zdążył pożegnać się z jakąś swoją „babką”. Od Kartuz umilkł – urzekły go uroki oglądanego z autobusu kaszubskiego krajobrazu. Dwie godziny wcześniej siedzieliśmy w modnej gdyńskiej kawiarni zdobnej w ultranowoczesne taszystowskie³ malunki. Autobus Gdańsk-Kartuzy-Bytów przeniósł nas nagle jakby do zupełnie innej krainy. Słyszeliśmy w autobusie dźwięczną, ładną mowę kaszubską. Kręcąc się z Andrzejem w tych okolicach wiedziałem już, że „tysek” to po kaszubsku pies, „węgle” – to węgle, „gorg” – garnek, „checz” – chata, „skorupczy” – to znaczy skorupy, „syczira” – to siekiera, „reczi – to raki, a „kusk za zymno” – znaczy „trochę za zimno”.

Od Kartuz szosa mknie zakrętami po stromiznach wzgórz, ujawniając całe piękno tej ziemi, która zyskała sobie nazwę Szwajcarii Kaszubskiej. Widać pagórki porośnięte lasem, wrzosami, kwitnące rdzawo dzikim szczawiem, w dole zaś odbijają niebo kręte a długie jeziora, związane niekiedy wąskimi przesmykami. Ziemia tu jest uboga – piasek, żwir, kamień. Trafiają się duże połacie pól „odpoczywających”, widomy ślad prymitywnej trójpolówki. Trzeba posiadać dużo tej jałowej ziemi, aby móc jako tako na niej wyżyć i gospodarować. Częściej niż duże wsie – tak charakterystyczne dla żyznych okolic – spotyka się tu małe sadyby złożone z dwóch, trzech zagród. Ludzi żyją w odosobnieniu, nieustannie zmagając się z nieżyczliwą przyrodą. Wydawali mi się jednak uczciwi i szlachetniejsi niż w innych okolicach Polski.

Odmienny krajobraz, odmienny dialekt kaszubski. Mimo szos i kolei żelaznych łączących Pomorze Wschodnie z resztą Polski, odczuwa się tu wyraźnie odrębność tego regionu, jego własny, niepowtarzalny koloryt.

...Archeologowie zauważają na podstawie wykopalisk, że już w V okresie epoki brązowej – to jest 900-700 lat przed naszą erą – następuje odrębny rozwój „grupy kaszubskiej”. Posiada

³ Taszym (z fran. tache – plama) – odmiana malarstwa abstrakcyjnego, występująca po 1950 r., polega ona na przypadkowym zestawieniu plam i smug farby.

ona pewne cechy wspólne z tak zwaną „kulturą łużycką”, uznawaną na ogół przez uczonych za prasłowiańską, ale odznacza się także szeregiem cech własnych, odrębnych, indywidualnych. Potem w ciągu wczesnego okresu żelaznego (w tzw. okresie halsztackim) – to jest 700-400 lat przed naszą erą – grupa kaszubska usamodzielnia się do tego stopnia, że otrzymuje nazwę „kultury pomorskiej”. Zachowuje ona wciąż pewne podobieństwa do kultury łużyckiej, ale jednocześnie ma tyle niepowtarzalnych cech własnych, że archeologowie skłonni byli widzieć w niej nową, specjalną kulturę, a ponieważ tworzyła się ona na Pomorzu, nazwali ją – kulturą pomorską.

Pod koniec okresu halsztackiego, gdzieś około V wieku przed naszą erą, następuje silna ekspansja kultury pomorskiej na pozostałe ziemie słowiańskie. Zalewa ona Wielkopolskę, północny skrawek Dolnego Śląska, Kujawy, ziemię chełmińską oraz część Mazowsza. Jedni naukowcy są zdania, że w tym czasie Pomorzanie zaczęli podbijać Polan, gdyż ludności kultury pomorskiej zbyt trudno było się wyżywić na mało urodzajnej Wyżynie Kaszubskiej. Inni skłonni są twierdzić, że rozprzestrzenianie się kultury pomorskiej nie świadczy wcale o podbojach Pomorzan, ale że było to rozprzestrzenianie się być może tylko mody, idei, stylu i wierzeń powstałych na Pomorzu. Bo jeśli na przykład za kilka tysięcy lat archeologowie odnajdą u nas francuski pantofel na szpilce, czy zaraz muszą stąd wyciągnąć wnioski, że w drugiej połowie XX wieku zostaliśmy zawojowani przez francuskich „szpilkowców”? Nie ludźmy się, że przed dwoma tysiącami lat było w tym względzie inaczej niż teraz. Moda od wieków jest tyranem, któremu ulegają i kobiety, i mężczyźni.

Niemieccy szowinistyczni uczeni, w ślad za swym teoretykiem Kossinną, przypisywali kulturę pomorską nie Słowianom, lecz jakimś bliżej nie określonym germańskim „Wandiliom”. A nawet Bastarnom, którzy – jak na złość – okazali się ludem nie germańskim, lecz celtyckim... W wędrówce kultury pomorskiej, w jej ekspansji widzieli oczywiście zwycięski najazd Germanów, którzy, gdziekolwiek stąpnęli, zawsze musieli zwyciężać i wszystkim sobie podporządkować.

O, to wcale nie błaża sprawa, czy na Pomorzu mieszkali ongiś Ostgermanie (Germanie wschodni) czy też słowiańscy Wenedzi. Teorię o Ostgermanach na Pomorzu wsparły potem hitlerowskie czołgi. Często bowiem tak bywa, że gdy ktoś nie ma racji i brakuje mu argumentów – wysuwa uzbrojoną pięść. Mapy archeologów niemieckich, na których zaznaczono na Pomorzu tereny osiedlone rzekomo przez Ostgermanów, posłużyły hitlerowcom do innych map. Napisano w nich „Ostdeutschland (Wschodnie Niemcy), a ludność kaszubską hurtem próbowano uznać za Niemców. Jeszcze i dziś – mimo głębokich i szczegółowych prac wielu naukowców polskich i zagranicznych – niektórzy zachodnioniemieccy uczeni pisząc o pradawnej ludności naszego Pomorza ani razu nie wspominają o żyjących tu ongiś słowiańskich Wenedach, zaś ujście Wisły to dla nich „niemieckie wybrzeże Bałtyku”.

Kość niezgody między uczonymi stanowiła odrębność Pomorza, różniąca je od pozostałych kultur uznawanych za prasłowiańskie. Pomorzanie dzieliły bowiem od słowiańskich pobratymców potężne bagna warciańsko-noteckie oraz Puszcza Tucholska. Ta naturalna bariera powodowała wyobcowanie się Pomorza z kręgu kulturowego, zwanego „łużyckim”. Z drugiej strony jednak obecność morza – którego w dawnych wiekach nie tylko nie uważano za przeszkodę komunikacyjną, ale za „pontos” (drogę), jak starożytni nazywali morze – ułatwiała Pomorzu kontakty ze Skandynawią zamieszkałą przez Germanów i poddawała je pod wpływ bardzo rozwiniętego germańskiego metalowego przemysłu.

Te wszystkie czynniki sprawiły, że powstała na Pomorzu specyficzna kultura – słowiańska, lecz nosząca w sobie elementy Germańskie. Obecność wpływów germańskich na Pomorzu jest wyraźna i nikt rozsądny nie zamierza dziś przeczyć jej istnieniu. Czas jednak chyba najwyższy, żeby i Niemcy odnieśli się do tej sprawy bez zwykłego u nich zacietrzewienia i odróżnili „wpływy germańskie” od kwestii zamieszkania Pomorza przez Pragermanów.

I bądź tu mądry wśród tylu poglądów, tylu sprzecznych ze sobą zdań. Czy nie miałem słuszności twierdząc, że detektyw-archeolog ma do czynienia ze świadkami krnąbrnymi i niekiedy bardzo stronniczymi?

* * *

Na przystanku autobusowym w Gąsiorach czekał Andrzej, zawiadomiony telegraficznie o terminie mojego przyjazdu.

Zaledwie wysiedliśmy, szepnął mi do ucha:

– A wiesz ty, co odnaleźliśmy w jednym z kurhanów?

– ???

– Kilkanaście ozdób z brązu. I... wisiołek ze złota. Z prawdziwego, pięknego złota.

Pomyślałem:

„A jednak omylił się stary Alfred z Doliny. W kurhanach pozostało złoto...”

Lecz jego legenda dobrze przysłużyła się naszej sprawie. Ci, co ją znali, wierzyli, że złoto z kurhanów zostało zabrane, i nikt nie szukał w nich skarbów. Dlatego kurhany przetrwały do nas nie wyrabowane.

ROZDZIAŁ TRZECI

**MARTWY DOM • NIESAMOWITE ŚWIATEŁKO • KOGO POCHOWANO
W KAMIENNYM KURHANIE? • ZNALEZISKA • Dyskusje •
„KURHANEK MARYLI” • ODKRYCIA W MARTWYM DOMU •
PAPIEROSY „SYRENA” I SZMINKA KOLORU CYKLAMEN • ZDUMIENIE**

Obudził mnie daleki grzmot nadciągającej burzy. W malutkim namiocie było duszno; czułem, że mam czoło wilgotne od potu. Rozsunąłem długi zatrzask i wypełniłem ze śpiwora. Zerknąłem na fosforyzujące wskazówki zegara – zbliżała się północ. Znowu usłyszałem głęboki grzmot i przypomniałem sobie, że burze bywają tutaj gwałtowne i długotrwałe – nad lustrem jeziora tworzy się jakby próżnia, do której ciągle powraca i kotłuje się nad okolicą.

Po omacku odnalazłem pudełko zapalek i papierosy. Zapaliłem, wdziałem długie gumowe buty i rozsznurowałem wyjście z namiotu. Ogarnął mnie duszny zapach lasu. Noce były tu dziwnie widne i jak na dłoni miałem przed sobą całe nasze obozowisko – szereg malutkich namiocików rozstawionych na skraju lasu, od jeziora aż po stok wzgórza, gdzie znajdowało się cmentarzysko. Nieco dalej, w głębi lasu, stał duży namiot gospodarczy, a obok śmiesznie przykleśnięty namiocik dwóch rybaków-turystów, którzy przyrośli do nas jak jemiola do drzewa. Byli to hałaśliwi młodzi ludzie, „Chudy Genek” i „Gnuśny Kazek”, właściciele dwóch motocykli, napędzających nasz cichy obóz palbą wybuchów i straszliwym jazgotem.

Teraz obóz trwał w ciszy. Chwilę stałem nieruchomo, wpatrując się w mrok zalegający cmentarzysko. Nie widziałem stąd kurhanów, powłoką z kamieni okrywających swą tajemnicę – szkielety ludzkie przyozdobione w brąz i złoto. Ciemność kryła także „magiczne kręgi”, w których, być może, przed niespełna dwoma tysiącami lat, pod okiem jednorękiego boga Tiusa palono ogniska i odbywano groźne „Thingy” – sądy żywych i umarłych.

Jezioro pachniało rybą i wodorostami. Woda była gładka, gęsta i czarna. Skądś z daleka, z drugiego brzegu dobiegało urywane naszczekiwanie psa. Drgnąłem zaskoczony błyskawicą,

która przemknęła nad horyzontem. Ale długo czekałem, zanim odezwał się grzmot. Burza przechodziła gdzieś bokiem.

Wtem zobaczyłem światełko. Małe, nieruchome światło. Błyszczało w tym samym miejscu, gdzie za dnia widziało się wyraźnie pusty, nie zamieszkanym dom „łowcy raków”. Świeciło się okno Martwego Domu – jak chyba nazwałby go autor powieści detektywistycznych.

Na palcach wbiegłem między namioty. W trzecim od jeziora spał Paweł. Obudził się natychmiast, gdy tylko nad jego głowę poskrobałem paznokciem płótno. A może jeszcze nie wcale nie zasnął? Była to przecież jego pierwsza w życiu noc w takim obozowisku.

– Chodź, Pawle. W Martwym Domu pali się światło...

Roześmiałem się, tak wydał mi się pocieszny. Rozczochrane włosy zjeżyły mu się nad czołem, zakrywając oczy, a spod nich wyglądał tylko wielki i jakby ogromnie zdumiony nos.

– Jutro, Pawle, wsiądziesz w kajak i dokładnie zbadasz Martwy Dom.

– Jutro? Ja to zaraz zrobię. Gdzie są wiosła? – i począł podwijać nogawki pidżamy.

Przeraziłem się:

– Nie, nie! Teraz nie!

– Boisz się? – zadrwił. – Jeśli się boisz, to ja sam tam popłynę.

– Nie boję się. Tylko...

– Tylko? – podchwycił.

– Nasz kajak ma dziurę.

– Dziurawy? Nie widziałem tam żadnej dziury, kiedy go montowaliśmy.

– A ja potem zauważyłem. Proszę cię, nie sprzeczasz się ze mną – rzekłem z gniewem.

– O, zgasło! – zawołał Paweł.

Drugi brzeg był już zupełnie ciemny. Martwy Dom zginął w mroku. Może ktoś zasłonił okno, a może zgasił światło i dom opuścił?

– Czy jesteś pewien, że tam nikt nie mieszka? – nie dowierzał Paweł.

– Jutro zreperuję kajak. Po południu, po pracy, popłyniesz tam i sam się przekonasz. Dom jest pusty, bez podłóg, bez futryn.

Kazałem mu iść spać. Jutro od rana czekała go przecież ciężka praca przy wykopach. Ociągając się poszedł wolno do swego namiotu, a ja – radośnie zacierając ręce – poczłapałem do siebie.

„No, dam ja mu babki i kumplów – rozmyślałem, zapinając śpiwór. – Nie zapaści brody, nie będzie się bisurmanił na sopockiej plaży. Zobaczy chłopak, jakiego ma braciachę. A swoją drogą, jak to dobrze się stało, że w nocy obudziły mnie grzmoty i wyszedłem z namiotu. Inaczej przegapiłbym tajemnicze światło w Martwym Domu. Martwy Dom, Martwy Dom” – powtarzałem w myślach. I było mi bardzo wesoło.

Nazajutrz przed południem Andrzej pokazał mi zabytki odnalezione w rozkopanym kurhanie.

W swym zeszycie sprawozdawczym zanotował:

„Była to duża, dobrze zachowana mogiła o średnicy przeszło 15 metrów i wysoka na około półtora metra. Na szczycie jej leżał podłużny głaz – stela.

Po zdjęciu wierzchniej warstwy ziemi ukazał się regularny stożkowy nasyp kamienny, dołem obwiedziony kręgiem z kamieni. Po zdjęciu kamieni – których ilość ocenić można na jakieś cztery wagony – zarysowała się nieco na północ od środka kurhanu, na ciemnym, jednolitym tle dawnej próchnicy, podłużna, jaśniejsza plama mająca kształt wanny. Plama ta, będąca jamą grobową, miała długości 3,75 metra, a szerokości – 2 metry. Po przekopaniu jej do głębokości 1,75 metra, od dawnej wierzchniej warstwy zobaczyliśmy szczątki szkieletu kobiecego, leżącego na prawym licu i wyposażonego bogato w rozmaite ozdoby.

Zwłoki, pochowane ongiś w ubraniu, złożone były na desce drewnianej i deską przykryte. Dochowały się duże kawały desek, a nawet szczątki ubrania w tych miejscach, gdzie stykało się ono z brązami i ulegało konserwującemu wpływowi śniedzi brązowej. Dotrwały także niektóre kości szkieletu – obojczyki, kości obu przedramion, część żeber, miednicy i goleni”.

Obejrzałem rysunki i zdjęcia odbite na powiększalniku, który Andrzej miał w namiocie gospodarczym.

Na przedramieniach szkieletu leżały bransolety brązowe. Na obojczykach znajdowały się dwie bliźniacze fibule, czyli agrafy z brązu, zdobione srebrnymi filigranami⁴ i przeznaczone zapewne do przytrzymywania spodniej szaty. Trzecia zapinka, odmiennej formy, umieszczona wraz z klamrą brązową na piersiach, służyła do spinania płaszcza.

Na szyi tkwiły paciorki szklane, wisiołek ze złota i klamry srebrne, tworzące części składowe naszyjnika. Na brzuchu znalazła się sprzączka brązowa od pasa, na czaszce leżała w kierunku poprzecznym duża szpila haczykowata, która była ongiś wpięta we włosy...

Położyłem sobie na dłoni złoty wisiołek, podniosłem go do oczu. Tak pięknej i misternej roboty nie powstydziliby się chyba żaden najslawniejszy średniowieczny złotnik.

– Jak sądzisz, ile lat liczy sobie ta ozdoba? – zapytałem Andrzeja.

– Około tysiąca ośmiuset. A może jest i odrobinę starsza.

Wisiołek miał kształt gruszki. Był w środku pusty i składał się z półkuli blaszanej i przylutowanego doń stożka z wgiętymi ścianami, zakończonego pięcioma kuleczkami. Górna część wisiorka upleciona została zwojami spiralnie skręconych drucików, zaś część dolna podzielona była na siedem pół trójkątnych. U góry wisiorka widniało uszko, przez które ongiś przewleczono sznureczek z nanizanymi paciorkami. Sznurek spinały dwie klamry brązowe, podobne kształtem do litery „S” i dlatego nazwane „esowate”

– Tysiąc osiemset lat... – mruknąłem ważąc w dłoni złoty wisiołek.

– Do tej pory znamy z naszego terenu zaledwie dwa egzemplarze podobnej ozdoby. Jeden odkopano w miejscowości Ciepłe w powiecie kwidzyńskim, a drugi odnalazł profesor Józef

⁴ Filigrany – delikatne, ażurowe wisiorki z drutu złotego lub srebrnego.

Kostrzewski w Odrach w powiecie chojnickim. Oglądałeś przecież cmentarzysko w Odrach. Tam są takie same jak tutaj kurhany kamienne ze stelami i kręgi magiczne”. Poza tym znaleziono identyczne wisiorki w Meklemburgii, na wyspie Bornholm, w Danii i przede wszystkim w południowej Szwecji. I ten wisiorek, i te wszystkie fibule, które odkopaliśmy w naszym gąsiorским kurhanie, mają swe odpowiedniki w Szwecji. Możesz się sam o tym przekonać. Mam tu książkę szwedzkiego uczonego Oskara Almgrena o chronologii fibul w północnej Europie. Znajdziesz tam rysunki fibul odnajdowanych na starych cmentarzyskach w Skandynawii. Porównasz je z tymi, które tu odkopaliśmy. Zobaczysz, że są identyczne. Bliźniacze.

– Innymi słowy: ta pani odkopana w Gąsiorach była Szwedką?

– Gotką.

– Czy to nie wszystko jedno?

– Nie wszystko. Pamiętasz, mówiłem ci kiedyś: protoplastami Szwedów są dwa ludy, Goci i Swijonowie. Ta odkopana przez nas pani była Gotką.

Chwyciłem Andrzeja za guzik od koszuli. Nabyłem ten gest od doktora Narkuskiego.

– Jak to jest? – powiedziałem próbując uśmiechnąć się słodko. – Jeśli w starym grobie odnajdzie się u nas na przykład jakąś germańską ozdobę, Niemcy krzyczą: „Germańskie wyposażenie grobu, to był Pragermanin”. Wy zaś mówicie: „Hola, panowie, zapominacie o czymś takim jak moda, wędrówka przedmiotów, import, handel. To był Słowianin, tylko że nosił importowane germańskie ozdoby”. Odnalazłeś teraz skandynawskie fibule i wisiorek, a wołasz: „To była Gotka ze Skandynawii”. Czemu tym razem zapominasz o wędrówce mody i wierzeń?

Andrzej miał głęboko osadzone niebieskie oczy. Kiedy był gniewny, oczy te jakby jeszcze głębiej się zapadały, malały i wkręcały się w przeciwnika jak dwa świderki.

– Tłumaczyłem ci już kiedyś – zawołał z gniewem – że nie wolno pochopnie wnioskować na podstawie jednego czy dwóch znalezionych przedmiotów. Potrzebny jest cały zespół zabytków. Ważny jest sposób i miejsce pochówku, ułożenie szkieletu, broń, ozdoby, ceramika. Powiedziałem „Gotka”, bo wszystko na tym cmentarzysku jest zrobione na sposób gocki. A każde znalezisko, każdy wisiorek i fibula to potwierdza.

Przerwał i pobiegł do swego namiotu. Wrócił z niedużą książką. Otworzył ją i zakrywając dłońmi drukowany tekst, wskazał mi fotografię.

– Co ci przypomina to zdjęcie?

Zobaczyłem najpierw mały i rzadki sosnowy lasek rozciągający się jakby na stoku wzgórza. Między drzewami tkwiły w ziemi podłużne, wysokie głazy – stele kamienne. Było to jakby zdjęcie fragmentu „magicznego kręgu” i kilku grobów płaskich, jakich pełno jest na naszym cmentarzysku.

– To chyba zdjęcie naszego cmentarzyska w Gąsiorach – bąknąłem niepewnie. – Co to za książka, Andrzej?

– Jest to praca hrabiego von Oxenstierny „Die Urheimat der Goten” (Kolebka Gotów). A to zdjęcie przedstawia cmentarzysko gockie w Vallox-Saby w południowej Skandynawii.

Milczałem skruszony. Dodał więc, żeby pogłębić mnie do końca:

– Nie wnioskuję na podstawie jednego wisiora czy fibuli. Ale przecież wszystko tutaj jest jakby gockie. Ten nasz pejzaż z tym wąskim jeziorkiem, kamieniste wzgórza porośnięte wrzosem, kurhany ze stelami, kręgi kamienne, wszystko do złudzenia przypomina południową Skandynawię. Bo powiadam ci, że właśnie stamtąd przybyli kiedyś ludzie, którzy pochowani zostali w tych kurhanach...

* * *

Agnieszce – jak ją nazwałem – przydzielił Andrzej do pracy największy kurhan na naszym cmentarzysku.

Kurhan Agnieszki nosił porządkową liczbę „trzyście” i miał 16 metrów szerokości. Brakowało na nim steli, a zamiast niej na szczycie widniał lej.

– Może to ślad po późniejszym wkopie? Może ten kurhan jest wyrabowany? – martwił się Andrzej.

Od jednej strony kurhan został jakby nadgryziony. Na wiosnę 1945 roku, w czasie ofensywy radziecko-polskiej na Pomorze, Niemcy umieścili tutaj stanowisko karabinu maszynowego. Kurhan znajdował się bowiem na szczycie wzgórza, roztaczał się stąd wspaniały widok na jezioro i na wzgórza sąsiedniego brzegu, skąd właśnie nadciągały radzieckie i polskie wojska. Drzewa na kurhanie wycięto i aż do południa operowało tu słońce. Podejrzewałem, że tylko dlatego Agnieszka chciała pracować przy trzynastym kurhanie... Jednocześnie mogła się opalać.

Kłopoty zaczęły się, gdy zdjęto wierzchnią warstwę ziemi i roślin. Ukazała się pod nią, rozrzucona przez niemieckich żołnierzy, niekształtna kupa kamieni. W żaden sposób nie można było odnaleźć kamiennego koliska, które zazwyczaj wyznaczało u podstawy cały kurhan.

– No, będziesz ty miała się z tą trzynastką – powiedział Andrzej.

Ale Agnieszka spokojnie zabrała się do pracy. Kucnęła na malutkim stołeczku i wystawiając do słońca obnażone plecy przenosiła na papier z podziałką milimetrową kształt każdego kamienia na kurhanie. Wszystkie warstwy kurhanu należało bowiem dokładnie przerysować; to z ich ułożenia odczytywano później jego dzieje.

Odwiedziłem Agnieszkę, choć rozmowy między nami nie zawsze przebiegały sympatycznie.

– Jesteś, Agnieszko, coraz piękniejsza – powiedziałem nieśmiało, sadowiac się obok niej na drugim stołeczku. Na szyi wisiała mi lornetka. Od czasu do czasu przykładałem ją do oczu, żeby śledzić ruchy dzikiego łabędzia pływającego na środku jeziora.

– Agnieszka? Dawniej nazywałeś mnie „Babie Lato”. Zdaje mi się, że nigdy nie pozbędziesz się manii „przezywania”.

– Określam ludzi imionami, na jakie moim zdaniem zasługują. Mój młodszy brat Paweł powinien mieć na imię „Karakalla”. Jest małoduszny.

– A jak nazwałbyś doktora Andrzeja?

– Jordan. Profesor Jordan. To nazwisko przypominałoby trochę mnicha z VI wieku, Jordanesa. Wyobraź sobie, jak by to dźwięcznie brzmiało: „Nie ulega wątpliwości, że ten kurhan stanowi mogiłę znakomitego gockiego wojownika – powiedział z powagą profesor Jordan”.

– Andrzej jest za młody, jak na takie godne imię.

– Dlatego nazywam go po prostu: Andrzej.

– Czemu ochrzciłeś mnie Agnieszką?

– Nie wiem...

Roześmiała się. Była to piękna dziewczyna o podłużnych i jakby nieco skośnych oczach. Gdy uśmiechała się, wszystko w niej jeszcze bardziej piękniało – patrząc na nią odczuwało się wielką radość. Zdarzało się jednak, że kłóciliśmy się o drobiazgi. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie to, że Babie Lato miała w swym charakterze coś despotycznego. Lubiła narzucać swą wolę i swoje zdanie; obcowanie z nią to była jakby ciągła wojna podjazdowa. Dlatego też właściwie nie cieszyłem się, że spotkałem ją w Gąsiorach. Nasza znajomość mogła się skończyć bowiem bardzo nieciekawie.

– Będę cię nazywał Marylą, Marylką – powiedziałem. – Pamiętasz Mickiewiczowski „Kurhanek Maryli?”

Co to za piękny kurhanek?

Spodem uwieńczon jak w wianek...

Marylo! o tej porze

Jeszcześmy się nie widzieli,

Jeszcześmy się nie ścisnęli.

Marylo! zaszło zorze!

– O nieprawda. Ta ballada nie ma nic wspólnego ani ze mną, ani z tobą. Proszę cię, nie nazywaj mnie Marylą. Już wolę być Agnieszką.

Taka była. Łatwo się złościła i gniewała. Ale jej złość i piękność, jej zalety i wady – były mi obojętne.

Z Martwego Domu Paweł wrócił przejęty dokonaniem odkryciem.

– Dom jest zupełnie nie zamieszany. Gołe mury z sufitami i dachem, okna zabite deskami. Oto co znalazłem na piętrze Martwego Domu.

Pokazał dwa munsztuki papierosowe przybrudzone szminką.

– Damskie papierosy „syrena” ze złotym ustnikiem i czerwonym śladem szminki. Kobieta była dzisiejszej nocy w Martwym Domu – rzekł drapiąc się w czubek świecącego nochała

– Dziewczęta z naszej ekspedycji nie palą papierosów – zastanawiałem się głośno. – Okolica bezludna, letników, zdaje się, nigdzie tu nie ma. Skąd się tam wzięła owa dama?

– I do tego o dwunastej w nocy – gorączkował się Paweł. – I zapewne była tam sama, bo żadnych innych śladów czy niedopałków nie zauważyłem. Zresztą, może te niedopałki pozostawiono kiedy indziej?

Wyjąłem z papeterii dużą kopertę i wrzuciłem do niej dwa munsztuki. Podpatrzonym u archeologów zwyczajem napisałem na kopercie metryczkę „znaleziska”: „Dwa niedopałki papierosów „syrena”, pobrudzone szminką koloru cyklamen. Znalezione dn. 20 czerwca w Martwym Domu”.

– Tak, Pawle – rzekłem z powagą. – Musisz dokładnie zbadać tę sprawę. Dziś w nocy trzeba obserwować, czy znowu nie pokaże się tajemnicze światło.

– Martwy Dom czyni bardzo ponure wrażenie. Pusty, wymarły, obrastają go jakieś dzikie krzewy i trawa do pasa

– Nie dostrzegłeś śladów przed domem?

– Trawa w żadnym miejscu nie wyglądała na zgniecioną.

– To dobrze. To nawet bardzo dobrze... – mruknąłem zagadkowo. – Munsztuki ze śladami szminki. Ha, to interesujące.

Paweł począł wciągać składak na brzeg, a ja chyłkiem udałem się w odwiedziny do Andrzeja.

– Przyszedłem ci podziękować – powiedziałem kucnąwszy u wejścia do namiotu.

Odłożył na bok czytaną gazetę.

– Podziękować? Za co?

– Wiesz przecież, za co.

Popatrzył na mnie niepewnie.

– A tak, tak. Wiem...

– Jeszcze raz ci dziękuję.

– Proszę cię uprzejmie – skinął mi grzecznie głową i znowu zabrał się do czytania gazety.

Byłem już o krok od swego namiotu, gdy Andrzej schwycił mnie za ramię.

– Doszedłem do przekonania, że jednak nie wiem, za co mi dziękowałeś.

– Pssst... Cichooo... – syknąłem.

Wciągnąłem go do siebie, starannie zamknąłem wejście.

– Dziękowałem ci, ponieważ poszedłeś w nocy świecić w tym pustym domu na drugim brzegu.

– Nigdzie nie byłem, nigdzie nie świeciłem!

– Nie? Przecież opowiedziałem ci wczoraj, jaki jest Paweł. Że chciałbym go tu przy sobie zatrzymać, ale muszę go czymś zaintrygować. Prosiłem cię, żebyś któreś nocy zapalił świeczkę w tym pustym domu.

– No tak. Ale to nie miało być zaraz wczoraj.

– A jednak wczoraj paliło się tam światło...

– Śniło ci się.

– Słowo honoru! Paweł też widział.

Andrzej wzruszył ramionami.

– Nic nie rozumiem. W każdym razie ja tam nie byłem.

– Nie byłeś? Nie świeciłeś?

Andrzej ciężko westchnął:

– Tomaszu, czemu nie zajmujesz się Gotami?

O dwunastej w nocy skuleni w składaku wypatrywaliśmy z Pawłem pojawienia się światła w Martwym Domu. Czekaliśmy do pierwszej. Bezskutecznie.

Paweł ziewnął:

– Zdradź mi, Tomaszu, dlaczego wymyśliłeś tę historię z dziurą w kajaku? Dokładnie obejrzałem twój składak. Nie było w nim dziury. Przyznaj, bałeś się jechać w nocy do Martwego Domu?

– A dlaczego dziś jestem gotów tam pojechać?

– Nie wiem. Jesteś dziwny...

– Dziwny? – wybuchnąłem gniewem. – Wariat jestem! Wariat, rozumiesz?

– Ba, o tym wie cała nasza rodzina. Tylko ty jeden żyłeś dotąd w słodkiej nieświadomości – ucieszył się Paweł.

ROZDZIAŁ CZWARTY

PAN FRANCISZEK • CZY DUCH UKRADŁ FIGUS? • „MIAŁA KROWA ROGI” • ALFRED Z DOLINY JEST NIESAMOWITY • BEZLUDNA WYSPA • DZIWNY LIST • PRZEŚLADOWANA KRYSTYNA • NA PASTWIE CZERWONYCH MRÓWEK

Ozdobą naszej ekspedycji archeologicznej był siedemdziesięcioletni kucharz, pan Franciszek. Średniego wzrostu, siwiutki, z młodymi wesołymi oczami, zawsze miał dla każdego przyjemne słowo i smaczny kąsek. O szóstej rano bił pałką w żelazną patelnię, a gdy te okropne dźwięki nie zdołały przerwać naszego snu, chodził od namiotu do namiotu, zaglądał w okienka i wołał przeciągle: „Panoowowie...” Płeć piękna budziła się sama. „Od cichutkiego trzasku gałązki” – jak twierdziła Agnieszka.

Ogromnie lubiliśmy pana Franciszka. Kucharzył na wielu naukowych ekspedycjach, niejednemu poważnemu już dziś archeologowi jego dobroć łagodziła przed laty pierwsze zetknięcie się z surowymi i prymitywnymi warunkami życia na wykopaliskach.

Zdarzały się jednak chwile, gdy pan Franciszek przestawał się uśmiechać. Nawiedzały go „złe dni”. Nocami postękiwał, budząc cały obóz. Był marudny, narzekał, trząsał siwą głową i powtarzał: „Po co ruszać tych biednych nieboszczyków? Nawet po śmierci spokoju nie zaznają”.

Tuż przed pierwszą wojną światową pan Franciszek sprzedał jakiś skrawek ziemi w powiecie sieradzkim i wybudował mały jednorodzinny domek. Potem wzięto Franciszka do wojska. Wojna zniszczyła domek, Franciszek wrócił na ruinę. Spróbował pracy przy wykopach archeologicznych, a że okazał się pojętniejszy od innych, jeden z naszych sławnych archeologów zaproponował mu posadę woźnego w muzeum. Dwadzieścia lat między wojnami Franciszek doglądał eksponatów muzealnych, latem zaś kucharzył na ekspedycjach. Ciął grosz do grosza i przed samą wojną znowu wybudował sobie malutki domeczek, i znowu druga wojna światowa oddała mu gruzy. Tym razem w gruzach legły nie tylko oszczędności Franciszka, ale także jego żona i syn.

Po wyzwoleniu wrócił Franciszek do pracy w muzeum. Wkrótce awansował. Został preparatorem zabytków ceramicznych. Żył samotnie i bardzo skromnie, ciułał grosz do grosza. Może po raz trzeci zamyślał o budowaniu domku?

Od nowego roku miał iść na emeryturę. Bał się tej chwili – skazywała go na zupełną samotność. Lubił lato i wyjazdy na wykopaliska – wówczas to gromada studentów i naukowców stawała się jakby jego wielką rodziną. Starość nie tak mocno dawała się we znaki.

Jedliśmy obiad pod gołym niebem, na stole zbitym z heblowanych desek. Stół otaczały ławki z pni brzoźowych. Obok znajdowała się uwita z gałęzi szopa z żelazną kuchenką i skrzyniami, w których mieściły się produkty i naczynia kuchenne. Opróżniając blaszane miseczki z jedzeniem rozprawialiśmy o dziwnym zdarzeniu: dzisiejszej nocy okradzione starą Rzyndową, siostrę Alfreda z Doliny. Złodziej wszedł w nocy do jej mieszkania i ukraść... figus!

– To duch nawiedził Rzyndową – stwierdził Franciszek. – O pierwszej w nocy cichcem otworzył okno do jej izby i wkraść się do środka. Na podwórzu strasznie pies szczekał, więc starucha się przebudziła. Podniosła straszny lament. I duch zniknął. Tyle tylko, że figus jej ukraść.

– Figus? – zdziwiła się Agnieszka.

– No tak. Figus. Najprawdziwszy przytaknął Andrzej.

– Figus? – znowu zdziwiła się Agnieszka.

– A tak.

– A na co duchowi figus?

Franciszek wzruszył ramionami.

– Już tam widać na coś mu potrzebny.

– Figus? – zapytałem. – Taka doniczkowa roślina?

– Figus. Figus?

– A tak, tak...

Zdawało się, że ten bezsensowny dialog nie będzie miał końca. Przerwał go Andrzej:

– Pan Franciszek coraz bardziej skłania się ku idealizmowi. Lecz co najgorsze, udziela się to i naszym robotnikom. Oni również opowiadali mi, że Alfred z Doliny, a raczej jego duch, zjawił się u Rzyndowej i zabrał jej figus.

Franciszek uroczyście podniósł do góry dwa palce.

– Słyszałem o tym wprost od Rzyndowej. Przyniosła nam na obiad marchew ze swojego ogródka i opowiadała o duchu Alfreda.

– Co opowiadała?

Franciszek jakby zakłopotał się.

– Stary Rzynda lubił ponoć figusy. I z grobu się po nie wrócił.

Uczułem pod stołem delikatne kopnięcie. To Paweł poufnie odwoływał mnie od stołu.

Podziękowałem i pośpieszyłem do swego namiotu. Za chwilę wsunął się Paweł.

– Słuchaj, bracie, a może ta historia ma coś wspólnego z nocnymi światłami w Martwym Domu?

– Oczywiście, że ma coś wspólnego – powiedziałem z głębokim przekonaniem. – Figus, w tym sęk.

Odszedł zamyślony, drapiąc się w wielki nos.

– No, teraz przez dwa dni będę miał z nim spokój – westchnąłem z ulgą.

Obiad następował zaraz po zakończeniu prac na wykopach. Teraz nadszedł czas wypoczynku. Wczesna pobudka dawała się we znaki, czułem się bardzo senny. Świeciło piękne czerwcowe słońce, pod brezentem namiotu dusiło od upału. Mimo to położyłem się na ściworze, próbując zasnąć.

Namiot stał cztery kroki od jeziora. Na brzegu mył się po pracy najstarszy z naszych robotników, Pobłocki. Najpierw bardzo głośno parsknął, pluskał, a potem zaczął fałszywie podśpiewywać. Piosenka wydawała mi się bezsensowna.

*Miała krowa roooogi,
ale to nie były rooogi,
tylko pieeeerooogi.*

Kiedy Pobłocki dobrnął do ogona – „Miała krowa ogon, ale to nie był ogon, tylko kropidło” – wylazłem z namiotu.

– Nie boi się pan duchów, panie Pobłocki?

Był tak zaskoczony, że aż opuścił do wody nogę i zamoczył mankiety spodni.

– Że co, proszę pana?

– A tak tylko pytam. O Alfreda z Doliny.

– On już nie żyje, proszę pana.

– Wiem o tym. Pamiętam, jak nocowałem tutaj pierwszy raz z doktorem Andrzejem. Rozpaliliśmy ognisko na brzegu jeziora, o właśnie w tym samym miejscu, gdzie się pan teraz myje. I nagle z mgły na jeziorze wyłonił się Alfred z Doliny. Jeszcze był wtedy żywy – dodałem.

Pobłocki pośpiesznie wyjął z wody zmoczone nogawice. Nadział buty, naciągnął czapkę na oczy.

– Ja wiedziałem, że to się tak skończy mruknął i ruszył w stronę drogi do wioski.

Schwyciłem go za ramię.

– Co się stało? Mów pan, panie Pobłocki.

Machnął ręką. Z rezygnacją przekreślił czapkę, aż daszek zsunął się mu na ucho.

– Ja, panie, mam tyle lat, co Alfred z Doliny. Do szkoły żeśmy z nim razem chodzili. Ja go dobrze znałem, panie. On był niesamowity. Żadna dziewczyna za niego za męża nie chciała wyjść. Dlatego i starym kawalerem został. A ta jego siostra, stara Rzyndowa? Myślisz pan, że to nie czarownica? Tyż stara panna. Czy to możliwe, panie, żeby człowiek zdrowy na umyśle zaniedbał takie piękne gospodarstwo, jakie mają Rzyndowie, tyle ziemi zostawił odłogiem i tylko łódeczką po jeziorze fruwał, skarbów w wodzie szukał? A jak wracał z jeziora, to myślisz pan, że brał się za jakąś uczciwą robotę? Gdzie tam. Figusy swoje podlewał, chodził koło nich jak kura koło piskląt. Mówiłem mu nieraz: „Ty, Alfred, popatrz na swoją gospodarke. W ruinę wszystko idzie”. To tylko się ośmiał: „Ja takich gospodarek mogę i sto kupić, jak zechcę”. A bida u niego była, aż piszczało. Umarł wreszcie. No i co? Upiorem się stał, nawet w grobie mu te figusy spać nie dają. Przyszedł nocą do swojej siostry i jednego figusa zabrał. Zobacz pan, przyjdzie po resztę. Wasz pan Franciszek też tak mówi.

– Dużo zostało tych figusów?

– Wszystkiego miał trzy. Jednego zabrał, to znaczy się dwa zostały.

Podeszła do nas Agnieszka. Pobłocki skorzystał z okazji i czmychnął w las. Nie zatrzymywałem go – cel został przecież osiągnięty. Śpiewać przestał, będę mógł teraz spokojnie drzeć.

– Najlepiej się opałać na wodzie – powiedziała Agnieszka.

– Tak, tak, zapewne... – zatoczyłem szeroko ręką, ukazując nasze wielkie jezioro.

Agnieszka coś powiedziała, ale słów nie usłyszałem. Widziałem tylko drganie jej ust. Rozległ się taki ogromny hałas, że z gałęzi sosen posypały się suche szyszki i igliwie. Dwa motocykle poczęły jednocześnie wybuchać, łomotać, strzelać, grzmieć, parskać. W tym nieustannym jazgocie rozmawiać można było jedynie na migi. Widziałem, jak ze swego namiociku wyskoczył Andrzej i grożąc pięścią biegł szybko w stronę motocykli. Krzątająca się koło kuchni Zosia, studentka po drugim roku archeologii, modlitewnie wzniosła ręce do góry, prosząc o zmiłowanie.

Raptem nastąpiła cisza. Wielka, potężna cisza. Przygniotła nas bardziej niż hałas.

– Na litość boską, panowie, trochę ciszej. Moi ludzie są zmęczeni robotą, odpoczywają – wołał Andrzej.

Chudy Genek rozkraczył się na swojej maszynie i bezradnie rozłożył ręce.

– My tylko po papierosiki jedziemy, panie profesorze...

Chudy Genek zatoczył między drzewami wielkie koło i o mało nie najechał na Agnieszkę. To były jego zaloty.

Zatrąbił głośnie trzy razy.

– Ledwo pan do nas przyjechał, a już babeczkę podrywa... – popatrzył na mnie ironicznie i ruszył „z kopyta” owiewając nas nieprzyjemnym, smrodliwym zapachem benzynowych spalin.

– Obiecałeś powozić mnie kajakiem po jeziorze – zauważyła Agnieszka.

Ściągnąłem kajak na wodę, chwyciłem wiosło. Dopiero kilkanaście metrów od brzegu przypomniałem sobie, że nikomu żadnych obietnic nie dawałem. Tym bardziej Agnieszce.

Usadowiła się na przodzie składaka, kazała jechać wprost w słońce. Palcami muskała wodę, śmiała się, gdy drobniutkie fale rozbijały się o dziób, pryskając małymi, rzadkimi kroplami.

Na środku jeziora musnął mi twarz lekki wiatr. Począł nas delikatnie spychać w stronę małej wyspy. Brzegi jeziora wydawały się bardzo dalekie; w silnym słońcu zieleń lasu była czarna jak powierzchnia jeziora i tylko duża połać wrzosowisk koło Martwego Domu robiła wrażenie czerwonej.

– Powiedz coś – rzekła Agnieszka.

Uderzyłem wiosłem o powierzchnię wody. Agnieszka pisnęła, jak ukłuta. Była w kostiumie kąpielowym, miała opalone, brązowe plecy i krople wody zalśniły na nich jak rybie łuski.

– Albo nie. To ty zapytaj mnie o coś – powiedziała pojednawczo.

– Powiedz mi, co nastąpiło na Pomorzu po kulturze pomorskiej.

Obróciła się do mnie tak gwałtownie, że o mało nie przewróciła kajaka.

– Nie sądziłam, że aż tak mnie nie cierpisz..

– Ależ ta sprawa naprawdę bardzo mnie interesuje. Przysięgam! Ciągłe podejrzewasz mnie o jakieś złośliwości. Jesteś przewrażliwiona.

Ułożyła się wygodniej w kajaku, poddała twarz słońcu. Wydawało się jej, że robi mi na złość, jeśli będzie opowiadała głosem nudnym, monotonnym.

– Wkrótce po upadku kultury pomorskiej pojawia się na naszych ziemiach tak zwana „kultura grobów jamowych”. Jest to już okres zwany „późnolateńskim” albo, jak uważają inni uczeni „okres przedrzymski”, przypadający na ostatnie 100 lat przed naszą erą. W ramach kultury grobów jamowych znowu istnieją jakby dwie różniące się od siebie grupy: na południu Polski – „grupa przeworska”, której nazwa pochodzi od bardzo dobrze zbadanego cmentarzyska w Przeworsku w powiecie jarosławskim, i druga grupa „oksywska”, na Pomorzu, nazwana tak od ciekawego cmentarzyska w Oksywiu w powiecie pomorskim.

Cechą charakterystyczną tej kultury jest rozpowszechniony w tym czasie zwyczaj chowania zmarłych w jamach, do których kładziono popielnicę z prochami zmarłego i obsypywano ją resztkami stosu. Niekiedy groby z tych czasów nie mają zupełnie popielnic. Resztki stosu ze spalonymi szczątkami nieboszczyka zsypywano wprost do jamy, pokrywając ją potem ziemią.

– A skąd do nas przybył ten nowy obyczaj? – dopytywałem się żarliwie.

Tym razem naprawdę się rozgniewała.

– Dosyć! Dosyć! Dosyć! – wołała z gniewem, bijąc rękami po powierzchni jeziora i oblewając mnie strumieniami wody. – Jeśli cię interesuje archeologia, wstąp na studia. Ale ty jesteś leniuch i nieuk.

Miałem mokrą twarz i przemoczoną koszulę. Na szczęście blisko był brzeg wysepki. Wyskoczyłem na ląd.

Wysepka przypomniała swym kształtem duży damski pantofel. Podługowaty cypel, miejscami piaszczysty, tu i ówdzie zarosły ostrą trawą, stanowił jakby cienki obcas. Znajdowały się na nim gniazda dzikich kaczek, a na końcu mieściło się wielkie jak koło młyńskie, puste gniazdo łabędzie. Malutką zatoczkę między „obcasem” a „podbiciem” tego dziwnego pantofla zarastały wysokie na chłopa trzciny i szuwary; na „pięcie” gęstą ścianą stały krzaki, a ponad nie wystrzelały trzy grube olszyny. Posuwając się od „pięty” w stronę „noska”, przechodziło się przez malowniczą polankę, pokrytą soczystą trawą; potem było znowu pasmo gęstych krzewów i na „czubku pantofelka” – duża łąka piaszczysta, poznaczona śladami ptasich szponów. Jak martwe ryby leżały na piasku zgubione pióra dzikich łabędzi, mew i kaczek.

– Nie kłóćmy się więcej – powiedziała Agnieszka siadając przy mnie na miękkiej trawie.

Wyczułem w powietrzu zapach spalenizny. Dym? O pięćset metrów od brzegu? Na bezludnej wyspie?

Poderwałem się z ziemi. Na skraju polanki znalazłem malutki kopczyk popiołu. Kiedy rozgrzebałem go patykiem, wewnątrz odkryłem odrobinę żaru. Na trawie odcisnięte były dwa duże prostokąty – ślady po namiotach; w ziemi tkwił złamany „śledź”⁵. Spozregłem dwa puste pudełka po konserwach i... osiem munsztuków papierosów „syrena”, przybrudzonych cyklamenu szminką.

I jeszcze coś zabielało.

Zmięta kartka, wyrwana krzywo z jakiegoś notatnika. Ołówkiem napisano:

Po tym co się stało, nie chcę mieć z wami nic wspólnego. Odpływam sama. Nie szukajcie mnie.

Krystyna

Krystyna? To chyba ona paliła „syreny” i używała szminki koloru cyklamenu. Osiem munsztuków. Jakże musiała być zdenerwowana, skoro wypaliła osiem papierosów w ciągu tak krótkiego czasu. Krótkiego?... A może byli tu długo?

O dwunastej w nocy odwiedziła Martwy Dom (widzieliśmy światło, Paweł znalazł munsztuki). Czekala tam na kogoś i w zdenerwowaniu paliła. Ten ktoś przyszedł lub nie, w każdym razie stało się tam coś, co wydało jej się nieprzyjemnym. Wróciła na wyspę. Podejmując decyzję opuszczenia tych, z którymi tu przybyła (na wyspie znajdowały się dwa namioty) – znowu paliła. Nad ranem odjechała pozostawiając list. Opuściła wyspę potajemnie, w przeciwnym razie nie pisałaby listu.

Patrzyłem na zmiętą kartkę i snuły mi się po głowie różne sentymentalne historyjki o zakochanej dziewczynie, oczekującej w Martwym Domu swego ukochanego. Potem ⁵ „Śledź” – kołek do linki usztywniającej namiot.

wyobraziłem sobie jakąś straszliwą historię dziewczyny zwabionej do Martwego Domu, porwanej na bezludną wyspę, skąd wymknęła się, gdy sen zmorzył jej prześladowców.

Ilu ich było? Jak długo tu przebywali?

Dwa małe namioty. A więc licząc i Krystynę co najwyżej cztery osoby. Sądząc po dwóch opróżnionych, niewielkich puszkach od konserw (zawartość takiej puszki zjadam za jednym posiedzeniem), mieszkali na wyspie bardzo krótko. Około pierwszej w nocy przyjechali kajakami z Martwego Domu (gdy zobaczyliśmy gasnące światło) i rozłożyli na wyspie biwak. A o świcie Krystyna im uciekła. Stwierdziwszy zniknięcie dziewczyny, prawdopodobnie zrezygnowali z pogoni. Zjedli śniadanie – i odpłynęli.

Pozbierałem munsztuki papierosów, aby pokazać je Pawłowi. Ukryłem w portfelu list Krystyny.

Wróciłem do Agnieszki i opowiedziałem jej dwie różne wersje historii, która zapewne tej nocy rozegrała się na bezludnej wyspie. Jaka szkoda, że dziś rano nie zwróciłem swej lornetki w stronę wyspy. Zauważyłbym dymek z ogniska i może zainteresowałbym się nim do tego stopnia, że podpłynąłbym tu kajakiem. Poznałbym wtedy prześladowców pięknej Krystyny.

– Skąd wiesz, że była piękna? – zauważyła cierpko Agnieszka.

– Nie prześladuje się brzydkich dziewcząt.

– Masz bardzo ciekawe poglądy – złośliwie uśmiechnęła się Agnieszka. – A skąd wiesz, że ją prześladowano?

– Nie wiem. Tak mi się tylko wydaje. Dlaczego opuściła ich potajemnie?

– Może ją ktoś obraził? Może znudziło się jej towarzystwo?

– Przeczytaj uważnie list. Napisano w nim: Po tym, co się stało, nie chcę mieć z wami nic wspólnego. A więc stało się coś.

Lekceważąco wydeła wargi.

– Niektóre kobiety lubią przesadzać, wyolbrzymiać przykrości, obrażać się o byle co. Szczególnie jeśli są brzydkie i stare jak owa Krystyna.

Oburzyłem się:

– Skąd wiesz, że była brzydka i stara.

– A wiem. Na wycieczce kajakowej malowała się okropną szminką koloru cyklamen i paliła jednego papierosa po drugim. Na wycieczce zachowywała się jak w kawiarni. Ktoś zadrwił z niej, obraziło się babsko i wyjechało, jak się to mówi, „bez pożegnania”.

– Masz bujną wyobraźnię.

– Ty również.

– Jesteś złośliwa.

– Ty także...

Wróciliśmy do domu skłóceni, chmurni. A dokoła nas trwał piękny słoneczny dzień, toń jeziora odbijała zieleń lasu porastającego brzegi i czerwień łysych pagórków pokrytych

kwitnącym szczawiem. Barwne plamy na wodzie drgały, mieniły się i mieszały ze sobą jak kolorowe szkiełka w tubce dziecięcego kalejdoskopu.

Potem ze smutkiem zauważyłem przez okno namiotu, że Agnieszka trzymając rękę Chudego Genka powędrowała z nim na spacer do lasu.

Złość swą wyładowałem na Pawle, którego zastałem chrapiącego w jego namiocie.

– Śpisz i śpisz. A jak nie śpisz, to się nudzisz i drapiesz swój okropny nochal – krzychałem na niego. – A tymczasem trochę dalej twojego nosa dzieją się takie dziwne sprawy. Czytaj tę kartkę. Masz tu jeszcze osiem munsztuków „syrena”. Czy wiesz, gdzie je odnalazłem?

Wypakowałem głowę Pawła straszliwymi historiami, których świadkiem był tej nocy Martwy Dom i wysepka na jeziorze. A wieczorem, syn marnotrawny, zaskrobałem paznokciem do namiotu Andrzeja, aby zdobyć wiedzę o zawiłych sprawach Gotów. Przy trzech zapalonych świeczkach ślęczałem nad tymi sprawami kilka długich godzin. Gdy wróciłem do siebie, obóz już spał, las szumiał groźnie, basem.

Jak w atramencie myłem się w czarnej wodzie jeziora. Nie chciało mi się zapalać świeczki, rozebrałem się po omacku, wdziałem na siebie pidżamę. Wygladzając śpiwór trafiłem ręką na pudełko po papierosach. Było jakieś wilgotne i przykleiło mi się do dłoni. Wyrzuciłem je z namiotu i rozchyliłem śpiwór, żeby wślizgnąć się w jego przytulne wnętrze, gdy tknęła mnie przerażająca myśl. Zapaliłem elektryczną latarkę i wyskoczyłem na dwór. Nie omyliłem się. W pudełeczku po „grunwaldach” znajdowała się odrobina słodkiego dżemu, na którym roiły się wielkie, czerwone mrówki. Wystarczy, że jedna taka mrówka ukąsi, a wyskakuje bąbel jak po ukąszeniu widliszka.

Oświetliłem wnętrze śpiwora. Na białym prześcieradle łąziło kilkanaście mrówek. Jakby czekały, abym ofiarował im swoją osobę.

„Grunwaldy” palił Chudy Genek. Nie miałem więc wątpliwości, kto był sprawcą tego złośliwego kawału. Ktoś spłoszył go w chwili, kiedy wysypywał mrówki z pudełeczka i dlatego na moje szczęście – pudełko pozostało w śpiworze.

Wyciągnąłem z namiotu prześcieradło i starannie wytrzeptałem je w lesie. Pogroziłem pięścią w stronę stojącego na uboczu namiotu „rybaków”.

– Mości panowie, między nami wojna.

W nocy spałem bardzo źle. Ciągłe wydawało mi się, że chodzą po mnie wielkie, czerwone mrówki, że za chwilę któraś z nich ukąsi mnie boleśnie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

**TAJEMNICA GROBÓW JAMOWYCH • ZAGADKOWA KRADZIEŻ •
„MIAŁA BABCIA FIGUSA” • KTO BYŁ ZWYCIĘZCĄ? • SPÓR O GOTÓW •
„LIPA” • CO SIĘ STAŁO TEJ NOCY? • „MIŁOŚĆ WIERNA AŻ DO
GROBU” • CZY STAJEMY SIĘ CORAZ GORSI?**

...Powstanie na naszych ziemiach kultury grobów jamowych próbowano łączyć z najazdem ludności germańskiej. Uważano, że na południu twórcami grupy przeworskiej byli Wandalowie, którzy tu przybyli z północnej Jutlandii, z małego półwyspu Vendsyssel. Na północ zaś, na Pomorze, przybyli Burgundowie z wyspy Bornholm i im to zawdzięczać należy grupę oksywską. Albowiem właśnie u Burgundów i Wandalów panowały w owym czasie podobne zwyczaje chowania zmarłych.

Tymczasem jednak w miarę postępu badań archeologicznych wyszło na jaw, że budowanie grobów jamowych występuje u nas jeszcze w czasach daleko wcześniejszych niż u Wandalów czy Burgundów. A poza tym – co jest w tej sprawie chyba najważniejsze – okazało się, że cała spuścizna kulturalna tego okresu, a więc wyroby gliniane i metalowe, zupełnie wyraźnie nawiązują do niedawnej przeszłości, do kultury pomorskiej i łużyckiej. Innymi słowy, nie mamy w tym wypadku do czynienia z jakąś nową, przybyłą ludnością, ale z tubylcami. Potomkowie tej samej ludności, która dawniej chowała zmarłych w grobach skrzynkowych, teraz – zapewne pod wpływem nowych wierzeń religijnych lub nowej mody – poczęli chować swych zmarłych w grobach jamowych...

Buchnął hałas. Obok mojego namiotu przemknęły motocykle „rybaków”.

„Mój Boże – westchnąłem – jak uczeni nazwą kiedyś kulturę naszej epoki?”

* * *

– Figus? – zapytał Andrzej.

Stara Rzyndowa z powagą przytaknęła.

– Figus zginał, panie doktorze (biedaczysko, nigdy nie mogła pojąć, dlaczego „doktor” Andrzej nie zna się na leczeniu żyłaków).

– I nic więcej? Na pewno nic więcej?

– Nie, panie doktorze. Tylko ten figus.

Milczała dłuższą chwilę, a potem poczęła opowiadać z niezwykłym ożywieniem:

– Moje trzy figusy sławne były na całą okolicę. Jednego razu aptekarzowa z Bytowa na ryby nad nasze jezioro z mężem przyjechała i zaraz jeden chciała ode mnie kupić. Ja bym sprzedała, ale Alfred się rozgniewał. „Moje figusy będziesz sprzedawać? – krzyczał. – To lepiej już sprzedaj moją głowę”. A ja mu na to: „Przecie za twoją głowę nawet złamanego grosza nikt nie daje. A za figus...”

Parsknęliśmy śmiechem. Rzyndowa rada, że skupiła na sobie uwagę wszystkich, przysiadła skromnie na brzeżku ławki przy stole. Jedliśmy śniadanie. Przyniosła ziemniaki i oczywiście, podobnie jak wczorajszy obiad, śniadanie upływało pod znakiem figusa.

Wysoka, chuda, z pociągłą, wyschlą twarzą; i nieco orlim nosem, nad którym zwisały kosmyki siwych włosów, wyglądała chyba jak czarownica. Ale spojrzenie miała wesołe jak roześmiane dziecko.

– Alfredowi zaś co było do moich figusów? Ja sama je wyhodowałam, a roślinki dostałam od dziedziczki spod Kartuz, co to u niej byłam na służbie. O, jeszcze przed wojną to było – machnęła ręką.

– Roślinki przyjęły się pięknie, a potem Alfred je przesadził do nowych doniczek. Ale już nie rosły tak ładnie jak dawniej. No, mają one swoje lata. Trzydzieści років sobie liczą. Pień u nich jak dwa palce, a liście mają twarde, że buty można nimi żelować.

– I ukradli... – westchnąłem.

– Ukradli. Jeden figus – potwierdziła.

– Podobno Alfred z Doliny przyszedł i zabrał jeden – ostrożnie rzekł Andrzej.

Stara spojrziała na niego z politowaniem.

– Co też te ludzie nie wymyślą. Alfred? A po co mu figusy? On już w grobie.

Franciszek aż klasnął w ręce, taki był oburzony.

– Jakże to, pani Rzyndowa? Przecież pani sama mi to opowiadała.

– Ja? – rozejrzała się niepewnie. – Gdzieżbym ja taką głupotę wymyśliła? Na własne oczy widziałam tego zbója, co przez okno wlaźł do mojej izby. Od okna prosto zakradł się do komody, gdzie stoją figusy. Chwycił wszystkie trzy, ale ja w krzyk. Więc tylko jeden zabrał i w nogi. Przez okno wyskoczył. Alfred?... – sceptycznie pokręciła głowę. – Alfreda przecie bym poznała. A czy to Alfred przez okno musiałby się zakradać jak jakiś złodziej? Przez drzwi przyszedby do swojej własnej chałupy. Nawet z grobu. Gospodarz był przecie. Franciszek zapytał złośliwie:

– Rzyndowa chyba sama tego wszystkiego nie wymyśliła...

– A nie. Na milicji mi tak powiedzieli.

– Co wam powiedzieli? – nie mogłem zrozumieć.

– Powiedzieli, że to nie mógł być Alfred, lecz złodziej. Bo Alfred to przez drzwi przyszedłby, a nie przez okno.

– To pani była już na milicji?

– A co? Mam im darować mój figus? Gruby na dwa palce, a liście to ma jak podeszwa. Takie twarde. Na milicji pytali mnie: „Powiedzcie Rzyndowa, kto we wsi interesował się figusami?” Powiedziałam im, że nikt ze wsi figusa nie mógł ukraść, bo figus znaczny, każdy go zaraz pozna. Ale tego samego dnia, co to w nocy figus mi ukradli, dwoje ludzi u mnie było. Taka młoda dziewczucha miastowa w portkach i chłop jej, też młody. Pewnie jakieś letniki na wędrowce, bo plecaki mieli wypchane. Weszli do mnie napić się mleka i zaraz wołali: „Jakie piękne figusy”.

– I co? I co? – dopytywał się Franciszek.

– A nic. Wypili mleko, zapłacili i poszli dalej.

– To byli złodzieje – stwierdził Franciszek.

Rzyndowa okazała się bardziej rozsądna.

– Eee, panie Franciszku. Stara jestem, ale takich głupot nie opowiadam. Figusy piękne, grube na dwa palce. Panu też by się podobały. Tydzień temu był u mnie lekarz z Sulęcina, bo na serce zasłabłam. Tyż zawołał: „Babciu, piękne macie figusy”. I co? To on mi ukradł figus? Lekarz z Sulęcina?

Pogniewała się. Wstała z ławki, rzekła nam chłodno: „Do widzenia” i poszła brzegiem jeziora do swojego domu.

Andrzej zanucił na starą melodię:

Miała babcia figusa, figusa, figusa

Dla złodzieja pokusa, pokusa, hej...

A potem oświadczył, że wieczorem rozpalimy ogromne ognisko.

– Dziś będzie noc czarów. Noc Kupały – sentymentalnie westchnęła Agnieszka.

– Pewnie znowu znajdę mrówki w swoim śpiworze.

– Co ty? Naprawdę? – współczuł mi Andrzej.

Pokazałem palcem namiocik „rybaków”. Zrozumieliśmy się bez zbędnych słów. Smutnie pokiwał głową. Tylko Agnieszka udała, że nie wie, o co mi chodzi.

– Do naszych sąsiadów ciągle macie jakieś dziwne pretensje. A to tacy mili ludzie... I wykształceni. Inżynierowie...

* * *

Paweł i Roman, student po pierwszym roku archeologii, malutkimi jak do cukru szufelkami eksplorowali⁶ jamę grobową na południowym stoku wzgórza. Romek miał czarną

⁶ Eksplorować (z łac.) – badać, poszukiwać.

kędzierzawą czuprynę i plecy spalone „na węgiel”, a Paweł jasne włosy i ciało ledwie dotknięte przez słońce. Z przyjemnością patrzyłem na ruchy ich ramion, gdy powoli i ostrożnie zbierali szufelkami ziemię. Paweł wydał mi się naprawdę zainteresowany swoją robotą. Pracował bez wytchnienia, zapewne nawet nie zdając sobie sprawy, że na karku perlą mu się drobniutkie kropelki potu, wywołanego długim wysiłkiem. Próbowałem kiedyś pomagać w rozkopywaniu jamy grobowej i potem przez tydzień bolały mnie nogi. Trzeba bowiem kilka godzin pracować siedząc w kucki. Siadać raczej nie wolno, bo ziemia w jamie jest zazwyczaj wilgotna i łatwo o reumatyzm.

Najpierw odnaleźli nieco zwęglonego drzewa. Potem zwęglonych resztek było coraz więcej. Zapełnili nimi aż cztery duże koperty. I znowu nastąpiła brunatnoszara warstwa piasku bez śladu zabytków i kości.

– Zobaczysz pan, znajdziemy tu złoto. Ja mam szczęście, panie. Grób jest w dechę, na medal, panie – Paweł zapewniał Romana.

– Znajdziemy kobietę czy mężczyznę?

– Babkę, panie. Ja mam takie cholerne szczęście...

A tymczasem grób wyglądał na wyrabowany. I to okradziony chyba niedługo po pochówku. Od strony północnej w ciemnym tle jamy grobowej zaznaczała się trochę jaśniejsza plama. Jakby ślad późniejszego wkopu do starego grobu...

W II i w I wieku przed naszą erą, w południowej Szwecji, jezioro Vattern i dziwna pustka na lesistych brzegach tego jeziora dzieliły dwa obszary kulturowe: Óstergötland i Vastergötland. Ludność tych obydwu obszarów mówiła tym samym językiem, nosiła podobną odzież, broń i ozdoby. Ale tak samo jak w przypadku Pomorza – które od reszty naszych ziem dzieliły puszcze i bagna noteckie, powodując nieco odrębny rozwój kultury tego obszaru – tak i w Szwecji wody jeziora Vattern i dzikie lesiste jego brzegi zaważyły na powstaniu pewnych odrębności kulturalnych Óstergötlandu i Vastergötlandu. Różnice te są jednak tak niewielkie, że niektórzy naukowcy nie uważają za stosowne w ogóle brać ich pod uwagę.

Uważa się, że Vastergötland zamieszkiwali Goci, zaś Óstergötland – gocki szczep, Gepidzi. Ale ponieważ nie dało się ustalić żadnych poważnych odrębności kulturowych między Gotami i Gepidami, dlatego kulturę, którą reprezentuje ten lud, nazwano kulturą gocko-gepidzką.

Okolo początku naszej ery obszar Vastergötlandu prawie zupełnie opróżnia się z ludności; w tym czasie całkowicie zanikają tu groby i ślady osad. Ludność tych obszarów wyemigrowała zapewne w poszukiwaniu lepszego bytu – ziemia bowiem w Vastergötland jest kamienista, jałowa, klimat chłodny, nieprzyjazny dla rolnictwa.

W „Historii Gotów”, opowiada mnich Jordanes:

„Z tej więc wyspy Skandii (z Półwyspu Skandynawskiego) Goci niegdyś, jak się wspomina, ze swym królem Berichem wyszli”. Na trzech jesionowych okrętach – z których

jeden, wiozący Gepidów, opóźnił się w drodze – przepłynęli Morze Bałtyckie i przybili do ujścia rzeki Wisły.

„Nad ujściem Wisły, na obszarze grupy oksywskiej, zjawia się około początku naszej ery nowa oryginalna kultura – przeczytacie w każdym podręczniku archeologii. – Kulturę tę łączy się zwykle z najazdem ze Skandynawii i przypisuje się ją Gotom oraz szczepowi gockiemu, Gepidom”.

Stary podręcznik archeologii doda jeszcze:

„Kultura ta, poza charakterystycznymi formami wyrobów metalowych, wyróżnia się przede wszystkim zwyczajem chowania zwłok nie spalonych”.

Po przybyciu Gotów powszechny był na Pomorzu i u ujścia Wisły obrządek palenia nieboszczyków i zsypywania ich prochów do jam. Innymi słowy: panowała tu kultura grobów jamowych. Goci przynieśli z sobą nowy zwyczaj – niepalenia zmarłych. Nowy zwyczaj obejmuje coraz szerszy obszar, jest coraz częściej stosowany, a więc – zdaniem wielu naukowców – najeźdźcy gocy ujarzmiają ludność miejscową, posługującą się nadal obrządkiem ciałopalnym, i narzucają jej swoje zwyczaje, swoją kulturę.

Wszystko teraz wydawało się bardzo proste i jasne. Groby szkieletowe, czyli groby, w których nieboszczyk nie został spalony, należą do najeźdźców gockich. Tam więc, gdzie występują groby szkieletowe, panowali Goci. Groby zaś ciałopalne, jamowe lub z urnami wypełnionymi resztkami spalonych kości, należą do tubylczej ludności pomorskiej.

Zagadkę jednak stanowił fakt, że nad ujściem Wisły i na całym Pomorzu zupełnie brak cmentarzysk, na których byłyby wyłącznie groby szkieletowe.

Na to pytanie odpowiedziano tak: Goci podbiwszy Pomorzan podporządkowali ich sobie i współżyli z ludnością podbitą, a wynika to z faktu, że groby szkieletowe występują razem z grobami ciałopalnymi.

A przecież z tych samych danych można by wysunąć zupełnie odwrotny wniosek: Goci najechawszy Pomorze zostali pokonani przez Pomorzan i podporządkowani ludności tubylczej, bo ich groby występują razem z grobami Pomorzan.

Tak jednak nikt nie ośmielił się powiedzieć, zbyt dobrze znana była naukowcom sława późniejszych zwycięstw i podbojów gockich.

W miarę dalszych badań archeologicznych okazało się, że groby szkieletowe znane były na Pomorzu jeszcze przed przybyciem Gotów, że czaszki z tych grobów nie należą do typu germańskiego, lecz środkowoeuropejskiego, a więc leżą w nich nie Germanie, ale najprawdopodobniej Słowianie. Prace archeologów szwedzkich wyraźnie stwierdzają, że u Gotów panował obrządek mieszany, że zarówno w Vastergötland, jak i w Óstergötland nieboszczyków chowano w różny sposób – odnaleziono tam groby i ciałopalne, i szkieletowe.

A skoro i u Pomorzan, i u Gotów było podobnie, to jakże odróżnić jednych od drugich?

I tak wśród ciągłych sporów i setek wątpliwości odrodziło się zagadnienie: A może Gotów nigdy nie było na naszym Pomorzu?

Profesor Kazimierz Tymieniecki, jeden z naszych najwybitniejszych historyków, wystąpił z poważną pracą, w której zakwestionował tezę o pobycie Gotów na naszych nadmorskich ziemiach.

Spór o Gotów stał się znowu „wielką sprawą”.

– Eee, brachu, myślałem, że to ciekawsze – powiedział Paweł zjawiwszy się na obiad. – Kopiesz i kopiesz, tyrasz jak dziki osioł i znajdujesz na dnie tej dziury grobowej tylko dwa kamienie. Między kamieniami było trochę spalonego drzewa i parę kosteczek drobniotkich jak paznokieć. Do kitu taka robota.

– Żadnych zabytków? Żadnych brązów? Nic?...

– Nic. Sądziłem, że napiszę dziś list do kumpli i pochwalę się, jak to tutaj obrabiam krew w żyłach mrozące szkielety. A tu tylko czarne drzewo i parę malutkich spalonych kosteczek. E, bracie, do kitu takie wakacje. Nawet pochwalić się nie można.

– Napisz w liście, co chcesz – powiedziałem. – Ja tak zawsze robię. Nawet dla gazety.

– Lipę odwalasz?

– To się nazywa „fikcja literacka”.

– Lipa. Wszystko lipa.

I zniechęcony poszedł umyć dłonie w jeziorze. Czynił to długo, porządnie, jakby mył ręce od spraw archeologii i dziennikarstwa. Próbowałem dodać mu otuchy.

– Słyszałeś dzisiejszą rozmowę o figusach? Czy sądzisz, że sprawa nocnego światła w Martwym Domu i obozowiska na bezludnej wysepce nie ma nic wspólnego z kradzieżą? Przecież to wszystko było właśnie jednej i tej samej nocy. „Po tym, co się stało, nie chcę mieć z wami nic wspólnego”. A co się stało? Tej nocy była kradzież u Rzyndowej. Rozumiesz?

– Rozumiem – przytaknął Paweł. Ale w głosie jego nie usłyszałem entuzjazmu.

– Po południu odwiedziś zagrodę starej Rzyndowej i przeprowadziś tam dokładny wywiad. Musisz zorientować się, co mogło stanowić przyczynę najścia złodziei. Przecież sprawy figusa nie można traktować poważnie. Nikt rozsądny nie kradnie roślin doniczkowych.

– O wa! Rozsądnych ludzi jest mniej, niż ci się wydaje – rzekł Paweł spoglądając na mnie znacząco.

– Więc zrobisz to, co ci kazałem?

– Zrobię, zrobię... – powiedział łagodnie jak do wariata.

Ale tego dnia nie było Pawłowi danym odwiedzić zagrodę Alfreda z Doliny.

Po obiedzie Andrzej poszedł na inspekcję wykonanych prac i zobaczywszy grób rozkopany przez Romana i Pawła, zrobił awanturę. Chłopcy zadowolili się bowiem odnalezieniem węgla i spalonych kości i na tym robotę zakończyli. Tymczasem, zdaniem Andrzeja, grób jeszcze nie został zbadany do dna, jeszcze widać było ową szarobrunatną plamę. Zniknął tylko zarys późniejszego wkopu.

– Zawsze mówię, żeby grób badać aż do calca⁷, kopać, dopóki nie zginie zupełnie zarys jamy – gromił Andrzej Romana, bo przecież Paweł był tu tylko w charakterze zwykłego robotnika.

Roman chciał przekonać Andrzeja, że nie warto dalej kopać. Podrapał ziemię łopatką i... ukazał się drugi grób. Łopatka Romana wyłuskała z piasku piszczel nogi. Potem obnażyli dobrze zachowane kości ręki z dużą, brązową bransoletą na przegubie. Śniedź brązu, mająca własności konserwujące, pozwoliła uchronić od zupełnego zniszczenia resztki jakiejś tkaniny, w którą zapewne owinięte zostało ciało zmarłego. Tkanina była czarna, przegniła i rozchodziła się w palcach, ale szkło powiększające umożliwiło obejrzenie splotu poszczególnych włókienek.

Dziewczęta odpoczywały w namiotach, a Roman i Paweł pod nadzorem Andrzeja mozolili się przy eksplorowaniu grobu. Nie wolno było pozostawiać zabytków grobowych tuż pod powierzchnią, mógł je ktoś ukraść, mógł im zaszkodzić niespodziewany deszcz w nocy.

Po kilku godzinach roboty cały szkielet był już odkryty, choć tylko część jego dotrwała do naszych czasów. Z czaszki pozostała jedynie szczeka. Na wysokości piersi znaleziono brązowe fibulę, a wśród nich kilka szklanych paciorków. W grobie spoczywała więc kobieta.

To ona zmarła najpierw i dla niej zrobiono tutaj grób. Później zmarł chyba jej mąż. Jego ciało spalono na stosie i resztki kości wraz z węglami stosu wkopano potem w stary grób. Najciekawszy jest fakt – rozważał Andrzej – że chociaż mamy tu do czynienia z bliskimi sobie ludźmi, mężem i żoną, to przecież tych nieboszczyków pochowano według różnego rytuału. Kobiece ciało złożono do grobu nienaruszone, a ciało mężczyzny spalono na stosie.

I Andrzej podał mi dużą ładną fibulę brązową.

– Grób pochodzi z połowy II wieku, ta fibula ma prosto ściętą nóżkę. I oczka na wierzchu. Jest to fibula z typu „oczkowatych”, które datuje się właśnie na ten okres. Z tego samego czasu pochodzi i bransoleta.

Paweł malutką miotełką, delikatnie jak porcelanę, obmiał resztki starej czaszki. No, teraz już będzie mógł napisać do swoich kumpli o „krew w żyłach mrożących szkieletach”.

W szczęce tkwiło kilka zielonych od śniedzi zębów. Nie potrafiłem nie myśleć, że kobieta ta, być może, odznaczała się kiedyś pięknnością i, gdy uśmiechała się, widok jej białych, lśniących zębów zachwycał mężczyznę. Jakże musiał ją kochać, skoro pochowano go przy niej. Rozłączyła ich śmierć okrutna i bezwzględna dla ludzkich uczuć. I potem znowu śmierć ich połączyła. Wspólnym grobem.

„Treue Liebe bis zum Grabe”⁸ – przypomniał mi się piękny wiersz. A przecież tutaj miłość poszła aż poza grób, na wieki.

Ludzi sprzed dwóch tysięcy lat wyobrażamy sobie najczęściej jako twardych, okrutnych, bezwzględnych. A ileż delikatnych i wzniosłych uczuć ludzkich kryje ta wspólna mogiła.

⁷ Calca – ziemia twarda, nie kopana; tu: ziemia poza jamą grobową.

⁸ Treue Liebe bis zum Grabe (niem.) – miłość wierna aż do grobu.

– Agnieszko – powiedziałem zaglądając do namiotu dziewcząt – może pragniesz popływać po jeziorze?

Czesła przed lusterkiem swoje długie, ładne włosy. Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Umówiłam się z panami inżynierami, że pójdę z nimi łowić ryby. Zwykłam dotrzymywać słowa.

– Wolisz Chudego Genka? – zawołałem.

– Ty też nie jesteś gruby – zauważyła.

Było mi bardzo przykro. Wróciłem wolno do swego namiotu i nie miałem już ochoty ani czytać o Gotach, ani słuchać o skradzionych figusach, ani szukać lekarstwa, które uleczyłoby Pawła z jego młodzieńczej nudy. Po gładkim jeziorze wędrowały powoli czerwone cienie wieczoru, od bezludnej wyspy dochodził żałosny krzyk mewy. Woda przesycona różową poświatą opalizowała jednak zielonkawo jak malachitowy uralski kamień.

Sięgnąłem na dno walizki po tomik wierszy Petrarcki. W sąsiedztwie odkrytej dziś mogiły wzruszał mnie on jak nigdy dotąd.

*Wiersze bolesne, idźcie pod grobowy
Kamień, kryjący skarb mój i niedolę,
Wołajcie tę, co z nieba wam odpowie,
Choć ziemskie szczątki jej są w marnym dole.*

I powtarzałem półgłosem, z uporem:

*...Zaprawdę prochem jesteśmy i cieniem.
...Zaprawdę złudne nadziei promienie.*

I Franciszek też miał dziś swój „zły dzień”. Łaził po obozie postępując. Poprosiłem, żeby mi zaparzył herbaty. Przyrzędnął mi jednak taką ciekłą lurę, że musiałem głośno wyrazić zdziwienie!

– Ech, panie Tomaszu – machnął ręką. – Wszystko teraz idzie ku złemu. Herbata jest zła. A czy każdy z nas nie staje się coraz gorszy?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

**ZABAWNA PRZYGODA DOKTORA LISSAUERA • CZY „KRĘGI
MAGICZNE” BYŁY KALENDARZEM? • ARCHEOLOGICZNA
CIUCIUBABKA • NOC KUPAŁY • CHUDY GENEK I GNUŚNY KAZEK •
„MOOWA” • DUCH GOTA • PŁONĄCE KAMIENIE • ŻABA**

...Można przyjąć, że Gotów na Pomorzu nigdy nie było, a wspomniana przez Jordanesa historia ich przybycia nad ujście Wisły jest tylko legendą, którą powinni się zająć bajkopisarze. Byłoby to nawet dla nas bardzo wygodne. Okazalibyśmy tym lekceważenie dla wszelkiego rodzaju niemieckich teorii i ich pretensji do naszego Pomorza. Bo chociaż wojownicy gocy nie mieli nic wspólnego z dzisiejszymi Niemcami, byli tylko dalekimi pobratymcami ich praprzodków – to jednak hitlerowska propaganda szeroko nawiązywała do gockich podbojów świata. Niszcząc kulturę zwyciężonych krajów, hitlerowcy mówili o swej wielkiej misji cywilizacyjnej i kulturalnej. Tę misję spełniały – ich zdaniem – także dawne plemiona germańskie. Uczony hitlerowski Miller nazywał łupieżcze wyprawy Gotów „okresem wielkich podróży odkrywczych”, a przyczynę tych „podróży” upatrywał nie w chęci zagarnięcia łupów, ale w „charakterystycznej dla Germanów przedsiębiorczości i żądzy czynów”.

„Wielkie podróże odkrywcze? Zazwyczaj podróże badawcze – polemizował z Millerem profesor Kostrzewski – podejmują przedstawiciele ludów cywilizowanych do krajów żyjących na niższym stopniu kultury. Tymczasem Goci, lud pozbawiony historii, rzekomo „odkrywa” i „bada” wybrzeże Morza Czarnego, Azję Mniejszą, Grecję i Rzym, które były od dawna odkryte i żyły od wieków życiem cywilizowanym”.

Prawdziwa nauka nie ma jednak nic wspólnego z wygodnictwem. Prawdziwą naukę cechuje uczciwość. Czy można z czystym sumieniem przejść obojętnie obok faktu, że w początkach naszej ery u ujścia Wisły i na Pomorzu Wschodnim pojawił się jakiś nowy, obcy element kulturowy? Że na naszych ziemiach północnych znajdują się nieznanne u Słowian pomorskich kamienne kurhany, groby ze stelarni, kamienne kręgi z podługowatych głazów?

Że w wielu grobach z tych czasów odkrywa się skandynawskie ozdoby i narzędzia, zaś na cmentarzysku w Elblągu odkryto gotlandzkie nakrycia głowy z naszytymi nań brązowymi guzkami? Nie możemy zamykać oczu na fakt, iż do języka naszego przeniknęło wiele słów gockich, jak: cesarz, ksiądz, książę, miecz, hełm, chleb, ocet, kocioł, szkło.

Uczciwość naukowa każe więc badać, szperać, szukać pośród zawitych tropów. Każe także uwzględnić głosy różnych stron i wysłuchać sprzecznych poglądów.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, ile dziwacznych teorii zrodziły kręgi magiczne – powiedział Andrzej. – Słyszałeś o wesołym figlu, jaki spłatały one doktorowi Lissauerowi?

Andrzej, Paweł i ja siedzieliśmy w trójkę w lesie, na długim koziołku do piłowania drzewa. Czytałem o kłopotach doktora Lissauera, ale nie znał tej historii Paweł. Może właśnie tutaj, mając przed oczami wielki krąg kamienny zbudowany na szczycie wzgórza, odkryje on nareszcie uroki archeologii?

Na jeziorze trwał jeszcze późny czerwcowy wieczór. Ale zbocza wzgórza porośłe lasem ginęły już w ciemności. Pośród kurhanów i pni drzew leśnych słyszeliśmy wesołe głosy: Agnieszka i Chudy Genek zbierali chrust na ognisko. Rozpoczynała się noc świętego Jana, noc rozkwitającego kwiatu paproci, który przynosi szczęście. Przed dwoma laty, gdy pierwszy raz wziąłem udział w pracach wykopaliskowych, w sobótkowy wieczór umówiłem się z Agnieszką na poszukiwanie baśniowego kwiatu. W godzinę później nastąpiła straszna ulewa i pozostaliśmy w swych namiotach. Nie trzeba się umawiać na wspólne poszukiwanie szczęścia.

„A może dzisiaj wszystko odbyłoby się zupełnie inaczej” – pomyślałem.

Lecz Andrzej rozpoczął opowiadanie:

– W 1874 roku gdański archeolog doktor Lissauer postanowił rozwikłać zagadkę kręgów kamiennych i wyjechał do miejscowości Odry w powiecie Chojnickim na Pomorzu Wschodnim. W Odrach, w lesie nad brzegiem Czarnej Wody, rozpościerało się kilkanaście kamiennych kolisk z głazów. Takich samych jak u nas w Gąsiorach. Wysokie na metr albo półtora podługowate kamienie ustawione w krąg co kilka metrów. Otaczał je wieniec mogił i kurhanów.

W czasach doktora Lissauera metody badawcze były jeszcze dość prymitywne. Poczywy gdański archeolog zadowolił się rozkopaniem części środkowej kilku kręgów oraz zbadał otoczenie trzech trylitów. Wewnątrz kręgów odnalazł jamy grobowe wypełnione resztkami zwęglonego drewna i przepalonymi kośćmi ludzkimi, a obok jednego z trylitów – groby z popielnicami. Żadnych innych zabytków grobowych nie było. Tylko obok jednej z urn odkryto nie wykończony grocik kamienny. Na fackie odnalezienia tego grocika oparł Lissauer swe przekonanie, że kręgi pochodzą z epoki kamiennej. To przekonanie przejął później taki poważny archeolog niemiecki jak Kossinna. Uznano, że kręgi są bardzo stare, że mają około 4000 lat.

W 1926 roku zbadał te same kręgi profesor Kostrzewski i nie tylko, że nie odkrył żadnych, nawet najdrobniejszych śladów z epoki kamiennej, ale przeciwnie, znalazł doskonale zachowane zabytki z okresu rzymskiego, a więc z lat 1375 naszej ery. Kręgi odmłodziły o przeszło dwa tysiące lat. Zabawne, prawda? – roześmiał się Andrzej.

Mieliśmy te kręgi o trzy kroki od siebie. Ułożone z dziwną regularnością, zapewne pobudzały wyobraźnię wielu pokoleń ludzi zamieszkujących tutejsze okolice. Ileż zrodziły legend, baśni i opowiadań? W nadchodzącej nocy z ciemnego tła poszycia leśnego kamienie wyblyskiwały jasnymi plamami. W taką noc jak dzisiejsza palono pośród nich ogromne ogniska, kapłani zawodzili groźne pieśni, tłuczono na ofiarę bogom gliniane garnki, odbywały się tańce wojowników. Teraz stały nieme, otoczone ciszą i jakby jeszcze bardziej martwe i nieruchome. Była w tej ich martwocie i nieruchomości jakaś tajemnica i groźba zarazem.

– A jednak jest coś ładnego w teorii pana Stephansa – rzekłem.

Andrzej wzruszył ramionami.

– Mógłbyś się wreszcie zdecydować, jakimi względami będziesz się w życiu kierował: estetycznymi czy naukowymi?

Uśmiechnąłem się. Poglądy pana Stephansa wydawały mi się ładne. Czy to nie wystarczało, żebym je traktował poważnie?

W 1914 roku mierniczy z Poznania, niejaki Stephans, sporządził szczegółowy plan kręgów w Odrach i dzięki jakimś fantastycznie skrupulatnym obliczeniom doszedł do wniosku, że kręgi te mają charakter astronomiczny. Według jego teorii, jeśliby przeprowadzić linie od środkowych kamieni kilku kół, dałyby one w przedłużeniu na horyzoncie punkty, w których wschodzi słońce w najdłuższy i najkrótszy dzień roku. Kręgi byłyby więc swego rodzaju kalendarzem przedhistorycznym. Liczba kamieni w kręgach miała odpowiadać ilości dni i miesięcy w roku. Stephansowi wszystkie te obliczenia nawet się zgadzały. Tylko że za podstawę ich wziął on twierdzenie doktora Lissauera. Z chwilą gdy okazało się, że kręgi są młodsze, cała teoria pana Stephansa musiała wziąć w łeb, bo nieco inne było położenie Ziemi względem Słońca w okresie epoki kamienia, a inne w naszej dobie.

Paweł powiedział po swoim:

– Wynika z tego, że kręgi kamienne to taka archeologiczna ciuciubabka.

– W archeologii nie ma ciuciubabki – odrzekł natychmiast Andrzej. Zawsze lękał się, żeby broń Boże nikt nie posądził archeologów o jakieś dowolności w ich metodzie badawczej. Niekiedy denerwowała mnie ta jego nieustanna powaga w sprawach związanych z archeologią. Ale tacy sami byli i inni znani mi archeologowie. W życiu prywatnym weseli, dowcipni – w sferze swej nauki stawali się natychmiast zabójczo poważni. Celebrowali swoją pracę jak urzędnicy pogrzebowi. Może dlatego, że tylu nieboszczyków wypadło im wygrzebać z ziemi?

– Uśmiechasz się? Ty też pewnie traktujesz nasze wykopaliska jako zabawę w ciuciubabkę?

– Ależ nie! Ależ skąd! Broń mnie Boże...

Trzeba było odcierpieć dłuższy wykład:

– Nie ulega wątpliwości, że kręgi kamienne zbudowali Goci. W Skandynawii odnaleziono ich bardzo wiele, a są tam znacznie starsze niż nasze. Jasne jest więc, że przyszły do nas właśnie stamtąd, a nie na odwrót. W prowincji Vastergötland znanych jest aż dziewięćdziesiąt kręgów kamiennych. W Szwecji noszą one ludową nazwę „Thingstatte”, to jest – miejsce sądu, kręgi sędziowskie. W tych kręgach najprawdopodobniej odbywały się sądy plemienne albo raczej rodowe, tak zwane „Thingi”. Zbierała się tu starszyzna, zasiadała w kręgu i radziła, zaś braci plemiennej nie wolno było przekroczyć miejsca zaznaczonego koliskiem z głazów. Ponieważ u Germanów panował kult przodków dla uświetnienia miejsca rady i sądu, dla poparcia wyroku tej rady autorytetem przodków, w środku kręgu chowano owych sławnych protoplastów. I dlatego w niektórych kręgach odnajduje się groby. Nie ma w tych sprawach żadnej ciuciubabki.

W naszym obozie rozbłysło wielkie, żółte światło. Jego blask dobiegł aż tutaj, na szczyt wzgórza, i czerwonym ogniem liznął kamienie kręgu.

– Oooooogniskooo! – darł się w naszą stronę Chudy Genek.

Chudy Genek był cienki, wysoki i nieco zgarbiony. Wyglądał jak trochę nadłamana zapalka z małą główką. Trzymał Agnieszkę za rękę i pochylał ku niej swoją zapalczaną głowę. Potem śpiewali głupie piosenki o babci Rzyndowej i jej figusie; ku memu oburzeniu wtórował im Andrzej.

Paweł spróbował pójść w ślady Genka i wziął za rękę Zosię, która na dzisiejszą uroczystość uczesała włosy w koński ogon. Ale fuknęła na niego gniewnie i biedak uciekł na drugą stronę ogniska. Może Paweł nie podobał się Zosi, a może uważała, że nie wypada jej, studentce po drugim roku, zadawać się z maturzystą?

Przekrzykując głośny trzask ognia, zawołałem do Zosi:

– Dlaczego pani dziś założyła zieloną bluzkę?

– Bo ładna...

– Czy to Andrzej przekonał panią, że najładniejszy jest kolor zielony? Dawniej pani twierdziła inaczej.

Andrzej rzucił we mnie wielką świerkową szyszka. Wszyscy wiedzieli, że lubi zielony kolor.

Genek parsknął śmiechem.

Agnieszka także miała zieloną bluzkę.

– Jak pragnę zdrowia – śmiał się Genek – śliczna zielona bluzka. Niech ja w domu nie nocuję, jeśli pani Agnieszka nie założyła tej zieleniny dla pana Andrzeja.

Agnieszka wyrwała mu swoją rękę. Siedziała sztywno z nadąsaną miną.

– Jutro zarzucę wędkę koło źródła na końcu jeziora – ni stąd, ni zowąd odezwał się Gnuśny Kazek. – Może złapię szczupaka.

– Mieszkacie tutaj półtora tygodnia, a nie złowiliście jeszcze ani jednej rybki. Choćby takiej maleńkiej – i Agnieszka pokazała im najmniejszy palec u swej dłoni.

– Postanowiłem od jutra łowić raki – oświadczył Chudy Genek. – Wczoraj wieczorem poszedłem z latarką nad wodę. Patrzę na dno jeziora, koniec świata, pełno raków. Chciałem jednego schwycić, ale spruł mi do tyłu!

– Raki lubią żaby – ziewnął Gnuśny Kazek, zawsze zresztą senny i nudny.

– Może pan jaśniej się wypowie – zaproponował Andrzej, który nie cierpiał obydwu „rybaków”. – Kto kogo lubi: żaby raki czy raki żaby.

– Mooowa! – mruknął Kazek.

– Mooowa! – powtórzył Genek.

Paweł skrzywił się, jakby dym z ogniska wpadł mu do oczu.

– Jutro jadę do chaty.

– Dokąd?

– No, do domu, do matki – wyjaśnił. I było w jego głosie wielkie zdziwienie, że nie rozumie polskiego języka. – Bo co ty sobie myślisz? Za grabarza na odwyrtekę mam się tu zatrudniać? Słuchać, jak ten doktor drętwą gadkę o Gotach odstawia?

– Mooowa! – ziewnąłem.

Paweł zaniepokoił się.

– Myślisz, że później będzie ciekawiej? – zapytał.

– Mooowa! – mruknąłem.

Paweł westchnął serdecznie.

– No, dobrze. Zostanę jeszcze trochę.

Chudy Genek krzyknął na Kazka:

– Nie śpij, bo cię okradną, ty dzwonie!

Wydawało mi się, że między Pawłem i dwoma „rybakami” mimo pewnej różnicy wieku istnieje jakieś trudne do określenia podobieństwo. Archeologowie powiedzieliby, że należą do jednego kręgu kulturowego... „Dzwony”? Może i byli jak puste dzwony.

Na szczytach wzgórz po drugiej stronie jeziora rozbłysło kilka świateł. Kaszubskim zwyczajem młodzież rozpałała ogniska. Pod ciepłym niebem słyhać było daleki, przyciszony śpiew. Gdyby nie te „dzwony”, „moowoy”, ten język, od którego dygotałem jak od zgrzytu szkła po żelazie, rozjaśniona ogniskami noc przybliżyłaby nas może ku tamtym odległym czasom, kiedy świętowano Kupałę, puszczano wianki na jeziorze.

Sobótka, święto Kupały – to były słowiańskie uroczystości. Goci przynieśli tu germańskie obrzędy. Ale czy aż tak bardzo różniły się one od słowiańskich? Mówi się o słowiańskich

gajach, świątyniach, gdzie trzymano konie dla wróźb. A przecież Tacyt⁹, opisując zwyczaje Germanów, podaje, że i oni żywią w swych dąbrowach konie białe jak śnieg nie tknięte żadną pracą. Zaprzęgają je do świętego wozu, a kapłan, król lub naczelnik rodu towarzyszą im i obserwują ich rzenie i parskanie. Siebie uważają bowiem za sługi boże, konie zaś za powierników bogów.

Blask naszego ogniska wznosił się wysoko, aż pod najwyższe gałęzie sosen. Pachniało palonym chrustem, jałowcem i szyszkami. W ognisku strzeliło coś z wielkim hukiem. Uderzył na nas kłęb czarnego dymu i wleciały w górę iskry jak garść błyszczących confetti.

– Duch jakiegoś Gota – nerwowo zaśmiała się Zosia.

Bezwiednie spojrzeliśmy na stok wzgórza, gdzie znajdowało się cmentarzysko i wykopy kurhanów. Poza kręgiem światła naszego ogniska czarną ścianą stała noc. Nagle dobiegły nas stamtąd jakby głębokie westchnienia. Potem tapnęło coś głucho.

Zosia zachichotała. Chudy Genek zerwał się ze swego miejsca, gotów biec na cmentarzysko. Wstrzymał go Andrzej.

– Zapewne obsunął się któryś z wykopów. Piasek, który wyrzuca się z dołów, jest wilgotny. W ciągu dnia wysycha, a wieczorem stygnie i obsuwa się.

– A czy wiecie, że odkąd nasi robotnicy zobaczyli w kurhanach szkielety, nikt we wsi nie chce przyjść nocą do naszego obozu? – powiedział Roman.

– Może będziemy opowiadać historyjki o duchach? – zaproponował Gnuśny Kazek.

Nikt nie skorzystał z propozycji. Przyjemnie było tak siedzieć i milczeć, grzejąc się ciepłem ogniska i patrząc, jak w spokojnym powietrzu bezszelestnie giną złote płatki iskier.

Przed niespełna dwoma tysiącami lat u brzegu tego jeziora palili swe ogniska i siedzieli przy nich, tak jak my teraz, dalecy przybysze ze Skandynawii.

Radzili chyba nocą, jeśli wierzyć Tacytowi, że czasu swego nie liczyli według dni, lecz według nocy, gdyż zgodnie z ich mniemaniem noc poprzedzała dzień.

Skoro uznali, że są już w pełnej liczbie, zasiadali uzbrojeni. Co przedniejsi – w kręgu kamiennym, reszta wokół kręgu. Kapłan nakazywał wszystkim milczenie. Potem zabierał głos król, z kolei przemawiali inni, każdy według swego wieku, urodzenia, sławy wojennej i wymowy. Jeśli czyjś wniosek się nie spodobał, odrzucali go szemraniem. Zgodę zaś wyrażali potrząsając frameami¹⁰. „Najszczytniejszy to rodzaj uznania, udzielać orężnej pochwały” pisał Tacyt.

O, byli bardzo surowi. Zdrajców i zbiegów wieszali na drzewach; tchórzów, gnuśników i wszeteczników topili w błocie i w bagnie, z wierzchu chrust na nich narzucając. Albowiem zbrodnie należało stawiać pod publicznym, pręgierzem, sromotę zaś ukrywać. Czy nie przydałaby się i nam podobna zasada?

– Boże drogi! – krzyknęła histerycznie Agnieszka.

⁹ Tacyt (ok. 55-120 r.) – historyk rzymski. Główne jego dzieła to: „Aimales” (Roczniki) – obejmujące lata 14-68 i „Historia” – lata 69-96. Opis Germanii pozostawił w dziele pt. „De origine et situ Germanorum” (O pochodzeniu i położeniu Germanów), zwanym później krótko „Germania”.

¹⁰ Framea (z łac.) – dzida, włócznia.

Cmentarzysko rozbłysło raptem niebieskawymi ognikami. Szczyt wzgórza, gdzie stał krąg magiczny, zapłonął malutkimi płomykami podobnymi do przezroczystych błędnych ogników na bagnach.

Rzuciliśmy się w stronę kurhanów. Biegliśmy potracając się o siebie i potykając na wystających z ziemi korzeniach sosen. Stok wzgórza był śliski, pokryty igliwem. Drapaliśmy się na niego, zsuwając się i padając.

Nie wierzyliśmy własnym oczom. Płonął kamienny krąg. Każdy z podługowatych kamieni stał się pochodnią. Wydawał się okryty niebieskawym ogniem.

Podbiegliśmy jeszcze kilkanaście kroków. I nagle wszystkie te ogniki zgasły, jakby zduszone czyjąś potężną dłonią. Na czubku jednego z głazów przez krótki moment tańczył jeszcze maleńki płomyk. Ale i on zawirował i znikł. Krąg stał się znowu ciemny i martwy. Otoczył nas mrok.

– Ktoś spletał nam figla – rzekł Andrzej.

Chudy Genek miał latarkę elektryczną. Obejrzelśmy dokładnie każdy kamień w kręgu. Ale nie potrafiliśmy powiedzieć, jakim cudem zapłonęły kamienie.

– Ktoś chciał nas nastraszyć – mruknąłem.

– Koniec świata! – zawołał Paweł.

Siedzieliśmy przy ognisku wszyscy. Nikt z nas ani na chwilę nie odszedł od gromady.

– Płomienie miały barwę niebieskawą jak palący się gaz – zastanawiał się głośno Genek.

Ostatecznie właśnie on powinien się znać na tych sprawach – jest inżynierem chemikiem.

– Taką samą barwę ma płomień spirytusu... Tak, to był spirytus denaturowany – zawyrokował.

Zaczęliśmy pociągać nosami. Rzeczywiście, w bezwietrznym nocnym powietrzu pozostał jakby zapach denaturatu. Ale może tak nam się tylko wydawało?

Dokonałiśmy wspólnie inspekcji wszystkich wykopów. Profil¹¹ kurhanu oznaczonego numerem czternastym pękł wzdłuż i jedna połówka zsunęła się w dół. Czy pęknięcie profilu i zapalenie się głazów miały ze sobą jakiś związek?

Wróciliśmy do obozu, do ogniska, które powoli przygasało. Kilkanaście minut po dwunastej w niezbyt wesołym nastroju rozeszliśmy się do swoich namiotów.

Długo w noc nie spałem. Leżąc w przytulnym wnętrzu namiotu słyszałem, jak nadszedł deszcz i począł monotonnie szemrać nad moją głową. Potem zaniepokoił mnie cichutki ruch między książkami w kącie namiotu. Zapaliłem świeczkę i oczom moim ukazała się wielka ropucha. Ze wstrętem wyrzuciłem ją na dwór. Później przypomniałem sobie, że w wierzeniach Gotów dusza opuszczająca ciało zmarłego jawiła się ludziom albo w kształcie błędnego ognika, albo też jako zwierzę, najczęściej w postaci myszy lub ropuchy.

„Dziwna jakaś była ta noc Kupały – niebieskie ognie i wstrętna ropucha” – pomyślałem.

– Mooowa – odpowiedziałem sobie pogardliwie.

¹¹ Profil (z franc.) – tu: poprzeczny lub podłużny przekrój.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

SZCZUPAK I PATELNIĄ • „GRZECZNOŚĆ NIE JEST CNOTĄ MAŁĄ” • OSZUKANY • ROBINSON NA BEZLUDNEJ WYSPIE • NIMFA KALIPSO • KTO PALIŁ OGNIE? • ODYSEUSZ PIJE HERBATĘ • PRÓBA KRADZIEŻY • DZIWNY WEHIKUŁ • UPIÓR

Deszcz padał aż do południa następnego dnia. Roboty na wykopach przerwano. Agnieszka, Zosia i Roman kolorowymi kredkami malowali plany kurhanów.

Kazkowi udało się złapać szczupaka. W triumfie przyniósł go do naszego obozu. Franciszek tłuczkiem do ziemniaków uderzył w mosiężną patelnię i obwieścił jego zwycięstwo.

Szczupak ważył półtora kilograma. Każdy z nas musiał dotknąć śliskiej skóry ryby.

– Mucha nie siada, co? – chwalił się Kazek. Po czym nastąpiła skomplikowana opowieść o tym, jak borykał się z wędką holując do brzegu złowioną rybę.

Potem Chudy Genek pożyczył od nas mosiężną patelnię i rozpaliwszy przy swoim namiocie turystyczny kocher zaczął smażyć szczupaka. Zjedli go we dwójkę, nie poczęstowawszy nawet Agnieszki. Oburzony Franciszek kazał im oddać patelnię. Chudy Genek chciał z niej wytrząsnąć resztki ryby i stuknął patelnią w pień drzewa tak niefortunnie, że ułamał trzonek.

– Panowie, panowie! – załamał ręce pan Franciszek. – Co teraz będzie?

– Nic nie będzie. Odkupimy.

– Mosiężną?

I Franciszek przez dobre dwie godziny nie przestawał biadolić. Woził tę patelnię chyba przez dziesięć archeologicznych sezonów, jadł z niej cały świat naukowy. Patelnia miała więc dla Franciszka wartość zabytkową. A tu dwaj „rybacy” ułamali trzonek.

– Mam dosyć ryb i „rybaków” – podczas obiadu burknął Andrzej i złowieszczą popatrzył na Agnieszkę.

– Wydaje mi się, że powtarzasz zdanie Tomasza – rzekła Agnieszka. – On jest o mnie zazdrosny, więc rozumiem jego niechęć do tych sympatycznych inżynierów. Ale z czego wynika twoja niechęć?

Zosia zaśmiała się. Tłumił śmiech Roman i Paweł. Andrzej pogardliwym milczeniem zbył uwagę Agnieszki. Los „rybaków” był przesądzony.

– Jutro podpalę ich namiot. To są dzwony – powiedziałem.

– Ostrzegę ich – rzekła Agnieszka.

Nie powiedziała im jednak ani słowa, bo po południu Chudy Genek zgłosił się do mnie i grzecznie poprosił, czy nie mógłbym go swym kajakiem przewieźć na „bezludną wyspę”. Chciał zdobyć jajo kaczki, żeby ugnieść z jajecznego ciasta jakąś smakowitą pastę na przynętę dla ryb.

Grzeczność nie jest cnotą małą.

Deszczowe chmury opuściły niebo i rozstały się z nami bez niepotrzebnych łez. Na czystym niebie stało mgliste, ale upalne słońce. Ziemia parowała. Było trochę duszno, lecz bardzo ciepło i chętnie zgodziłem się na przejażdżkę po jeziorze.

Na brzeg „bezludnej wyspy” wyskoczyłem pierwszy. Wówczas Chudy Genek odepchnął kajak wiosłem i odpłynął do obozu, wołając:

– Jesteśmy dzwony, co? Podpalić nas pan pragniesz, co? Teraz popróbuje pan płynąć do brzegu jak kaczka. Ochłodniesz pan w swych zamiarach.

Kiedy był już w połowie jeziora, krzyknął:

– Powrócę, jak pan zawoła na całe jezioro: „Nie jesteście dzwony”.

Zrobił mi głupi kawał. Dałem się nabrać na tę jego grzeczność. U takich ludzi nawet chwila grzeczności jest podejrzana.

Usiadłem na brzegu wyspy, zapaliłem papierosa. Nie miałem nadziei, że Paweł lub Andrzej domyślą się mej przygody i przyłyną mi na ratunek. Mogłem wołać o pomoc, ale brzeg był daleko. A poza tym – przecież właśnie na tych moich żalonych wołaniach zależało Chudemu Genkowi.

Niedawno zjadłem obiad, czułem się syty i trochę ociężały. Przypiekało słońce. Bezludna wyspa zdawała się spać w ciszy. Lecz murawa po nocnym deszczu była jeszcze zbyt wilgotna dla drzemki. Ruszyłem więc na obchód wyspy.

„Jestem jak Robinson – roztkliwiałem się nad sobą. – Samotny, przez zły los wyrzucony na bezludne brzegi”.

Na piaszczystym cyplu podniosłem duże, białe pióro. Gniazdo łabędzie było wciąż puste, lecz na jego obwodzie znalazły sobie siedlisko dzikie kaczki i pozostawiły tu po kilka białych i ciemnych jajek.

– Na dobrą sprawę mogę się żywić jajami – westchnąłem. Nie lubiłem jajek. Tym bardziej kaczych.

Gniazda opustoszały dopiero przed chwilą, jajka były jeszcze ciepłutkie. Opuściłem cypel, żeby kaczki mogły powrócić. Nie chciałem swoją osobą utrudniać ptactwu życia na tej wyspie szczęśliwej.

Usiadłem za kępą krzaków. W szuwarach wszczął się natychmiast delikatny ruch, pojawiały się mewy. Drobnutkie fale wbiegały na piasek i umykały jak spłoszone rybki. Zachwycała mnie intensywne zielenie trawy i samotność, którą potwierdzał coraz głośniejszy zgiełk ptasich głosów.

Byłem sobą. Może śmiesznym, sentymentalnym, ale sobą. Nikogo nie musiałem się wstydić, nie bałem się niczyich oczu, nie bałem się, że ktoś powie na mnie: pozer. Mogłem głośno recytować Petrarke wiedząc, że nikt mnie tu nie słyszy.

*Samotny, w myślach, poprzez puste pola
Wlokę się krokiem ciężkim i powolnym,
Szukając miejsca – tak mnie gna niedola
Gdzie bym od cienia człowieka był wolny.*

*Nie widzę innej rady, aby uciec
Od ludzi, którzy wiedzą wszystko o mnie.
Nie można ukryć serca; więc spróbujcie
Wyczytać ogień, który we mnie płonie.*

Nie gnała mną niedola, nie szedłem nigdzie krokiem ciężkim, nie ja uciekłem od ludzi, ale mnie tutaj pozostawiono samego dla głupiego kawału. Przyjemnie jednak było sobie wyobrazić, że się jest właśnie takim, smutnym i nieszczęśliwym. Tym bardziej że nikt nie mógł tego podpatrzeć i wyśmiać.

Nikt...? Na gładkim piasku dostrzegłem świeży ślad drobnej bosej stopy. Jak Robinson – najpierw przeraziłem się. Więc jednak ktoś widział, jak się tu wyglupiałem? Potem przyszła ciekawość: któż to taki ukrywa się na bezludnej wyspie?

Ślad bosej stopy schodził do wody, a potem wracał na murawę i znikał w gęstej, zwartej ścianie krzewów.

– Dzień dobry! – powitała mnie młoda dziewczyna.

– Dzień dobry! – mruknąłem zaskoczony.

Miała pociągłą twarzyczkę i ostry, jakby trochę ptasi nosek. Włosy ciemnoblonde, upięte przedziwnie wysoko. Gdyby nie czarne, wąziutkie spodnie i czarny sweter z dużym dekoltem, wyglądałaby jak bizantyńska księżniczka. Albo jak jeden z aniołów na obrazie Rublowa¹², którym zachwycałem się niedawno w Zagorsku, w Troicko-Siergiejewskiej Ławrze¹³.

¹² Andrzej Rublow (ok. 1370-1430) – jeden z najslawniejszych malarzy rosyjskich XV w.; mnich w klasztorze Andronikowa pod Moskwą, był związany z klasztorze Troicko-Siergiejewskim, który w tym czasie stanowił ośrodek kultury rosyjskiej.

¹³ Troicko-Siergiejewska Ławra – klasztor prawosławny w Zagorsku w Rosji.

– Co pani tutaj robi?

Wzruszyła ramionami.

– Mieszkam.

– Sama?

Zawahała się.

– ...Sama.

– I nie boi się pani?

– Boję się. Intruzów takich jak pan.

W krzakach była maleńka polanka. Stał tu namiot, a przed nim paliła się maszynka spirytusowa. Obok leżał okryty gałęziami drewniany niebieski kajak i wiosła.

– Napije się pan herbaty? – zapytała.

– Przepraszam za najście... – jękałem się. – Ale to naprawdę nie moja wina...

– Widziałam, jak ten facet uciekł kajakiem. Co to za jeden?

– Przezywamy go Chudy Genek. Inżynier, chemik. Wstrętny typ. Ryby tutaj łowi.

Nalała mocnej, dobrej herbaty do dwóch plastikowych kubków.

– To mój ostatni gorący posiłek. Litr denaturatu zmarnowałam dziś w nocy, żeby wam strachu napędzić. Mam nadzieję, że wyświadczy mi pan grzeczność i kupi we wsi butelkę spirytusu.

– Że też chciało się pani dla żartu pójść nocą na cmentarzysko i zmarnować tyle spirytusu.

– Na cmentarzysko? – zaniepokoiła się.

– No tak. Przecież tam jest cmentarz. Rozkopujemy stare groby.

– Jezus Maria! – pisnęła zakrywając rękami twarz. – I ja tam podkrađłam się nocą.

Między groby?

– Między gockie szkielety.

– Jedna noga obsunęła mi się w jakiś dół. To pewnie był otwarty grób?

– Oczywiście. Zawaliła pani jeden wykop.

Patrzyła na mnie z prawdziwym strachem.

– Co wy tam robicie? – szepnęła.

– Rozkopujemy groby. Zwykła ekspedycja archeologiczna. Badamy groby i kurhany Gotów.

– Gotów?

– I Gotek również.

– I wykopujecie ich ciała?

– Szkielety oraz ozdoby. Bransolety, naszyjniki, agrafy.

– A ładnie chodziły ubrane?

– Gotki? Nosily futra ze skór dzikich zwierząt, płócienne odzienie zdobione czerwonym naszyciem. Górnych części okrycia nie wydłużały rękawy, zostawiając odsłonięte łokcie i ramiona oraz bardzo duży dekolt.

– Jakoś dziwnie się pan wyraża.

– To nie ja, to Tacyt, historyk rzymski.

– Pan też jest archeologiem?

– Nie. Historykiem sztuki.

– Obserwowałam wasz obóz przez lornetkę. Nudno tu na wyspie, więc co miałam robić? Myślałam, że jakąś wielką budowlę będziecie stawiać, bo kopiecie doły. I byłam na was zła. Tutaj jest taki śliczny zakątek, a wy chcecie go zszpecić. Wczoraj wieczorem czułam się samotna, tak mi było przykro, że aż płakałam. Usłyszałam wasze głupie śpiewy przy ognisku.

– Rzeczywiście, śpiewy były niezbyt mądre.

– Postanowiłam zepsuć wam przyjemny wieczór. Podpłynęłam do brzegu, wdrapałam się na wzgórze, oblałam denaturatem kilka kamieni i podpaliłam. Potem śmiałam się, gdy przybiegliście przestraszeni. I już więcej nie śpiewaliście. A najbardziej gniewa mnie ta wasza wysoka blondynka.

– Agnieszka?

– Nie wiem, jak jej na imię. Widziałam, że najpierw spacerowała z panem. Potem z tym wysokim, chudym. Nie lubię takich dziewcząt.

– Jak pani na imię? – zapytałam. Spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Czy to nie wszystko jedno? Jeśli ma pan odrobinę wyobraźni, proszę sobie wyobrazić imię, które odpowiadałoby mojej osobie.

– Och, proszę pani. Ja mam bardzo dużo wyobraźni. Nazwę panią: Krystyną.

Zaczerwieniła się.

– Ja naprawdę mam na imię Krystyna.

– No, widzi pani, jaką ja mam wyobraźnię?

I wyciągnąłem do niej paczkę papierosów.

– Żałuję, że nie palę „syren” – rzekłem.

– Dziękuję. Nie palę.

– Taak... – mruknąłem. – To bardzo dziwna historia. Więc pani w ogóle nie pali... A jakiego koloru szminki pani używa?

– Nie szminkuję się. Przecież chyba pan zauważył? – oburzyła się.

Wzruszyłem ramionami. Nic nie rozumiałem. Na imię miała Krystyna, ale nie paliła i nie używała szminki koloru cyklamenu.

– Do widzenia pani – powiedziałem.

– Już pan odchodzi?

– Jest pani zbyt tajemnicza... A ja lubię jasność we wszelkich sprawach.

Parsknęła śmiechem.

– Nigdzie pan nie odejdzie. Jest pan uwięziony na wyspie. Ja jestem nimfą Kalipso¹⁴, a pan Odyseuszem. Jeśli jednak ładnie mnie pan poprosi, odwiozę pana na brzeg. Ale dopiero wieczorem.

– Ładnie panią proszę...

– Przewiozę pod warunkiem, że nie zdradzi pan tajemnicy mojej wyspy.

– Jaką tajemnicę pani ma na myśli?

– Tę, że ja tu mieszkam.

– A swoją drogą pani jest bardzo odważną dziewczyną – rzekłem z podziwem.

– Mogę się niczego nie bać, dopóki nikt nie wie, że tutaj jestem. Pan już wie. Ale pan mnie nie zdradzi. Mam pełne zaufanie.

– Nie wiem, czy uzasadnione.

– Człowiek, który tak ładnie mówi wiersze, nie może być zły.

Teraz ja się zaczerwieniłem. Więc jednak słyszała?

– Do widzenia pani – powiedziałem.

– No, niechże pan siada. Teraz i tak nie będę mogła pana odwiedzić, bo ktoś zauważy. Musimy poczekać tutaj do zmroku.

Wypiłem jeszcze kubek herbaty. Wypaliłem papierosa. Podobała mi się ta wyspa ze swoją tajemnicą.

– Na początku naszej rozmowy wywnioskowałem, że mieszka tu z panią ktoś jeszcze. Proszę go nie ukrywać przede mną.

– A ja proszę o nic mnie nie pytać. I tak nie powiem prawdy. Prawda wyda się panu mało ciekawa. Jestem nimfa Kalipso. Czy to panu nie wystarcza?

Roześmiała się.

– Nie. Bo ja nie przypominam Odyseusza, a najwyżej któregoś z jego marynarzy. Poza tym wydaje mi się pani pensjonarką.

Tak przekomarzając się, kłócąc i opowiadając o wykopaliskach – doczekałem do wieczora.

O zmroku, pod osłoną wyspy, nimfa Kalipso zawiozła mnie swym kajakiem na przeciwległy brzeg. Teraz musiałem obejść pieszo całe jezioro, nakładając przynajmniej cztery kilometry drogi.

Poprosiłem Krystynę, aby w razie jakiegoś niebezpieczeństwa wywiesiła na krzakach białą chusteczkę. Jeśli chusteczka pojawi się, pośpiesz z pomocą.

Do obozu wróciłem godzinę po kolacji. Z zapasów ekspedycji wykradłem litrową butelkę ze spirytusem. Znalazłem na brzegu swój kajak i znowu pomknąłem na wyspę.

Wróciłem nocą. Żelazna kuchenka Franciszka była już zupełnie zimna, a mleczna zupa, którą ugotował na kolację, stała się gęstą i niesmaczną papką. Dołałem do niej trochę mleka, rozpałiłem w piecyku suchymi szyszkami.

¹⁴ Kalipso – w „Odysei” Homera nimfa mieszkająca na wyspie Ogigii; Kalipso zatrzymała u siebie Odyseusza po rozbiciu się jego okrętu i zwolniła go dopiero po siedmiu latach na rozkaz Zeusa.

Do kuchni zajrzał Chudy Genek.

– Wrócił pan? – zapytał niewinnie.

– Nie. To mój duch powrócił z Walhalli¹⁵ – burknąłem, chociaż właściwie powinienem był nie odezwać się ani słowem.

– Suchy! Całkiem suchy! – nie przestawał się dziwić.

– Cały i zdrowy.

Genek odszedł. Zjawiała się Agnieszka.

– Gdzie przepadłeś na całe popołudnie? Nie jadłeś kolacji, biedaku? Pomogę ci...

Nie chciałem jej pomocy.

– Dopiero przed chwileczką od pana Genka dowiedziałam się, jaki ci głupi kawał zrobił. Obraziłam się na niego.

– Och, nie miałaś powodu. To taki sympatyczny, wykształcony człowiek.

– Czy mówisz to szczerze?

– Nie, bo wiem, że mu powtórzysz moje słowa.

Odeszła nawet nie skinąwszy głową. Zjadłem mleczną zupę i poszedłem na brzeg jeziora. Patrzyłem na wyspę łudząc się, że może dostrzegę choćby nikły płomyk spirytusowej kuchenki. Ale noc była chmurna, bezgwiezdna.

Jakże tam ona, w tej ciemności, sama jedna na bezludnej wyspie? – współczułem dziewczynie.

I kilkakrotnie miałem ochotę wsiąść w składak i popłynąć do niej. Bałem się jednak, że poczyta to za nietakt. Czy można młodej panience składać wizyty o tak późnej porze i bez zaproszenia?

Nad brzegiem jeziora odnalazł mnie Paweł.

– Gdzieś się podziewał, braciachu? – powitał mnie radośnie, po bratersku.

– Przeprowadzałem w terenie mały rekonesans – odpowiedziałem wykrętnie.

Odrzekł uroczyście:

– Dzisiejszej nocy o dwunastej złodzieje znowu próbowali zakraść się do mieszkania Alfreda z Doliny. Spłoszył ich sąsiad Rzyndowej, Karwalski. Widział, jak z ogródka przed domem Rzyndowej uciekał chyłkiem jakiś mężczyzna w bieli.

– W bieli?

– Tak. Upiór – powiedział Paweł.

¹⁵ Walhalla – w mitologii germańskiej raj, miejsce pobytu bohaterów po śmierci.

ROZDZIAŁ ÓSMY

**UPIORY WSTAJĄ Z GROBÓW • SIMOKATTES I TACYT • SŁOWIANIE Z
GĘŚLAMI CZY Z TOPORAMI? • HERR OSKAR STROM, SZWEDZKI
ARCHEOLOG • CUDOWNY KRAJ • NIMFA KALIPSO PLANUJE ZEMSTĘ
• „LAXIGEN” • JAKIE BYŁY I JAKIE SĄ SŁOWIAŃSKIE KOBIETY**

„...Skąd niebawem rozszerzając się po siedziby Ulmerugiów siedzących nad brzegami Oceanu¹⁶, osadzali się i tamtych po stoczonej bitwie z własnych siedzib przepędzali, a podbijając już wtedy sąsiadujących Wandalów, dołączyli ich do swych sukcesów” – opowiada Jordanes o poczynaniach Gotów nad ujściem Wisły.

Ulmerugiowie, czyli Rugiowie wyspiarscy, oraz Wandale – były to plemiona germańskie. Powołując się na świadectwo Jordanesa wielu niemieckich uczonych jeszcze raz próbowało udowodnić całemu światu, że Pomorze od wieków zamieszkiwali Germanie. Słowianie zaś przyszedli tu dopiero w kilkaset lat później.

Po drugiej wojnie światowej, gdy zdawało się, że wielu uczonych zrozumiało, jak niebezpieczne dla ludzkiego istnienia są ich „teorie”, poważny zachodnioniemiecki periodyk „Saeculum” pisze o Gotach, że przybyli oni „nad niemieckie wybrzeże” Bałtyku, ujścia zaś Wisły i Odry były dla germańskich drużyn „bazami wypadowymi” pozwalającymi dokonywać wojennej penetracji w głąb lądu. Gotów umiejscowiło „Saeculum” na północ od germańskich Burgundów i Wandalów, ani słowem nie wspominając o istnieniu słowiańskich Wenedów, czym jeszcze raz dało wyraz przekonaniu, że ziemie, które uważa się ogólnie za rdzennie słowiańskie, należały ongiś do Germanów. Tak oto z roku na rok ze starych grobów rozrzuconych na Pomorzu powstają wciąż nowe teorie-upiory, gotowe znowu rzucić się na nas żywych i osiadłych na tych ziemiach.

Jordanes pisał swą historię w VI wieku, a geograf aleksandryjski Klaudiusz Ptolemeusz, wspomina o Gotach w II wieku, gdy znajdowali się oni jeszcze na Pomorzu. Były to więc dla Ptolemeusza sprawy współczesne, można zatem bardziej mu wierzyć niż Jordanesowi.

¹⁶ Morze Bałtyckie

„Sarmację zamieszkują ogromne ludy: Wenedowie wzdłuż całej Zatoki Wenedzkiej... Z mniejszych zaś ludów mieszkają w Sarmacji poniżej Wenedów nad rzeką Wistulą Gydonowie” – pisał Ptolemeusz.

Wenedów uważa się w nauce za protoplastów Słowian. Zatoka Wenedzka – to oczywiście Zatoka Gdańska. Gydonów mieszkających nad rzeką Wistulą poniżej Wenedów identyfikować należy z Gotami.

Nie wspomina Ptolemeusz ani o germańskich Wandalach, ani też o Burgundach. Teorie-upiory są jak wielkie i groźne budowle postawione na słabych fundamentach.

Przyplłynęli Goci na wybrzeże Bałtyku zasiedlone przez słowiańskich Wenedów. I zamieszkali poniżej Wenedów nad rzeką Wisłą. Jak ułożyły się stosunki między ogromnym ludem Wenedów i małym ludem Gotów? Słowa „ogromnym” i „małym” napisałem rozstrzelonym drukiem. Bo na te dwa słowa jakoś mało uwagi zwracali uczeni. Może dlatego doszło do tak wielu nieporozumień? Choć właściwie nieporozumień wcale nie było. Uczeni na ogół wydali prosty sąd o tej sprawie: Goci podbili Słowian-Wenedów. Któż by się mógł oprzeć bitnym germańskim wojownikom, którzy w kilka wieków później zawładnęli Grecją i Rzymem, orężem przebili sobie drogę do Hiszpanii?

O naszych przodkach, Słowianach, panuje zresztą, szczególnie w Polsce, dość jednoznaczne przekonanie. Przodkowie nasi byli ludźmi, którzy woleli pług i orkę niż oręż i bitwę. Byli ludźmi pokojowymi, stronili od walki, nie znali żelaza i, jak ich opisuje Kraszewski w „Starej baśni”, aż usta rozdziawiali na widok żelaznych mieczyków, które im przywiózł na sprzedaż kupiec niemiecki. Historyk bizantyński Teofilakt Simokattes z VII wieku naszej ery opowiadał, że gdy cesarz bizantyński Maurycy wyprawił się na Awarów¹⁷, mieszkających nad Dunajem, pewnego dnia gwardziści jego schwytali trzech ludzi. Byli to Słowianie. Nie posiadali żadnego uzbrojenia, nieśli jedynie gęśle. I napisał Simokattes:

„Noszą zaś cytary (czyli gęśle), ponieważ nie są przyzwyczajeni odziewać się w zbroje, bo ich ziemia nie zna żelaza i dlatego pozwala im żyć w spokoju i bez waśni. Grają na lirach, ponieważ nie umieją dąć w surmy bojowe, a ludziom, którzy nigdy nie słyszeli o wojnie, zbyteczne są oczywiście surowsze rodzaje muzyki.”

I jeśli tacy byli i owi Wenedowie, z którymi pięć wieków wcześniej spotkali się Goci, czyż można się dziwić, że wojowniczy najeźdźcy rozprawili się z nimi bez trudu?

W literaturze naszej – za przyczyną owego Simokattesesa – pozostał do dzisiaj wizerunek naszych praojców jako ludzi na gęślach grających, sielskich i anielskich.

Trudno dziś powiedzieć, jak naprawdę przedstawiała się sprawa z owymi trzema gęslarzami, których schwycił cesarz Maurycy. Może byli to jacyś wywiadowcy słowiańscy? Schwytani ratowali swe życie opowiadaniem bajeczek. Bo jest faktem który każdy może stwierdzić własnymi oczami – że już na 500 lat przed Simokattesem nasi praojcowie nie tylko

¹⁷ Awarowie (Hunowie) – plemię turskie, które przybyło do Europy ok. 558 r. znad granicy chińskiej i osiedliło się w Panonii (obecnie Węgry), zakładając tu ok. 570 r. duże państwo. Słowianie i Awarowie dokonywali napadów na Bizancjum.

doskonale znali broń, ale posiadali dużą ilość własnych pieców hutniczych, gdzie z rudy wytapiali żelazo, z żelaza zaś sporządzali broń. Dziesiątki pieców hutniczych, tak zwanych dymarek, odsłoniли na naszych ziemiach archeologowie. Odkryto nie tylko poszczególne piece, lecz i wielkie „kombinaty hutnicze” współczesne Simokattesowi. Co ciekawe, jeden taki kombinat mieścił się tam, gdzie dzisiejsza Nowa Huta. Starodawne piece hutnicze znaleziono także w Gdańsku. Wenedowie znali żelazo, wyrabiali z niego broń.

Historyka rzymskiego Tacyta do tego stopnia zadziwiła wojowniczość Wenedów, że zastanawiał się, czy ma ich zaliczyć do Sarmatów¹⁸ – ludu słynnego z męstwa – czy też do Germanów. „Peucynów¹⁹, Wenedów i Fennów²⁰ narody, nie wiem, jeśli mam do Germanów czyli do Sarmatów przyłączyć...” Wenedowie wiele przyjęli z obyczajów Sarmatów, „albowiem ile się tylko gór między Fennami i Peucynami wznosi, wszystkie łotrostwem swoim napelnili. Atoli zaliczać ich raczej należy między Germanów, bo i siedliska mają stałe, i tarcze noszą, i pieszo rzeško chodzą; różni w tym od Sarmatów, którzy na koniach albo na wozach wiek swój trawiają”.

Tacyt żył w latach 55-120 naszej ery. Dał on obraz Wenedów takich, z jakimi zetknęli się Goci. Wenedów Simokattesa łatwo chyba byłoby podbić uzbrojonym Gotom. Czy jednak równie łatwo poradzili sobie z Wenedami opisanymi przez Tacyta?

Oj, bieda z tymi Gotami.

Przy śniadaniu trwał nieśmiertelny temat figusów.

– Figus figusowi nie równy – powiedziała stara Rzyndowa. – Moje były ogromne, z liśćmi jak podeszwa.

– Dlaczego mówi pani „były”. Jeszcze przecież dwa pozostały?

Rzyndowa machnęła ręką.

– I tak mi je ukradną. Złodzieja, który uparł się coś ukraść, nikt nie upilnuje.

– A czy babcia ma pewność, że złodziejowi zależało właśnie na figusach?

Tym razem zabrał głos Paweł:

– Odwiedziłem panią Rzyndowa. W kącie pokoju na stoliku stoją dwa figusy. W starej komodzie leży trochę połatanej bielizny, pościel na łóżku. To cały jej majątek. Figusy rzeczywiście są duże. I ładne. Koniec świata z tymi złodziejami.

– Były jeszcze piękniejsze. Ale mój brat Alfred, Panie świeć nad jego duszą, przesadził je do nowych doniczek. Odtąd nie chciały już rość tak pięknie, jak dawniej. Trochę liści pożółkło. Nowe doniczki są dla nich za małe. Nie macie, panowie, jakich starych, dziurawych garnków, żeby figusy znowu przesadzić?

¹⁸ Sarmaci – koczownicze plemię pochodzenia azjatyckiego, prawdopodobnie irańskiego, zamieszkujące w pierwszych wiekach naszej ery tereny wschodniej Europy (w dolnym biegu Dunaju i nad Morzem Czarnym).

¹⁹ Peucynowie – plemię pochodzenia celtyckiego, stanowiące część związku plemiennego wspomnianych już w tej książce Bastarnów.

²⁰ Fennowie – Finowie.

Gadanina Rzyndowej zdenerwowała spokojnego zwykle Franciszka. Prawie krzyknął na nią:

– A pani w kółko to samo. O tych figusach. Pani myśli, że my tu jakieś wielkie gospodarstwo prowadzimy, stare garnki trzymamy? Może jeszcze przesadzić pani te figusy?

Na leśnej drodze zaturkotały koła chłopskiego wozu. Rzadko tu do nas ktokolwiek wozem zaglądał. Z zaciekawieniem oczekiwaliśmy wizyty.

Zza drzew wyjechała chłopska furka. Furman sennie kiwał się na worku wypchanym słomą. Z tyłu, na korytku z sieczką, siedział sztywno jakiś dziwny jegomość w jasnych flanelowych spodniach, tweedowej szarej marynarce i białej koszuli z czarną muszką. Na nosie tkwiły mu binokle.

Wóz wjechał w środek naszego obozu. Dziwny jegomość zgrabnie zeskoczył na ziemię, starannie zdjął z wozu skórzany neseser i płaszcz-prochowiec. Potem podszedł do nas i złożył niedbały ukłon.

– Ich bin²¹ Oskar Strom – oświadczył.

Andrzej wyciągnął rękę.

– Sie sind Herr Doktor Oskar Strom, schwedischer Archeolog²²

– Ja, natürlich...²³ – ucieszył się Herr Oskar i pokazał nam dwa rzędy pięknych sztucznych zębów.

Przywitaliśmy się wszyscy z panem Oskarem. Babcia Rzyndowa podała mu swą zwiędłą dłoń i dygnęła jak młoda panienka.

– Diese gnadige Frau hat grosses Interesse fur Archeologie²⁴ – przedstawił ją Andrzej.

– Ja. Ja. Wirklich²⁵ – gorąco przyświadczyła Rzyndowa. Ku naszemu zdziwieniu okazało się, że mówi po niemiecku.

Niemieckim doskonale władali Andrzej i Agnieszka, ja także potrafiłem się w tym języku jako tako porozumieć.

Stara Rzyndowa natychmiast opowiedziała panu Oskarowi o kradzieży figusa.

– Wspaniały kraj! Cudowny kraj! – zachwycił się Herr Oskar. – Pieniądzy nie ukradli, a kwiatek porwali. Nigdy nie przypuszczałem, że ludzie w Polsce tak bardzo kochają rośliny doniczkowe.

– W Szwecji podobno nawet figusów nie kradną – ponuro powiedział Paweł.

– Panowie, tylko bez polityki – wtrącił Chudy Genek, zwabiony znad jeziora obecnością dziwnego gościa.

Pana Oskara Stroma, szwedzkiego archeologa, przygnały do Polski zainteresowania wykopaliskami w Gdańsku. Tam dowiedział się o naszej ekspedycji rozkopującej kurhany gockie. I oczywiście zamiast pozostać w Gdańsku, trafił do naszego obozu.

²¹ Ich bin (niem.) – jestem.

²² Sie sind Herr... (niem.) – to pan jest doktor Oskar Strom, szwedzki archeolog.

²³ Ja, natürlich (niem.) – tak, naturalnie.

²⁴ Diese gnadige Frau... (niem.) – ta pani bardzo interesuje się archeologią.

²⁵ Wirklich (niem.) – rzeczywiście.

Z gospodarczego namiotu wyciągnęliśmy jeszcze jeden mały namiocik dla miłego gościa. Paweł powiedział z filozoficzną zadumą:

– Gdyby to człowiek mógł mieć w swoim mieszkaniu kilka innych składanych mieszkań. Problem mieszkaniowy byłby rozwiązany.

– Każdy ma swego figusa, co go gryzie – odrzekłem niezbyt mądrze.

Po zakwaterowaniu Herr Oskara oglądaliśmy wydobyte z kurhanów zabytki.

– Macie piękne, wspaniałe znaleziska – piał z radości szwedzki uczonek. – Co za cudowny kraj, w którym są nawet gockie zabytki.

– Czy Szwedzi podobni są do Gotów? – zapytała Agnieszka. – Mam na myśli, czy tak samo szarmancko odnoszą się do kobiet. Te wszystkie ozdoby pochodzą z grobów kobiecych.

– Och, jakże smutno słuchać, gdy taka piękna kobieta mówi o grobach – wykrętnie odparł Herr Oskar.

Agnieszka darowała mu wykręt. Wszak powiedział, że jest piękna.

Poszliśmy na cmentarzysko. Gdy byliśmy na szczycie wzgórza, przyłożyłem do oczu lornetkę i zerknąłem na jezioro i bezludną wyspę.

Na wyspie biała chusteczka.

Zbiegłem na brzeg, do kajaka. Opłynąłem wyspę, a gdy zasłoniły mnie drzewa, przybiłem do piaszczystego cypla.

– Czekam na pana już półtorej godziny – z nadąsaną miną powitała mnie Krystyna.

– Czy stało się coś złego?

– Nic się nie stało. Po prostu nudzi mi się tutaj i chciałam zobaczyć pana. Napije się pan herbaty?

– Herbaty chętnie się napiję...

– Ciekawam, jak się pan zemścił na Chudym Genku.

– Wcale się nie zemściłem. Co najwyżej mogę go zwymyślać. Ale i tego nie uczyniłem.

– Dlaczego?

– Przecież powinienem mu okazać swoją wyższość.

Uśmiechnęła się ironicznie:

– Wyższość czy tchórzostwo?

Nie odpowiedziałem. Zaprosiła mnie na polankę, gdzie stał jej namiot. Zapaliła maszynkę spirytusową, zaparzyła esencję w termosie.

– A ja myślałam o panu jak o Odyseuszu, który nie pozwoli wrogom dmuchać sobie w kaszę. Takim, co potrafi być śmiały do szaleństwa, a jednocześnie jest wzruszająco poetyczny. W samotności recytuje wiersze... Okazuje pomoc duszyczkom zabłąkanym na bezludną wyspę.

– Pani kpi sobie ze mnie?

– Oczywiście. Mimo to sądziłam, że ukarze pan Chudego Genka. Przecież nie jest pan kwakrem.

– Ale duchem puszczy też nie jestem – mruknąłem. I pomyślałem melancholijnie, że uroda tej dziewczyny, przypominając twarze anielskie Rublowa, kryje zapewne charakter złościcy.

– Ciekawym bardzo, co to za mężczyzna gości z panią na wyspie? – powiedziałem.

– Nikt ze mną nie gości. Albo mi pan wierzy, albo nie? – krzyknęła rozgniewana.

– Wierzę pani. Lecz jeśli pragnie pani, żebym okazał jej pomoc, muszę wiedzieć, co panią sprowadziło na tę bezludną wyspę.

Zakorkowała termos z herbatą.

– Kto panu powiedział, że pragnę pomocy? Od nikogo nic nie chcę. Nikt mi nie jest potrzebny. Nikt! Nikt! Nikt! wołała. – Przyplłynęłam na tę wyspę, bo tak mi się podobało. I będę tu tak długo, jak zechcę.

Zdziwił mnie jej gniew, sprowokowany tak niewinnym pytaniem. Jaką tajemnicę ukrywała przede mną nimfa Kalipso?

Postąpiłem tak, jak postąpiłby chyba każdy z was na moim miejscu. Wstałem, podziękowałem za nie wypitą herbatę i odszedłem.

Zatrzymała mnie, gdy gramoliłem się do kajaka. Chciała, żebym pozostał, ale nie bardzo wiedziała, jak mi to powiedzieć.

– Musi się pan zemścić na Chudym Genku. Przemyslałam tę sprawę. Wiem, jak to zrobimy. Kiedyś w podobny sposób dokuczaliśmy pewnemu panu na obozie harcerskim. Pojedźcie pan do miasta i kupi „laxigen”.

– Co to jest?

– Silnie działający środek przeczyszczający. W pastylkach. Ale te pastylki można rozkruszyć na mączkę i dosypać do jedzenia.

– Pani jest Brunhildą! – rzekłem ze zgrozą.

– A pana zjedzą myszy. Albo mole. No, niechże się pan otrząśnie, otrzepie z kurzu – zawołała.

– Myśl jest dobra. Ale jak ją zrealizować?

Wróciliśmy na polankę pić herbatę.

Plan zemsty na Chudym Genku wymagał szczegółowego opracowania. Chciałem bowiem, żeby zemsta wyglądała ładnie, choć bardzo okrutnie.

„Co mnie obchodzi, dlaczego ta dziewczyna mieszka na wyspie? – pomyślałem podczas powrotu do obozu. – Czy nie powinno mi wystarczyć, że jest ładna, że przyjemnie się z nią rozmawia i że dzięki niej pognębię Chudego Genka?”

– Tomasz stał się ostatnio bardzo milczący i tajemniczy. Gdzie byłeś, Tomaszu? – zapytała Agnieszka.

Grzebałem łyżką w rzadkiej zupce kartoflanej. Czy laxigen zmieniłby smak tej zupy?

– Trenuję pływanie na kajaku, mięśnie sobie wyrabiam – odrzekłem.

– Sądziłam, że pomożesz mi w rozkopaniu mojego kurhanu.

– Herr Oskar zrobi to na pewno lepiej ode mnie – rzekłem bez złej myśli. Ale Agnieszka zaczerwieniła się.

– Jesteś, Tomaszu, bardzo źle wychowanym człowiekiem.

Andrzej przetłumaczył panu Oskarowi mój dialog z Agnieszką.

– Nein, nein – gorąco zaprzeczył Herr Oskar. – Pan Tomasz jest niezwykle dobrze wychowanym człowiekiem. Ja rzeczywiście pragnę być tu pomocą, a nie zawadą. Ja chcę pomóc pani Agnieszce. Sport, trening, muskulatura, to bardzo ważna sprawa, Herr Thomas.

„Poczekaj, dam ja i tobie laxigenu” – pomyślałem.

– Czy pan mniema, Herr Oskar, że drużyny Gotów, które przyplęły do nas przez Bałtyk, składały się z samych mężczyzn? – zapytała Agnieszka. – Niektórzy uczeni są skłonni twierdzić, że Goci dopiero tutaj żenili się, biorąc za żony słowiańskie kobiety. Jeśliby przyjąć taki pogląd, w naszych kurhanach spoczywają nie Gotki, lecz Słowianki.

– Pogląd taki wydaje się o tyle słuszny – wtrącił Andrzej – że w grobach najstarszych spotykamy bardzo mało ceramiki. W grobach młodszych ceramiki jest już znacznie więcej. Lepieniem naczyń na ogół zajmowały się kobiety, mężczyźni woleli łowy i wojaczkę. Na tej podstawie można wnioskować, zresztą dość dowolnie, że z początku z Gotami było bardzo mało kobiet, a dopiero w późniejszych czasach liczba kobiet wzrosła.

Zauważyłem z powagą:

– Pogląd ten jest słuszny i dlatego, że potwierdza go współczesna praktyka. Każdy cudzoziemiec cieszy się u polskich dziewcząt niezwykle powodziem. Czemuż to Goci mieliby być w tym względzie upośledzeni?

– Czy tak, pani Agnieszko? – zapytał ciekawie Herr Oskar.

I Agnieszka znowu się zarumieniła. Przedtem jednak otrzymałem jej piorunujące spojrzenie.

– Jeśli wierzyć starożytnym autorom – kontynuował swój wywód Andrzej – germańskie plemiona ciągnęły na wędrówki razem z kobietami i dziećmi, z całym dobytkiem załadowanym na wozy. U Plutarcha²⁶ zachował się dokładny opis wędrówki germańskiego plemienia Cymbrów. Dlaczegoż by więc Gotowie nie zabrali ze sobą na okręty swych żon i dzieci? Tym bardziej że prowincja Yastergótland wyludniła się prawie zupełnie. A więc i kobiety także stamtąd wyemigrowały.

– Potwierdza to i Tacyt – rzekł Herr Oskar. – Opowiada on w swej „Germanii”, że kobiety germańskie uczestniczyły w bitwach i samą swoją obecnością zagrzewały mężów do boju. Podobno niejeden szyk wojowników, zachwiany i idący w rozsypkę, niewiasty do ładu doprowadziły.

– Teraz kobiety na ogół stoją nam na zdradzie – powiedziałem z głębokim przekonaniem. A miałem na myśli nie tylko Agnieszkę.

²⁶ Plutarch (ok. 46-120) – pisarz grecki; wśród wielu jego pism najbardziej znane są porównawcze życiorysy sławnych mężów („Vitae paralele”), w których autor zestawia życiorysy wybitnych Greków i Rzymian.

– Jawohl²⁷ – przyświadczył Herr Oskar i bardzo się zadumał.

²⁷ Jawohl (niem.) – tak jest.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

**POŁÓW RAKÓW • ZNIKNIĘCIE PIĘKNEJ WYSPIARKI •
POSZUKIWANIA • STRACHY W MARTWYM DOMU • W OCZEKIWANIU
NA ZŁODZIEJA • NOCNA PRZYGODA NA JEZIORZE • ZAGUBIONY I
ZABŁĄKANY • RATUNEK**

Po obiedzie wysłałem Pawła do apteki w Kartuzach, aby kupił trzy fiołki laxigenu. Oczywiście wtajemniczyłem go w projekt zemsty na Chudym Genku. Zrobiłem to jednak ostrożnie, nie wspominając ani słowem o tajemniczej mieszkance bezludnej wyspy.

Wrócił nocą. Na palcach zakradł się do mego namiotu i trzy szklane rurki z pastylkami położył mi na poduszce tak delikatnie, jakby zawierały nie środki przeczyszczające, ale trotyl.

„Bodajby były równie silne” – pomyślałem.

Opuściłem namiot. Dokoła ciepła noc pachniała żywicą. Świeciło okienko namiociku Andrzeja, na brzegu jeziora szemrała jakaś rozmowa, koło kuchni dźwięczały wiadra. Potem usłyszałem przekleństwo.

– Donnerwetter²⁸ – zaklął Herr Oskar. Wychodząc z namiotu potknął się o sznury.

Postąpiłem kilka kroków w stronę jeziora. Chudy Genek i Gnuśny Kazek owijali szmatami smolny korzeń. Obok stały ich dwa motocykle.

– Będziemy łowić raki. A to pochodnia. W dechę, co?

– Upuścimy z baku trochę benzyny do miseczki, zamoczymy w niej pochodnie i zaświecimy rakom w ślepiu. Łowi pan z nami?

– Nie.

– Nie, to nie. Herr Oskar obiecał nam pomóc.

Nad jeziorem rozbłysła pochodnia Chudego Genka. Wysoki, niebieskawy płomień pochylał się nad powierzchnią wody; skapywały z niego palące się krople, wpadały w czarną toń i płonęły. Był to przepiękny widok. Iskry palące się na wodzie.

Herr Oskar z zakasnymi nogawkami jak bociek wolno kroczył przy brzegu. Chudy Genek przypominał czapłę – raz po raz, jakby dziobiąc nosem powierzchnię jeziora, pochylał

²⁸ Donnerwetter – niemieckie przekleństwo.

się i wyciągał z dna czarnego potwora ze sztywno rozczapierzonymi szczypcami. Złowione raki rzucano do dużego wiadra; ich chitynowe pancerze ocierały się o blachę z cichym chrzęstem.

– Patrz pan, kurza twarz, jakiś kapeć – wołał po polsku Genek do doktora Stroma. Ten oczywiście nic z tego nie rozumiał, ale gorąco przytakiwał:

– Jawohl! Jawohl!... Zum Teufel!²⁹

Paweł nosił wiadro z rakami. Agnieszka skakała po brzegu, potem wpadła do wody i odtąd siedziała cichutka, skurczona z zimna. Gnuśny Kazek czuł dziwną niechęć do raków. Nie chciał ich łowić. Od czasu do czasu zaglądał do wiadra, oświecał je elektryczną latarką i wstrząsał się ze wstrętem: „Brr, co za obrzydliwość!...” Stał mi się teraz sympatyczny i bliski. „Nie, nie dam mu laxigenu” – postanowiłem.

Franciszek kroczył po brzegu z rękami założonymi do tyłu i cieszył się.

– Panowie, jutro z raków zrobimy dobrą zupę...

Poszukując raków, powoli oddalali się brzegiem od obozu. Wziąłem z namiotu wiosło i pojechałem składakiem na bezludną wyspę. Płynąłem szybko, prawie bez szmeru kładąc do wody pióra wiosła.

Wskoczyłem na piaszczystą łachę i zawołałem:

– Nimfo Kalipso! Czy można cię zobaczyć?

Odpowiedział mi szelest liści na drzewach i głośny plusk ptaka uciekającego przez szuwary. Ogarnęło mnie przykre uczucie, że stało się coś złego.

Pobiegłem brzegiem aż do krzaków. Z zapaloną latarką w dłoni przedarłem się na polankę.

Namiot stał jak dawniej. Ale był starannie zasznurowany. I brakowało kajaka. Potem spostrzegłem, że wiązania wejścia do namiotu zostały w przemyślny sposób połączone grubym sznurkiem i zamknięte na małą kłódeczkę. Teraz miałem pewność, że Krystyny na wyspie już nie było. Wyjechała. Na krótko, skoro pozostawiła namiot. Lecz dokąd?...

Zgasilem latarkę. Długą chwilę stałem w ciemnościach, nasłuchując szumu drzew i ciszy, którą tchnęło jezioro.

A jeśli dziś w nocy znowu dokonany zostanie napad na mieszkanie Rzyndowej?...

Na moim zegarku dochodziła dziesiąta. Może Krystyna pojechała na spotkanie człowieka, który pewnej nocy, przybrany w biel, zakradł się do domu Alfreda z Doliny? Gdzież indziej, jeśli nie w Martwym Domu nastąpić mogło spotkanie?

Wskoczyłem do kajaka, aż zakołysał się i bryznęła woda. Może jeszcze zastanę ich w Martwym Domu? Może potrafię przekonać Krystynę, że jest piękna w roli wyspiarki, ale bez brzydkiej tajemnicy.

Wkrótce znalazłem się na środku jeziora. Widziałem z daleka odbłask pochodni Chudego Genka i pomyślałem, że może oni tam na brzegu mądrzej czynią łowiąc raki, niż ja, goniąc za

²⁹ Zum Teufel (niem.) – do diabła.

dziewczyną, która być może okaże się złodziejką. Złodziejką, nawet jeśli przedmiotem kradzieży był skromny figus.

„Tomaszu, nie nadajesz się na apostoła – strofowałem się w duchu. – Wątpliwe, czy zdołasz tę ładną panienkę nawrócić na drogę uczciwą. A jeśli jej nie znany ci bliżej współnik jest bokserem i na własnej skórze odczujesz jego niezadowolenie?”

W czarnym tle nocy zamajaczył kształt Martwego Domu. Cichutko położyłem wiosło pozwalając nieść się do brzegu.

Martwy Dom zbliżał się powoli, ale nieustannie. Był głuchy, w pustych oczodołach okien nie dostrzegłem najdrobniejszej nawet iskiarki.

Przód kajaka zaszurał o żwir nadbrzeża. Przyczepiłem składak do dużego, płaskiego kamienia. Wiosło ukryłem w wysokiej trawie. Potem przekroczyłem rozwaliny drewnianej bramy nie istniejącego już ogrodzenia domu.

Miejsce, które zapewne miało być podwórzem, zarastały wysokie zielska. Napotkałem ślad ledwie widocznej ścieżki i kroczyłem nią bardzo ostrożnie. Co kilka kroków zatrzymywałem się i nastawiałem uszu. Ale Martwy Dom milczał. Wydawało mi się, że w tym milczeniu jest coś posepnego.

Wchodziło się do Martwego Domu przez prostokątny, szeroki otwór drzwi. Sień ziała nieprzeniknioną czernią. Na kamiennych schodach głośno zaskrzypiały pod butami grudki stwardniałego cementu.

Przystanąłem, oczekując, że odezwie się czyjś głos. Ale dom nie ożył nawet wówczas, gdy potknąłem się o zmurszałą deskę. Zapaliłem latarkę i zlustrowałem najpierw izby na parterze. Zastałem pustkę – pomieszczenie bez podłóg, ściany świecące nagą cegłą.

Po drewnianych schodkach bez poręczy wdrapałem się na pierwsze piętro. W dużej i jedynej izbie na piętrze otoczyły mnie trzy ogromne nietoperze. Strzygąc skrzydłami przelatywały z kąta w kąt. Czulem na twarzy pęd ich bezszelestnego lotu. Jeden z nich począł nagle zataczać nad moją głową zwięzającą spiralę, aż zadrzałem ogarnięty obrzydzeniem. Odleciał jednak, jakby przerażony, i przykleił się do ściany.

Nie znalazłem w Martwym Domu Krystyny i jej współnika. Może nie tutaj należało ich szukać?

Zstępowałem po schodach z uczuciem, że śledzą mnie oczy ukryte w jakimś zakamarku. Przypomniał mi się Alfred z Doliny i jego opowieść o wiejskim chłopaku, łowcy raków, który wzbogacił się tak tajemniczo i począł budować ten dom. Byłem już na dole, gdy wstrząsnął mną okropny, przenikliwy krzyk dziecka. Jak nietoperz przykleiłem się do ściany. Uczulem strach. Wtem zgasała mi w dłoni latarka. Zrobiło mi się gorąco. Dotknąłem czoła – było zimne, lecz wilgotne. Od potu.

Co zrobić? Stać tutaj i czekać, aż powtórzy się ten straszny głos? A może był on tylko wytworem mojej wyobraźni?

Bezsukutecznie przesuwalem guziczek latarki. Nie zapalila sie. Ze wszystkich stron ciemnosc wyciagala do mnie swe ramiona. Jasnieszym prostokatem widnial tylko otwor drzwi wiodacych na podworze.

Zebralem w sobie sily. Jednym wielkim susem dopadlem wyjscia i wybiegalem na dwor. Dwa wielkie, chyba zdziczałe koty zerwały mi się prawie spod nóg. Już daleko, gdzieś na wzgórzu, jeden z nich począł się żalić. Płakał jak dziecko.

Zapaliłem papierosa i szybkim krokiem udałem się nad jezioro.

Kajak stał na brzegu. Tylko wiosła nie było. Przyklęknałem i na czworakach, macając dłońmi trawę, szukałem miejsca, gdzie je ukryłem.

I znowu poczułem lęk. Ktoś podpatrzył, jak przybiłem do brzegu. Zabrał wiosło, a teraz obserwuje moje bezradne poszukiwania. Spocony usiadłem, żeby odpocząć i zebrać myśli. Oparłem się ręką o ziemię i... o wiosło. Leżało trochę dalej, niż go szukałem.

Teraz popłynąłem wzdłuż brzegu w stronę zagrody starej Rzyndowej.

Jezioro trwało w ciszy. Z tyłu kajaka tajemniczo bulgotała woda – ten bulgot sprawiał, że nie lubiłem samotnie płynąć nocą. Szmer za plecami, niewidoczny a ciągle słyszalny, przypominał wciąż, że odbywam drogę nad ogromną głębinią jeziora.

Znowu znalazłem się na środku wielkiej wody. Ciemność, samotność, ledwo widoczne brzegi podobne do czarnej smugi. I ten nieustanny, monotony szmer za plecami.

Nie spostrzegłem już blasku pochodni Chudego Genka. Zapewne zakończono połów raków i nasz obóz ułożył się do snu. Czy zauważono moją nieobecność?

– Raz, dwa, trzy, cztery – liczyłem ruchy wiosła. Ale zdawało mi się, że stoję w miejscu. Brzegi jeziora pozostawały dalekie i ledwo uchwytnie dla oczu.

Jezioro zwężało się w cienki przesmyk, którym można było przepłynąć na wody sąsiedniego jeziora, zwanego Ostrowickim. Nad przesmykiem zbudowano most drewniany, a z dwóch stron mostu – jakby strzegąc przeprawy – stały dwie zagrody. Jedna z nich należała do Rzyndów. Brzegiem było stąd do naszego obozu około trzech kilometrów. Tyleż drogi dzieliło te dwie zagrody od wsi Gąsiory.

Wpłynąłem pod most. W zagrodzie Rzyndów naszczekiwał pies. Dopiero gdy ucichło ujadanie, przyczepiłem kajak do wystającego pod mostem kołka i wyskoczyłem na brzeg. Biegła tu piaszczysta droga zaznaczona niegłębokim rowem. Usiadłem na krawędzi rowu naprzeciw zagrody Alfreda z Doliny. Widziałem stąd ogródek przed jego domem, okna i drzwi mieszkania.

Jeszcze raz odezwał się pies. Potem jednak nastąpił spokój. Stara Rzyndowa chyba spała – okna jej mieszkania były ciemne, nie słyszałem żadnego ruchu na podwórzu za chałupą.

Zauważyłem, że robi się coraz mroczniej. Zniknęły gwiazdy, zerwał się wiatr, z początku lekki i ciepły, potem coraz chłodniej. Chciało mi się palić, ale przezorność nie pozwalała krzesać zapalki. Może Krystyna jest gdzieś w pobliżu? Może wraz ze swym współnikiem przyczała się tam, w kępie drzew po drugiej stronie przesmyku?...

Czekałem cierpliwie prawie dwadzieścia minut. Począł znowu ujadać pies Rzyndowej. Grubym basem zaszczekał pies w sąsiedniej zagrodzie. Jego bas potężniał, zbliżał się... zapewne pies był spuszczone z łańcucha – wielki, silny brytan – widziałem go kiedyś. Brakowało tylko, żeby mnie zwęszył i obrobił moje łydki. łydki niefortunnego tropiciela złodziei figusów.

Chłodny wiatr i bliskość psa o ostrych zębach dopomogły mi zrozumieć bezsens oczekiwania na Krystynę. Na palcach zbiegłem cichutko pod most. Usiadłem w kajaku, sięgnąłem po wiosło. „Wrrr, hrrr” – jakby piekło rozpętało się tuż przy moim uchu. Wielki jak cielak brytan skakał na brzegu, próbując dosięgnąć kłami mej twarzy. Odstraszyło go tylko wiosło w mojej dłoni.

Wydostałem się na jezioro. Gonily mnie psie głosy. Wzburzone wiatrem fale kołysały kajakiem. Niebo zaciągnęło się chmurami, począł mżyć drobny deszcz. Płynąłem prawie po omacku, zdawało mi się, że cały świat przepadł gdzieś, zniknął i oto pozostałem sam jeden w środku nocy, która nie miała brzegów.

Kilkakrotnie zawracałem, kręciłem się w miejscu. Po godzinie pracy wiosłami wylądowałem na brzegu zupełnie sobie nie znanym. Zresztą mrok uniemożliwił dokładniejszą orientację.

– Hop, hoop! – wołałem. Ale deszcz pochłaniał mój głos jak mokra gąbka.

Bolały mnie ręce, marynarka przemiękła i na ramionach czułem wilgoć.

Jeszcze raz popłynąłem na chybił trafił. Znowu wylądowałem na nieznanym brzegu. Ile wspaniałych chwil oddałbym, żeby zamiast tej mitręgi na jeziorze, móc spać teraz w ciepłym wnętrzu śpiwora.

Zabłąkałem się. Kajak tkwił w miejscu. Kołysały nim fale. Deszcz siąpił mi na głowę. Krople dżdżu szemrały na wodzie.

– Hop, hoop! – wołałem.

O trzy kroki ode mnie rozbłysła latarka.

– Czego wrzeszczysz? Pobudzisz wszystkich. Obóz już śpi, a ty co? Podpiłeś sobie?

Andrzej dopomógł mi wyciągnąć kajak z jeziora. Byłem tak zmęczony, że nie chciało mi się usprawiedliwiać. Nawet chwiałem się na nogach jak pijany.

– Stałeś się bardzo tajemniczy – powiedział Andrzej.

– Na Boga, nie mów mi o żadnych tajemnicach wykrztusiłem.

Rozsznurowałem namiot. Wpełzłem do niego ledwie żywy. Ostatkiem sił rozebrałem się i, gotów znieść choćby ukąszenia najczernerwieńszych mrówek, bez sprawdzania śpiwora położyłem się spać.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

**WBREW OGÓLNEMU PRZEKONANIU • GOCI „W PIELUSZKACH” I
PLĄSAJĄCY SŁOWIANIE • NAUKA I POLITYKA • „LAXIGEN” DAJE
NIEZWYKŁĄ WŁADZĘ • OKRUCIEŃSTWA SŁOWIAN • DOBRE RADY
BRUNHILDY-TRUCICIELKI • KTO BĘDZIE OTRUTY, A KTO
UŁASKAWIONY? • NAUKI HELMOLDA • ZAPROSZENIE NA UCZTĘ**

W obozie dokonywały się ciekawe sprawy. Trzy wielkie kurhany – a był wśród nich i trzynasty kurhan Agnieszki wyglądały jak wielkie żółwie naznaczone na skorupie krzyżem z czterech profili. Zdjęto wierzchnią warstwę kamienia i ziemi. W centrum kurhanu numer trzynaście, w miejscu gdzie schodziły się profile, pokazała się ciemna plama jamy grobowej. Także na jednej z „ćwiartek” zauważono zarys mniejszej jamy, obok zaś jeszcze jednej, zupełnie malutkiej. Ta ostatnia znikła, gdy zaczęto ją skrobać łopatkami. Był to najprawdopodobniej ślad po rosnącym tu ongiś drzewie, które spłonęło przed wiekami podczas pożaru lasu.

Agnieszka rysowała profile, Andrzej i doktor Strom dyskutowali siedząc na pokracczym pieńku. Andrzej był niedawno w Niemczech, gdzie wygłosił kilka odczytów o sprawie gockiej na Pomorzu Wschodnim. Tezy jego referatu – bardzo nowe i odważne – wzbudziły duże zainteresowanie w świecie naukowym. Doszły one również do uszu Stroma.

– Najwięksi polscy archeolodzy, a przede wszystkim taki znawca sprawy gockiej, jak profesor Jerzy Antoniewicz, przyjmują pogląd, że Goci podbili Prasłowian pomorskich. Pan zaś próbuje stawić tę sprawę na opak – dziwił się Strom.

Andrzej odpowiedział pytaniem:

– Czy próbował się pan zastanowić, na jakich argumentach i dowodach opiera się to ogólne przekonanie o zwycięstwie Gotów? Ot, po prostu przyjęto tę sprawę jako oczywistość.

„Nie byłoby to możliwe – pisał nasz historyk, profesor Tymieniecki – gdyby nie panowanie w umysłach nienaukowej teorii o wiecznej niewolniczości Słowian i ich niższości

wobec Germanów. Teoria ta szerzyła się powszechnie zarówno wśród Niemców, jak i Słowian, przyjmowała tylko w każdym wypadku odmienne zabarwienie uczuciowe”.

Dla Niemców było jasne, że „wyżsi kulturalnie Germanie” musieli zwyciężyć Słowian, którzy, ich zdaniem, stanowili wówczas jakąś bezładną masę. Dla nas zaś ekspansja Gotów stała się przykładem owych wiecznych ataków hord germańskich na spokojnych słowiańskich rolników. Zapomniano, że Słowianie pomorscy różnili się poważnie od Słowian mieszkających bardziej na wschód i na południe. Jeśli w grobach grupy przeworskiej znajdujemy przewagę naczyń glinianych, to w grobach grupy oksywskiej, a więc na Pomorzu, odkryto przewagę metalu. Ziemia na Pomorzu jest uboższa, ludność trudniła się tu nie tylko rolnictwem, ale chyba i pasterstwem, a jak wiadomo, właśnie ludy pasterskie odznaczają się największą wojowniczością. Poza tym Słowianie pomorscy mieszkali blisko morza, i morze pozwalało na nawiązywanie kontaktów z północnymi plemionami germańskimi. Znali oni dobrze Germanów, ich zwyczaje w walce, ich broń. Zapewne sami przejęli wiele z tych obyczajów, jeśli Tacyt wahał się, czy nie zaliczyć ich do germańskich plemion. I słusznie chyba zastanawia się profesor Tymieniecki, czy możliwe jest, aby Goci, będący w I i II wieku jeszcze niemal w politycznych „pieluszkach”, mogli myśleć o roli swego rodzaju „narodu panów”, władających na niezmiernych obszarach słowiańskiego wschodu. Niedawno dodał Andrzej nie bez złośliwości – miałem przyjemność polemizować z Ernestem Schwarzem, uczonym zachodniemieckim, który nie ukrywa przekonania, że na początku naszej ery Słowianie to była ciemna i dzika masa, umiejąca co najwyżej tańczyć przy ognisku. Podobno Goci zapożyczyli od Słowian tylko słowo pisać – „plinsjan”, które w starosłowiańskim brzmi „pleskati”. Strom uśmiechnął się kwaśno:

– To co pan mówi, jest polityką. Mnie zaś interesuje nie polityka, ale nauka. My, Szwedzi, nie cierpimy niemieckiego szowinizmu i niejednokrotnie daliśmy temu wyraz. Lękam się, że tym razem mam do czynienia z polskim szowinizmem.

– W Szwecji od dwunastu lat nie było wojny. Nas Niemcy nachodzą prawie bez ustanku. I zawsze mają na ustach słowa o swojej misji kulturalnej i cywilizacyjnej. I zawsze pozostawiają tylko trupy i zgliszcza. W tym miejscu, gdzie znajduje się teraz rozkopany kurhan pani Agnieszki, znajdowało się pod koniec ostatniej wojny stanowisko niemieckich karabinów maszynowych. Od strony przesmyku łączącego jeziora zbliżała się armia polska i rosyjska. Tym młodym niemieckim żołnierzom, którzy rozpaczliwie bronili się na wzgórzu, wmawiano, że biją się o swoją ojczyznę, że bronią mogił swych germańskich przodków. Nie chcemy zaprzeczać istnieniu germańskich mogił na Pomorzu. Pragniemy tylko zbadać, dlaczego się one u nas znalazły.

Agnieszka skończyła rysowanie profilów. Robotnicy rozebrali je, obkopali rowem główną jamę w środku kurhanu. Teraz można było rozpocząć „otwieranie grobu”. A ponieważ w kurhanie Agnieszki były aż dwie jamy grobowe – zapowiadało się roboty co najmniej na dwa dni.

Franciszek uderzył w patelnię, ogłaszając przerwę na drugie śniadanie.

Na śniadanie było mleko i chleb ze smalcem. A potem miska raków, czerwonych i pachnących koprem.

– Tomasz nie powinien jeść raków. On ich z nami nie łowił – rzekła Agnieszka.

Milczałem. Odezwał się Andrzej:

– Tomasz zabłądził. Było bardzo ciemno.

Milczałem. Znowu powiedziała Agnieszka:

– Spójrzcie, Tomasz uśmiecha się do siebie.

Przestraszyłem się. Czyżby znać było na mojej twarzy ukryte w głowie myśli? Od rana cudownie się bawiłem. Czułem się człowiekiem obdarzonym jakąś tajemniczą władzą. W zależności od nastroju, od czyjś odezwania się, w wyobraźni obdzielałem wszystkich odpowiednią ilością pastylek laxigenu. I śmiałem się w duchu, myśląc o fatalnych skutkach.

Lecz dopiero teraz pojąłem, że nie tak łatwo będzie wykonać mój podstępny zamiar. Do czego wsypać rozkruszony laxigen? Do mleka, do zupy? Jak zrobić, żeby nie zauważył tego pan Franciszek? Najważniejsze – żeby ci i owi otrzymali porządne porcje laxigenu, inni zaś byli od niego wolni.

„Muszę się poradzić Brunhildy” – postanowiłem.

Zosia chwyciła palcami koniuszek swego „końskiego ogona” i zawołała:

– Ja wiem, dlaczego pan Tomasz milczy. On jest zakochany. „Pięć pastylek laxigenu” – ukarałem ją w myślach.

– Herr Thomas ma zapewne jakieś zmartwienie – litościwie westchnął Strom.

„Dwie pastylki” – dodałem w duchu.

Rozchodziliśmy się od stołu, gdy nadeszła stara Rzyndowa.

– I co z figusami? Nie było złodziei? – zapytałem.

– Dziś w nocy? Nie, nie było nikogo pokręciła głową. – Ale do pierwszej w nocy mój pies mało nie urwał się z łańcucha, a pies sąsiadów szczekał, jakby chciał kogoś połknąć. Ktoś się kręcił koło mojego domu.

Dobrze znałem osobnika, którego o mało nie połknął brytan sąsiadów Rzyndowej.

Stara poszła do kuchni i wysypała torbę młodych ziemniaków.

– Panie Tomasz, panie Tomasz – przywołał mnie Franciszek – Rzyndowa opowiada, że wczoraj późnym wieczorem widziała na drodze w lasu koło jeziora młodą dziewczyn w czarnych spodniach i w czarnym swetrze. Może to była złodziejka?

– Niewysoka, blondynka, z takim ostrym noskiem, czy tak? – opisałem Krystynę.

Rzyndowa kiwnęła głową.

– Pan ją też spotkał?

– Tak... – odparłem z wahaniem. A po chwili dodałem: – Ale to nie jest chyba złodziejka figusów.

Przy stole Andrzej i doktor Strom kończyli swoje porcje raków.

– Dobre, smaczne raki. Wspaniały kraj: jezioro, wykopaliska, raki – zachwycał się Strom. Ludzie przyjemni, łagodni, dobrotliwi. Słowianie.

„Cztery pigułki laxigenu” – postanowiłem.

– Już od wieków, Herr Doktor, specjalnością Słowian – rzekłem – jest połów raków i gra na gęślach. Niestety, nic więcej nie potrafiliśmy, bo jak pisał Simokattes, nie znaleźliśmy nawet żelaza. Poza tym potrafiliśmy trochę płaszać. Nic więcej.

– Hm... – chrząknął niepewnie Strom.

– Od czasu do czasu jednak podstępnie zmieniały się nastroje Słowian. Jak pisał bowiem Pseudo-Maurycy³⁰, Słowianie „niewierni są w najwyższym stopniu i nie stosują się do układów”. Specjalnością Słowian są zaś wszelkiego rodzaju okrucieństwa. Tenże Simokattes na innej stronicy swej „Historii” opisuje, jak to Awarowie nasłali na Bizancjum szereg Słowian, którzy zniszczyli znaczną część terytorium rhomajskiego³¹ i zapuszczając się aż po Wielkie Mury³², wyprawili wielką rzeź. A pochwycawszy wodza bizantyńskiego Asbadosa, spalili go wrzuciwszy do płonącego ogniska, zdarłszy mu przedtem pasy z pleców. Zabijali zaś Słowianie nie włócznią i mieczem – opisuje Prokop z Cezarei – lecz osadziwszy w ziemi pał, wbijali nań nieszczęśników. Tak, Herr Doktor... Proszę sobie przypomnieć, co o Słowianach pisał jeszcze Pseudo-Maurycy. Ludy słowiańskie „nawykłe do wolności nie pozwalają się w żaden sposób ujarzmić ani opanować, a szczególnie na własnej ziemi”.

Strom patrzył na mnie z coraz większym zdumieniem. Z podniesioną głową powędrowałem do namiotu.

„To była dość silna dawka” – medytowałem.

W dziesięć minut później mój składak przybijał do bezludnej wyspy. Krystyna jakby czekała na mnie. Siedziała nad jeziorem zasłonięta pnieniem drzewa. Uśmiechnęła się radośnie.

– Myślałam dziś, że się wścieknę z nudów. Dlaczego pan nie przybywał? Przecież powiesiłam chusteczkę.

– Sądziłem, że chusteczka nie ma już teraz żadnego znaczenia...

– Nie rozumiem.

– No tak. Przestałem poważnie traktować swoją opiekę nad panią. Byłem tu wczoraj późnym wieczorem. Widziano panią wędrującą drogą w lesie.

Zaśmiała się.

– Czy chciałby pan mnie więzić na tej malutkiej wyspie? Mieszkam tu dla własnej przyjemności, dla dogodzenia swej fantazji. I kiedy zechcę, mogę stąd odjechać. Zresztą moja wczorajsza nieobecność na wyspie ma bardzo niewinną przyczynę. Wieczorem popłynęłam

³⁰ Pseudo-Maurycy anonimowy autor dzieła z zakresu sztuki wojennej pt. „Taktyka”, pochodzącego z przełomu VI i VII w. Dzieło to, przypisywane cesarzowi bizantyńskiemu Maurycemu (539-602), zawiera wiele interesujących wiadomości o Słowianach naddunajskich.

³¹ Terytorium rhomajskie – terytorium starożytnej Grecji, po jej upadku weszło w skład Cesarstwa Wschodniorzymskiego.

³² Wielkie Mury – mur dł. 9450 m, zbudowany w 413 r., otaczał Bizancjum od strony lądu; przebiegał od Zamku Siedmiu Wież nad Morzem Marmara do Zamku Blachernon nad Złotym Rogiem.

do brzegu, ukryłam kajak w krzakach i poszłam trzy kilometry, aby, po pierwsze: wrzucić do skrzynki list do matki, a po drugie: kupić w sklepie trochę konserw. Przecież nie przypuszcza pan, że żyję tu tylko własną fantazją?

Kłamstwa zawsze mają pozory najdoskonalszej prawdy. Wypadło mi tylko wzruszyć ramionami.

– Czy to pani pisała tę kartkę? – podałem jej list „Krystyny”.

Przeczytała zaledwie pierwsze słowa i zaczerwieniła się, z początku jakby ze wstydu, a później z gniewu. Podarła kartkę na drobniutkie kawałeczki i rzuciła do wody.

– Skąd pan to ma? Kto panu dał te kartkę? – krzyczała.

Nagle wybuchnęła śmiechem. Przeraziła mnie taka szybka zmiana w jej usposobieniu.

– No tak, tak. Ja pisałam te niemądre słowa. Kiedy myślę, że byłam tak głupia, mogę się tylko śmiać. Nic mnie już nie obchodzą ani te osoby, do których pisałam, ani to, co się wtedy stało. Zadowala to pana?

– Nie.

– Oj, jest pan ciekawy jak stara baba. Proszę mi powiedzieć, skąd miał pan mój list.

– Dał mi go pewien mężczyzna, którego spotkałem nocą w pustym, nie wykończonym domu po drugiej stronie jeziora.

– Ach! Wiem. Tam gdzie żyją trzy wielkie nietoperze. A kiedyż on panu dał mój list?

– Wczoraj w nocy.

Spojrzała na mnie pogardliwie.

– Drogi panie powiedziała z powagą – bujać to pan możesz te mądre archeologiczki w waszym obozie. Ale ja się do tego nie nadaję. Znalazł pan pewnie mój list tutaj na wyspie. Leżał gdzieś w trawie prawda?

– Prawda. Lecz jednak była pani w tym pustym domu?

– Byłam. I co z tego?

No tak. Z tego rzeczywiście nic nie wynikło.

– Czy napije się pan herbaty? – zapytała z wielką prośbą w głosie. Wydawało mi się, że chce odsunąć na bok te wszystkie nie wyjaśnione sprawy, które powodowały nasze spory.

Była naprawdę bardzo ładna. Miała chyba najwyżej dziewiętnaście lat. Sprawiało mi wielką przyjemność siedzieć na trawie obok jej namiotu i otrzymywać z jej rąk plastikowy kubeczek z gorącą, mocną herbatą.

– Mimo wszystko lubię pana – powiedziała.

– Mimo wszystko?...

– Jest pan wścibski, ciekawski, tchórzliwy i zazdrosny. A może prócz herbaty poczęstować pana czarną kawą? Neską? Mam ze sobą całe pudełeczko. Wybrałam się na miesięczną podróż kajakiem i już na początku drogi osiadłam na tej nudnej wyspie.

– Dlaczego?

– Bo mi się tak podobało. Znowu pan jest ciekawski?

– Jeśli nudzi się pani na wyspie, proszę się przenieść z namiotem do naszego obozu. Jest tam paru młodych i przystojnych ludzi, ciekawy archeolog szwedzki, dwóch rybaków-motocyklistów. W ogóle bardzo ciekawy i wesoły świątek.

– A jednak pan woli do mnie przyjeżdżać.

– O, to zupełnie inna historia.

– Ciekawiło to mnie, czy potrafię tydzień mieszkać na bezludnej wyspie. Tydzień nie minął jeszcze.

Były chwile, gdy wydawała mi się sprytnym kłamczuchem. I wówczas sądziłem, że jest złodziejką. Potem zaś, gdy tak jak teraz okazywała się rozkapryszoną panienką, poczytałem wierzyć w jej uczciwość.

– Nie jestem zazdrosny – stwierdziłem.

– To dlaczego tak się pan oburzył, że wczoraj nie było mnie na wyspie?

– Niedaleko stąd okradziono pewną staruszkę...

– I pan myślał, że to ja? – aż w dłonie klasnęła. – I pan podejrzewa, że ja wczoraj wyruszyłam na kradzież??

– Tak myślałem.

– To cudne. To naprawdę cudna historia. Och, ile ja będę miała do opowiadania moim koleżankom. Tylko czy mi uwierzą? A co ukradziono?

– Figus.

– Figus? Pan chyba żartuje?

– Mówię z całkowitą odpowiedzialnością.

– Figus? Takich rzeczy się nie kradnie.

– Tym razem zrobiono wyjątek. Zginął figus. Być może za tą kradzieżą kryje się jakaś tajemnica?

– Och, to cudowne – zawołała. Nagle spoważniała. – A ja, głupia, sądziłam, że przyjechał pan wczoraj na wyspę, nie znalazł mnie, bardzo się zmartwił. A potem ogarnęła pana zazdrość, bo pomyślał pan, że pojechałam na jakieś spotkanie. A pan ani jedno, ani drugie – rzekła z wyrzutem. – Tak chciałabym, żeby się ktoś o mnie bardzo martwił.

– Wydaje mi się, że jest pani jeszcze w tym wieku, gdy martwić się o panią powinni przede wszystkim rodzice.

– A pan? Pan jest młody, ale stary... Stary – rzekła ze złością. – Stary jak ci Goci.

– Czy rodzice wiedzą, gdzie pani się znajduje?

– Wiedzą. Wczoraj wrzuciłam do skrzynki już drugi list.

– Hmm!. – mruknąłem.

– Dlaczego robi pan takie dziwne „hmm”? Co pan chce przez to powiedzieć?

– Nie wierzę pani.

– Mogę sobie pozwolić na luksus pańskiej niewiary.

– Stanowczo za wcześnie próbuje pani być samodzielna.

– A pan niech mi nie prawi morałów Wypraszam sobie.

„Ma niebieskie oczy” – zauważyłem i sprawiło mi to wielką przyjemność. Odeszła mnie ochota do sporów.

– Nie wiem, co począć z laxigenem. Jak go podać Chudemu Genkowi? Nie mam dostępu do kuchni.

Wyjąłem z kieszeni trzy fiołki z białymi pastylkami. Krystyna zamyśliła się.

– Chciałbym pastylkami poczęstować także i Agnieszkę... – dodałem nieśmiało. – I Gnuśnego Kazka, i... Zosię. I tego Szweda.

Krystyna spojrzała na mnie ze zgrozą.

– Cały obóz chce pan wytruć? Jeszcze wczoraj ledwo namówiłam pana do tej sprawy. A teraz...

– Zapewne mam złe skłonności – rzekłem ze smutkiem.

– Co panu zawinił ów Szwed?

– Prawdę mówiąc, nic mi nie zawinił. Tylko jest taki denerwujący. Nie wiadomo, z kim trzyma. Z nami czy z Niemcami.

– A starosłowiańska gościnność? „Gość w dom, Bóg w dom”?

– No dobrze. Szweda możemy oszczędzić. Ale z Agnieszki nie zrezygnuję.

– Agnieszkę trzeba oszczędzić. Nie wolno mścić się na kobiecie.

Koniec końcem okazało się, że otrujemy tylko Chudego Genka. Z Gnuśnego Kazka sam zrezygnowałem. Podobnie jak i ja czułem wstręt do łowienia raków.

Wróciłem do obozu w porze obiadu.

– Herr Doktor – zwróciłem się uroczyście do pana Stroma – czy pozwoli pan, że powołam się na słowa Helmolda, który w kronice słowiańskiej z roku 1156 tak oto powiedział o naszych antenatach: „Żaden naród Słowian w gościnności nie przewyższa, tak bowiem w przyjmowaniu gości się sadzą, że nawet o gościnę prosić nie trzeba, bo co z pola, połowu ryb i zwierzyny zebrali, wszystko na szczodrość wydają”. Starosłowiańskim zwyczajem chciałbym pana, Herr Doktor, oraz wszystkich naszych obozowiczów zaprosić do siebie w gościnę. Będzie to bardzo skromne przyjęcie, zważając na nasze obozowe warunki. Pragnę poczęstować was prawdziwą czarną kawą, która umożliwi nawiązanie między nami przyjaznych stosunków i być może pobudzi dyskusje o interesujących nas sprawach gockich.

– Wspaniały kraj! Cudowni ludzie! – zachwycił się Strom. – Tu w obozie archeologów będziemy na przyjęciu z czarną kawą? Ależ to niebywałe, to niezwykle!

– Przyjęcie odbędzie się na malutkiej wysepce. O, tam, na jeziorze. Moi mili goście popłyną kajakiem.

– Niebywałe, cudowne, fantastyczne – wołał Strom.

– Na wyspie oczekuje was wiele niespodzianek i atrakcji. A przede wszystkim prawdziwa kawa. Mocna.

– Czy ma pan tam jakąś kuchnię? Stół, krzesła? – dziwił się Strom.

– Proszę o odrobinę cierpliwości. Ciekawość wasza będzie wkrótce zaspokojona.

I świadomy, jak bardzo zaintrygowałem nasze towarzystwo, zasiadłem skromnie do obiadu.

– Ja od dawna przeczuwałam, że Tomasz coś knuje – powiedziała Agnieszka.

– Dlaczego zaraz „knuje?” Możesz nie przyjąć jego zaproszenia – stanął w mojej obronie Andrzej.

Podniosłem głowę znad talerza.

– Kobietom radzę ubrać się jak najszykowniej. Jeśli nie skorzystają z mojej rady, być może, będą tego żałować.

– On naprawdę coś knuje – powtórzyła Agnieszka. I przyglądała się mnie z jakimś dziwnym i nowym zainteresowaniem.

– A jeśli założę mój czarny sweter i czarną spódniczkę, czy będę wyglądała odpowiednio? – zapytała Zosia.

– Czarną spódniczkę? Hmm... – zastanowiłem się. – Tak, spódniczkę może pani założyć. Nie wolno jednak przyjeżdżać bez spódniczki.

– Jak pan może... – oburzyła się Zosia.

– Miałem na myśli, że kobietom nie wolno przyjeżdżać na wyspę w spodniach.

Herr Strom, któremu Andrzej przetłumaczył moje słowa, wybuchnął śmiechem i patrzył na mnie ze szczerą sympatią.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

**WRÓŻKA Z BEZLUDNEGO OSTROWU • UCZTA U POPIELA •
DZIEWCZYNA Z ZAŚWIATÓW • CZY ZWYCIĘZCY MOGĄ ZADOWOLIĆ
SIĘ GORSZYM? • ZEMSTA • CHUDY GENEK W OPAŁACH • BURZA •
GŁUPOTA GENKA • PRACZŁOWIEK ZWANY YMER • SYNOWIE BORE •
OLBRZYM ŚCIERWOJAD**

Zosia i Agnieszka stroiły się tak długo, że zdążyłem niepostrzeżenie dostarczyć na wyspę szklanki do czarnej kawy. Potem przewiozłem Andrzeja i doktora Stroma, Pawła i Chudego Genka, Romana, Gnuśnego Kazka i pana Franciszka. Usadziłem ich na trawie pośrodku wyspy i zabawiałem rozmową. Paweł popłynął po Agnieszkę i Zosię.

Panowała spiekota. Ale za przykładem eleganckiego doktora Stroma wdzialiśmy białe koszule, krawaty, ba, marynarki. Tylko Franciszek przybył na wyspę w swym zwykłym, białym kitlu kucharskim. Nie wyrażał zbyt wielkiego entuzjazmu dla czarnej kawy i raczej z żalem spoglądał na jezioro.

– Panowie, bardzo piękna woda. Może urządzimy kąpiel?

– Wykąpiemy się wieczorem.

– Wieczorem będzie burza – przepowiadał Franciszek.

– Niech mnie trup popieści, panie Tomaszu – rzekł Chudy Genek – jeśli ja coś z tego rozumiem. Jak pan urządzi przyjęcie, jeśli tu nie widać ani kawy, ani szklanek, ani kuchni? W fakira się pan zabawia?

– Drętwa mowa do polskiego ludu – rzekł Kazek.

Nareszcie przybyła Zosia i Agnieszka. Wskazałem im honorowe miejsca na malutkim trawiastym wzgórku. Agnieszka miała piękną kwiecistą sukienkę, a Zosia jasną plisowaną spódniczkę i koszulową bluzeczkę. Wyglądały prześlicznie i między mężczyznami powstał spór, kto ma przy nich usiąść. Oczywiście zwyciężył Andrzej i doktor Strom, co sobie natychmiast zakonotowałem w pamięci.

– Czekamy, panie Tomaszu – kiwnął głową Herr Strom.

Chrząknąłem z powagą i zastrzegłem:

– Przyjęcie może się odbyć tylko pod tym warunkiem, że nikt z państwa nie będzie zadawał żadnych pytań dotyczących pewnych spraw, które być może wydadzą się im dziwne. Herr Doktor – zwróciłem się po niemiecku do pana Stroma – nasz kraj jest wspaniały i pełen niespodzianek. Jak w dawnych prasłowiańskich czasach, na bezludnych ostrowach naszego kraju żyją wciąż jeszcze urocze boginki i wróżki precudnej urody. Dopomagają one zbłąkanym wędrowcom, ludziom nieszczęśliwym i strapionym.

Powoli podniosłem się z trawy i trzykrotnie klasnąłem w ręce.

Prawie natychmiast z gęstej ściany krzewów zarastających wyspę wyszła Krystyna. Na dużym denku blaszanego pudełka niosła dziewięć parujących szklanek czarnej kawy.

– Proszę nie zadawać żadnych pytań! – zawołałem. I rzekłem do Stroma: – Nie zaprzeczę, jeśli dojdzie pan do wniosku, że to przepiękne dziewczę jest, być może, Gotką zmartwychwstałą z trzynastego kurhanu.

– Wspaniale! Cudowne! Fantastyczne! – głośno wyrażał zachwyt nasz przemiły Szwed.

A Krystyna ubrana w czarny sweter z dużym dekoltem, w jasną kretonową spódnicę w czarne kwiaty, z długim aż do pasa sznurem koralu na opalonej szyi z gracją i godnością wręczała każdemu należną mu porcję czarnej kawy. Chudy Genek przyjął od niej nie tylko szklanekę, ale i piękny uśmiech, co go wprawiło w taki zachwyt, że prawie natychmiast, wypił, swoją porcję.

Spróbowałem kawy. Była gorzkawa. Specyficzny i ostry aromat neski zabił chyba smak laxigenu. „Rybak” połknął przynętę.

Wprawiło mnie to w doskonały humor. Zbliżyłem się z ukłonem do Krystyny i dziękczynnie ucałowałem jej rękę. Potem zaprosiłem ją na miejsce obok siebie. Wielkie oczy Krystyny wolno rozglądały się po naszych twarzach ze zdumieniem osoby z zaświatów, która nagle, dzięki jakimś czarodziejskim zaklęciom, zmuszona została do służenia nam, skromnym Ziemianom. „Ma talent, dziewczyna. Powinna uczyć się w szkole aktorskiej. A może właśnie tam studiuje?” – przebiegło mi przez głowę.

– Kawa jest bardzo dobra – mlasnął językiem Paweł.

Patrzył jednak nie na szklanekę, ale na Krystynę.

– Czy można poprosić o dolewkę? – zwrócił się Genek do Krystyny.

Milczała. Taka zresztą była umowa między nami. Miała udawać, że nie rozumie, co się do niej mówi.

– Jeszcze odrobinę. Ach, jaka smaczna – wzdychał Genek. Wydawało mi się, że dostrzegam na twarzy Krystyny drganie mięśni. Och, żeby tylko nie wybuchnęła śmiechem.

– Niestety. Kawy więcej nie będzie. Ta kawa odbyła bowiem bardzo daleką podróż – rzekłem.

– A skąd, jeśli można zapytać?

– Z... zaświatów.

Przetłumaczono Stromowi treść naszej rozmowy.

– Jeśli w zaświatach żyją takie piękne dziewczęta i dają taką dobrą kawę, gotów jestem przenieść się tam choćby od zaraz – powiedział Szwed.

– Ja też! Ja też! – krzyknął Genek.

– Koniec świata! – wołał Paweł.

– Tomasz ma dobry gust – mruknęła Agnieszka.

Krystyna podziękowała jej skinieniem głowy.

– Ach, więc jednak pani rozumie po polsku? – zauważyła Agnieszka.

– To zależy od jej humoru – wyjaśniłem.

– Nie posądzałam cię o kontakty z... wrózkami.

– Wiem, że byłem nie doceniany.

Doktor Strom pochwycił rękę Krystyny.

– Żywa! – zawołał radośnie. – Dziewczyna z krwi i kości.

Zosia skrzywiła się ironicznie. Od początku odnosiła się do Krystyny niechętnie i wrogo.

– Uroda tej pani jest niezemska – inteligentnie odezwał się Gnuśny Kazek.

– Teraz wiem już, gdzie Tomasz przepadał tak często – stwierdził Andrzej. I dodał z goryczą:

– Złym jesteś przyjacielem, Tomaszu. Nie mogłeś i mnie z sobą zabierać? Ja także chciałbym mieć znajomości w zaświatach.

Bezradnie rozłożyłem ręce.

– Znajomość z wrózką zawdzięczam li tylko naszej kochanej Agnieszce i przemiłemu, kochanemu panu Genkowi. Agnieszka zdradziła panu Genkowi, że zamierzam odplacić mu za czerwone mrówki, które nasypał mi do śpiwora, i pan Genek namówił mnie na wycieczkę na wyspę, a gdy wysiadłem na brzeg, uciekł z moim kajakiem. Pozostałem więc sam na wyspie, skazany na głód lub na pożarcie przez dzikie zwierzęta i rozjuszone moją obecnością dzikie ptactwo...

– Nie słyszałam dotąd o wypadku, aby kogoś zadziobały dzikie kacuszki – przerwała mi Agnieszka.

– Tu mieszkają i łabędzie. Są one sławne z okrucieństwa. Czytałem o wypadku zadziobania dziecka.

– Nie jesteś dzieckiem. A szkoda – wtrąciła Agnieszka.

– Samotny, zdradzony przez kobietę, oszukany przez przyjaciela, porzucony na dzikiej wyspie, głośno skarżyłem się na swoją dolę. I oto zostałem wysłuchany. Rozchyliły się gęste krzewy na wyspie i wyszła z nich piękna, młoda wróżka. „Czego żądasz, szlachetny młodzieńcze?” – zapytała. „Zemsty! Zemsty!” zawołałem.

– Mooowa – mruknął Genek.

– Cicho. Pan Tomasz opowiada bardzo pięknie – skrzyczała go Zosia.

– „Dobrze” – odrzekła wróżka. – „Nim księżyc zdoła się odmienić, wrogowie twoi, o szlachetny młodzieńcze, będą surowo ukarani. Dokonasz zemsty na owej zdradliwej białogłowie i na przewrotnym człowieku”.

Wówczas padłem przed wróżką na kolana. „Daruj, o pani, tej zdradliwej niewieście – powiedziałem. – Ukarz tylko przewrotnego człowieka”.

– Dziękuję ci, Tomaszu – uśmiechnęła się Agnieszka.

– I potem dobra wróżka kazała mi zaprosić was na czarną kawę – dodałem czekając, aż Andrzej moje słowa przetłumaczy na niemiecki.

– To była prawdziwa uczta Lukullusa³³ – powiedział Herr Strom.

– Nie, Herr Doktor. Uczta u Popiela.

– Kto to był Popiel? zapytał Strom.

– To był legendarny król Polski. Zaprosił na ucztę swoich stryjów i przy pomocy żony swej, Brunhildy, wytruł ich wszystkich – wyjaśnił mu Andrzej.

– Hmm...

– Mooowa – burknął Genek. Ale po chwili zapytał z niepokojem:

– No i co? Zemsta została dokonana?

– Nie wiem. Zapytam wróżki.

Krystyna przyjaźnie kiwnęła mi głową. Wszyscy zrozumieli bez słów. I spojrzenia nasze spoczęły na Chudym Genku. A ten tylko skrzywił drwiąco usta.

– Mooowa – powtórzył kpiąco.

– Chi, chi, chi, chi – cichutko chichotał Paweł.

– Z czego się pan śmieje? – ponuro zapytał Genek.

– Tak sobie. Z niczego.

– Tylko niemądrzy ludzie śmieją się z niczego.

– Pan jest niby to mądry, a robi pan głupie kawały – odciął mu się Paweł. Potem rzekł do mnie poufale:

– Fajna babka. Skąd ją wytrzasnąłeś?

Gdy nikt nie zwracał na mnie uwagi, szepnął mi do ucha:

– A może laxigen był stary?

– Uczyli nas starożytni: „Quidquid agis, prudenter agas, et respice finem”, co znaczy: Cokolwiek czynisz, mądrze czyn i oczekuj końca.

„Koniec” jednak nie nadchodził. Następował za to straszliwy upał. Im dalej od godzin południowych, tym wydawał się dokuczliwszy. Na niebie nie było żadnej chmurki, ale powietrze przesycala jakby niedostrzegalna dla oczu mgiełka. Wyczuwało się ją oddechem – powietrze było duszne i mimo upału wilgotne.

Nad naszymi głowami krążyły wielkie muchy, oszalałe od żaru. Siedzieliśmy w cieniu drzew, lecz i tutaj upał był nieznośny. Pociliśmy się w koszulach, nikomu jednak nie chciało

³³ Uczta Lukullusa – uczta bardzo wystawna; nazwa pochodzi od rzymskiego Lukullusa (I w. p.n.e.), słynnego z wydawania bardzo zbytkownych uczt.

się opuścić wyspy, oznaczało to bowiem przejażdżkę po gładkim jak szyba jeziorze, gdzie bezlitośnie prażyło słońce.

Krystyna oparła głowę na trawiastym wzgórku i zasnęła. Usnęła także Agnieszka. Drzemał Paweł i Gnuśny Kazek. Tylko Chudy Genek nie zdradzał ochoty do spania. Siedział dziwnie zamyślony, zapatrzony gdzieś w drugi brzeg jeziora. Upał zdawał się także nie działać na Andrzeja i Stroma.

– Czy zastanawiał się pan nad tym, Herr Doktor, że choć na początku naszej ery prowincja Vastergotland prawie całkowicie opróżnia się z ludności, która przenosi się na Pomorze, to jednak na Pomorzu ludności nie tylko nie przybywa, ale przeciwnie, jest jej mniej niż przed przyplnięciem Gotów?

– Zna pan w tej kwestii jakieś dokładniejsze cyfry?

Patrzyłem na śpiącą Krystynę. Leżała z policzkiem na trawie, dłonią zasłoniwszy oczy od blasku słońca. Było mi przykro – nikt nie uwierzył, że jest wróżką.

– Cyfry, które pamiętam, nie są być może dokładne. Dają one jednak pewną orientację, dlatego pozwolę sobie je przytoczyć. O ile bowiem z okresu późnolateńskiego znanych jest 118 stanowisk archeologicznych, to z okresu wczesnorzymskiego – tylko 81 stanowisk. Okazuje się, że na krótko przed naszą erą Pomorze było gęściej zaludnione niż na początku naszej ery. A przecież w tym czasie przybyła tu ludność z Yastergotland? Wydaje mi się, że wniosek może być tylko jeden. Między ludnością osiadłą, słowiańską, a przybyszami ze Skandynawii doszło do zbrojnego konfliktu. Mały lud Gotów stanął przeciw wielkiemu ludowi Wenedów. Trudno oczywiście stwierdzić zdecydowanie, jaki był los rozpoczętej walki. Jedno pozostaje pewne: walka trwała bardzo długo, zapewne toczyła się ze zmiennym szczęściem. Bardzo wielu ludzi wyginęło, nastąpił wyraźny upadek kulturalny zarówno u Gotów, jak i u Słowian pomorskich. Któż troszczy się o zabytek, gdy zagrożone jest jego istnienie? Goci nie zwyciężyli Słowian i nie podporządkowali ich sobie, bo na Pomorzu nie widać dominującego wpływu ich kultury. Zwyczaje i obrzędy Gotów nie stały się panującymi, powszechnymi. Goci nie byli w mocy narzucić mieszkańcom Pomorza swych gustów w dziedzinie lepienia i zdobienia naczyń, jak i w sprawach obrzędów, do czego doszłoby chyba nieuchronnie, gdyby – tak jak uważają niektórzy uczeni – Goci stali się warstwą panującą na Pomorzu. Znamy na Pomorzu cmentarzyska, w których uwidacznia się ciągłość kulturalna od okresu późnolateńskiego aż do schyłku kultury wenedzkiej. Istnieją całe terytoria, gdzie w dalszym ciągu, z pokolenia na pokolenie, mieszkała ludność prasłowiańska. Na cmentarzyskach w powiatach Sztum, Malbork, Kwidzyn, Chełmno zauważa się ogromny pietyzm nowych pokoleń dla starych mogił. Nowe pokolenia kontynuują dawną tradycję kulturalną, i to nie tylko w sprawach zasadniczych, ale i w drobiazgach. Czy możliwe, aby podbici i zamienieni w niewolników Pomorzanie byli w stanie aż tak pieczołowicie rozwijać własne upodobania kulturalne?

A jednak nie ulega wątpliwości, że tam na wzgórkach za jeziorem rozkopuje pan mogiły Gotów powiedział Strom.

– Mówiłem do tej pory o pierwszym wieku naszej ery. Jest to wiek walk gocko-słowiańskich, okres wzajemnego wyniszczania się. Na Pomorzu ziemi było dużo – ubogiej, piaszczystej, żwirowatej. Zapewne już wcześniej na tych uboższych terenach usadowiły się jakieś nieliczne plemiona germańskie, trochę wcześniej przybyłe ze Skandynawii, z Bornholmu lub z Półwyspu Jutlandzkiego. Być może, plemiona te żyły w przyjaźni z Wenedami. Nie ulega wątpliwości, że na przykład wspomniani u Tacyty Lugiowie to był pewnego rodzaju związek plemion germańsko-słowiańskich. Jest chyba tylko sprawą jakiejś niesłusznej tradycji, że gdy wyobrażamy sobie Germanów i Słowian, to tylko we wzajemnym konflikcie, w walce. A przecież niekiedy mogło być zupełnie inaczej. Poszczególne plemiona, i germańskie, i słowiańskie, mogły łączyć się, zawierać sojusze do walki przeciw innym plemionom. Może przybyli ze Skandynawii Goci uderzyli właśnie – tak jak pisze Jordanes – na owe nieliczne plemiona germańskie, na Ulmerugiów i Burgundów, wyparli ich i usadowili się na zdobytym terytorium, równocześnie prowadząc walkę z Wenedami, która jednak nie przyniosła im zwycięstwa? Gdy spojrzeć bowiem na mapę cmentarzysk na Pomorzu, widzi się dziwny obraz. Cmentarzyska gockie znajdują się na terenach bardzo ubogich, niekiedy dotąd zupełnie nie zamieszkanym. A tymczasem Słowianie pozostają na najurodzajniejszych glebach. Czy można sobie wyobrazić sytuację, w której zwycięzca zadowolony się gorszym, a podbitemu pozostawi lepsze? Po cóż w takim razie walczył, jeśli nie korzysta z owoców zwycięstwa?

Strom milczał. Żuł zerwane źdźbło trawy. Może przeżuwał też jakieś swoje myśli?

– Z pierwszego wieku naszej ery nie znane są „czyste” cmentarzyska gockie. Nie znane są też jakieś wyraźne skupiska Gotów za pewne część ich uszła stąd do państwa Markomanów³⁴, inni zaś zostali podporządkowani Słowianom w bardzo łagodnych formach niewolnictwa. Do ostatecznego porozumienia między Gotami i Wenedami doszło w drugim wieku, a jak ściśle formułują niektórzy, w połowie drugiego wieku. Wtedy to przybywa na Pomorze nowa fala Gotów. Przybywa ona na nowych, zapewne pokojowych warunkach, osiada na ubogich ziemiach Pomorza Wschodniego. Zakłada tu prawdziwe kolonie gockie ze swymi stolicami czy centrami, takimi jak Odry, jak nasze Gąsiorzy. Rozpoczyna się nowy rozdział w historii stosunków gocko-wenedzkich...

Urwał. Z Chudym Genkiem działo się coś niedobrego.

Najpierw niespokojnie rozglądał się dokoła siebie, jakby czegoś szukając. Potem wolniutko podniósł się i leniwie zaczął spacerować po brzegu wyspy. Nagle skoczył w gęstwinę krzaków, ale po chwili wybiegł stamtąd spłoszony obecnością Pawła, który oglądał obóz Krystyny. W wielkich susach przebiegł całą wyspę i skrył się na cyplu.

– Panie Genku, co się stało? – wołał Andrzej zdziwiony postępowaniem „rybaka”.

³⁴ Państwo Markomanów – teren dzisiejszych Czech zamieszkały w pierwszych wiekach naszej ery przez germańskie plemię Markomanów.

Nie otrzymał odpowiedzi. Znowu więc zawołał:

– Panie Genku! Odezwij się pan!...

Wołanie Andrzeja obudziło dziewczęta. Krystyna poprawiła włosy rozwichrzone podczas snu. Wstała i poszła w kierunku cypla. Prawie natychmiast z szuwarów wyłonił się Genek.

– Och, ile tam jaj ptasich – powiedział. – Widziałem także wielkie gniazdo łabędzie...

Umilkł. Machaniem rąk dawał Krystynie do zrozumienia, aby nie zbliżała się do szuwarów. Obrócił się na pięcie i znikł w gęstwinie.

– Panie Geeenku! – poczęliśmy wołać chórem.

– Jesteście wstrętni, okrutni – rzekła z pogardą Agnieszka, choć i ona nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

Tylko doktor Strom nie pojmował przyczyny tak dziwnego zachowania się Genka.

– Co się stało? Powiedźcie, co się stało?

– Trucizna – odrzekł Roman.

Wołaliśmy chórem:

– Panie Geeenku! Panie Geeenku!...

Po jakimś czasie usłyszeliśmy w odpowiedzi:

– Już idęęę!...

Wywołało to u nas wybuch śmiechu. Najkomiczniejsze było jednak i że Chudy Genek zupełnie nie zdawał sobie sprawy z przyczyny swych niespodziewanych dolegliwości. Wyszedł z gęstwiny szuwarów poważny, choć trochę błądy. W ręku trzymał kacze jajko. Udawał, że właśnie w tym celu udał się na cypel.

Jajko dał Krystynie i wraz z nią wracał do naszej gromadki, gdy podobnie jak przedtem, został nagle zmuszony do szybkiej rejterady w gęstwinę. Wołaliśmy:

– Panie Genkuuu!...

Wreszcie zasiadł między nami. W oczach jego widzieliśmy strach, a na twarz wypełzła mu dziwna szarość.

– Wracamy do obozu – powiedziałem. – Panie Genku, zapraszam do kajaka razem z Agnieszką. Przewiozę was do obozu, a potem wrócę po następnych.

Agnieszka usiadła z przodu, a ja z tyłu. W środku miał zasiąść Genek. Już nawet wsadził jedną nogę do kajaka, gdy ogarnęły go wątpliwości.

– Nie, ja zostanę. Jeszcze trochę zostanę... – szepnął.

Wzruszyłem ramionami:

– Jakże to tak, panie Genku? Nie chce pan towarzyszyć Agnieszce? Ledwie zobaczył pan piękną wróżkę, a już decyduje się pan zostać na wyspie? Przecież Agnieszka jest równie piękna...

– To afront wobec Agnieszki – stwierdził Andrzej. Nareszcie i on miał sposobność zemścić się na „rybaku”.

Nawet Herr Strom – gdy Andrzej wyjaśnił mu decyzję Genka – z dezaprobatą pokręcił głową.

Na miejscu Genka usiadł Franciszek.

– Ja wolę być w obozie. Zaraz będzie burza – rzekł.

Spojrzelśmy na niebo. Rzeczywiście nadchodziła burza – czarne wyciągnięte ramie chmur zagarniało zmętniałe niebo.

– Burze tu są okropne. Długie. Pioruny biją w jezioro, a chmury kołują nad wodą – przypomniał Andrzej.

Krystyna nareszcie przemówiła:

– Boję się. Panie Tomaszu, ja się boję burzy. Zwijam namiot i przenoszę się do waszego obozu.

Wyskoczyłem z kajaka.

– Paweł! Przenieś do brzegu pana Franciszka i panią Agnieszkę.

I pobiegłem pomagać Krystynie w przeniesieniu jej obozu. Wszystkie drobniejsze rzeczy wrzuciliśmy do wnętrza kajaka, na wierzchu położyliśmy złożony namiot. Ale i burza gonila na tysiącu koni. Sięgnęła po słońce i zaraz zrobiło się ciemno. W uszach aż dźwięczało od ciężkiej ciszy. W górze kotłowały się żółtawoczarne chmury, spiętrzone jak ogromny kok na głowie czarownicy. Jezioro trwało nieruchomo, jakby pełne rozgrzanego ołowiu.

Kilkaście metrów od brzegu wyspy odczuliśmy pierwszy podmuch wiatru. Był delikatny i wydał się bardzo przyjemny, jakby ktoś uchylił okno w dusznej sali. Zaraz potem jednak uderzył w nas wicher. Pod jego naporem kajak o mało nie przewrócił się. W mgnieniu oka na jeziorze podniosły się fale.

Obejrzałem się na wyspę. Paweł zdążył już moim składakiem przetransportować do obozu Andrzeja i doktora Stroma, Zosię i Romana. Na cyplu samotnie sterczał jeszcze tylko Chudy Genek, który zapewne z powodu swych dolegliwości ciągle nie mógł się zdecydować na podróż przez jezioro. Czyżby moja zemsta miała się najdoskonalej dopełnić i Chudego Genka czekał samotny pobyt na bezludnej (tym razem na pewno bezludnej) wyspie?

Wiosłowaliśmy z trudnością. W kajaku było ciasno, nie można było siedzieć, lecz co najwyżej klęczeć. Dał wiatr i w tej pozycji trzeba było utrzymać równowagę na wysokiej, kapryśnej fali. Na szczęście Krystyna okazała się doskonałą wiosłarką.

Już na brzegu złapały nas pierwsze krople ulewy. Paweł odziany w nieprzemakalny płaszcz wyruszył w ostatni rejs na wyspę.

– Zobaczysz, jak on zmoknie – wołał do mnie przekrzykując wicher.

Nie interesował mnie jednak los Chudego Genka. Obóz zalały potoki deszczu, otwarło się niebo z workiem oślepiających błyskawic i grzmotów. Ale jeszcze przedtem Paweł i Genek zdołali powrócić z wyspy, może właśnie tak było najlepiej? Nie należy przecież żądać zbyt wiele, nawet od uśmiechniętego losu.

Zapaliłem dwie świece w namiocie, szczelnie zamknąłem okienka i obluzowałem sznury. Przybiegł do mnie Andrzej i w trójkę – ja, Krystyna i Andrzej – słuchaliśmy szumu ulewy.

– Najgorsze jest to, że zapomnieliśmy uprzątnąć z wyspy szklanki po czarnej kawie – powiedziała Krystyna.

Pioruny były bardzo rzadko. Raz tylko prawie ogłuszył nas łoskot grzmotu; później bucza już tylko pomrukiwała jak syty, obłaskawiony zwierzę.

– Boję się burzy. Okropnie. Zaraz po naszym przyjeździe nad to jezioro zanosilo się wieczorem na burzę. Mieliśmy rozbić obóz na wyspie. Ukryliśmy się jednak w tym pustym domu po drugiej stronie jeziora. Ale burza przeszła gdzieś bokiem.

„A ja i Paweł widzieliśmy tej nocy światło w Martwym Domu” – dodałem w duchu.

– A co było potem? – zapytałem.

– Nic nie było. Oni odjechali, a ja zostałam na wyspie.

– Kto to są ci ONI? – rzekłem ostrożnie.

Wszystko zepsuł Andrzej:

– Mój Boże, ale ty jesteś ciekawski – powiedział.

– No, proszę. Nawet i pan jest tego samego zdania – ucieszyła się Krystyna.

Po burzy zrobiło się zimno. Powietrze przesycala wilgoć, między namiotami stały duże kałuże wody. Cały świat był chłodny i mokry. Mieliśmy kwaśne humory i mimo swetrów trzęśliśmy się z chłodu. Po kolacji całą gromadą obsiedliśmy rozpalony żelazny piecyk we Franciszkowej kuchni.

– No i co, panie Tomaszu – rzekł do mnie Chudy Genek – ta pańska bajka o wróżce okazała się najzwyklejszą lipą. Nie udała się zemsta.

– Naprawdę? – zdziwiłem się. Dziwiła mnie przede wszystkim głupota Chudego Genka.

– A czemu pan taki zielony na twarzy? – z naiwną miną zapytała Zosia.

– Te cholerne raki tak mi zaszkodziły.

W słowach Agnieszki zabrzmiała pogarda:

– Nigdy bym nie posądzała pana o tak mało rozsądku.

A potem doktor Strom „śpiewał” nam „Gylfa Ginning”, czyli „Omamienie Gylfa” z Nowej Eddy³⁵. Germańskie nazwy brzmiały ostro, choć dźwięcznie jak uderzenie miecza.

Bóg Odin opowiadał Gylfowi o stworzeniu świata, o dziełach i rodzie bogów, o końcu wszystkiego.

...Na początku nie było nic. Ani Morza, ani Ziemi, ani Nieba, tylko Ginnungagap, czyli Późnia. Później zaś był Niheim, a nieprędko potem Ziemia. Przede wszystkim jednakże był Muspelheim, czyli Świat Ognia jaśniejący, gorący, niedostępny. Panuje w nim Surtur, czyli

³⁵ Nowa Edda – część zbioru pieśni norwesko-islandzkich z IX-XI w., których treść stanowią staroskandynawskie podania mityczne i baśnie bohaterskie.

Czarny. Słońce skrzy się na ostrzu jego miecza, przyjdzie on na końcu wieków, aby wojować z bogami.

W pośrodku Nihejmu jest źródło, zwane Hwergelmer, co znaczy Stary Kocioł. Z niego to wypływa wiele rzek, a wśród nich rzeka Smutek i rzeka Cierpienie. Rzeka Eliwagr oddaliła się od źródeł tak dalece, że trucizna, która nią płynęła, zakrzepła i zamarzła. Ona to lodem i zziębniętą mgłą wypełniła Próżnię od strony północnej. Zaś w południowej stronie pozostało ciepło i światło – odbłask z Muspelhejmu, czyli Światła Ognia.

...Pośrodku Próżni była przestrzeń i cisza. Aż zawiął ciepły wiatr, owionął lody i począł je topić w krople. Z tych kropli powstał Praczlówek, zwany Ymer.

Ymer śpiąc spociał się, a spod jego pachy wyszli mężczyzna i niewiasta; nogi zaś jego wydały syna, od którego poszedł ród Olbrzymów, zwanych Hrymthauser.

Z mnożących się kropeł zrodziła się krowa Audumbla, z jej wymienia popłynęły na pokarm dla Ymera cztery mleczne rzeki; krowa Audumbla żywiła się liżąc lód i kamienie okryte solą; po trzech dniach takiego lizania urodził się Bure, czyli Owoc, którego syn Bore poślubił Belste, córkę olbrzyma Baldorna, i miał z nią trzech synów: Odina, Wile, czyli Żądzę, i We, co znaczy Pokój. Tenże Odin i jego dwaj bracia rządzą Niebem i Ziemią...

Synowie Bore zabili Ymera, z którego tak wiele krwi pociekło, że potonęli w niej wszyscy Olbrzymi. Ocalał się tylko Bergelmer, czyli Stara Góra wraz z rodem swoim, albowiem znajdował się wówczas na statku. Zwłoki Ymera wyciągnęli synowie Bore na środek Ginnungagap, czyli Próżni. Z ciała Ymera zrobili Ziemię, z krwi Wodę, z włosów Trawę, z kości Ymera uczynili Góry, z czaszki zaś Niebo. Z brwi Ymera zbudowali w środku Ziemi Gród Średni, czyli Midgrad, który miał chronić przed Olbrzymami. Potem rzucili mózg Ymera wysoko w powietrze i tak powstały Chmury. W czterech stronach świata postawili karłów: Austrę, czyli Wschód, Westrę, czyli Zachód, Sudrę, czyli Południe, Nordrę, czyli Północ. Zaczepnęli następnie synowie Bore ogień z Muspelhejmu i utworzyli Słońce, Gwiazdy i Księżyc.

Krążąc po morzu synowie Bore znaleźli dwie kłody drzewa. Wzięli je do rąk i uczynili z nich ludzi. Jeden z synów Bore dał im duszę i życie, drugi – mądrość i chęć działania, trzeci mowę, słuch i wzrok. Oddzielili ich, nazwali jednego mężczyzną Askur, co znaczy Jesion, drugiego człowieka niewiastą Embla, co znaczy Olsza. Od nich to począł się cały ród ludzki, który zamieszkał w Średnim Grodzie.

Teraz synowie Bore zbudowali na środku Świata Gród Asów, gdzie zamieszkali bogowie i ich potomstwo. W tym Grodzie jest miejsce na którym zasiada Odin i spogląda na Ziemię; widzi stąd wszystkie kraje, słyszy wszystkie kroki ludzkie i rozumie wszystko. Ma Odin tylko jedno oko, drugie oddał, aby móc pić ze Studni Mądrości.

Odin pojął za żonę boginię Frygg. Od niej to pochodzi ród bogów, czyli Asów.

Co dzień zasiadają bogowie pod wielkim jesionem, aby sprawować sądy. Jesion ten jest bardzo wielki, jego gałęzie rozchodzą się po całym Świecie i sięgają Nieba. Na gałęziach

jesionu siedzi biały orzeł, między oczami orła uczepił się jastrząb, cztery jelenie ogryzają gałęzie jesionu, a przy Źródle Przeszłości u stóp jesionu mieszkają dwa piękne białe łabędzie.

W Niebie jest wiele pięknych miejsc. Ale na końcu Nieba znajduje się mieszkanie najpiękniejsze, światlejsze od Słońca. Nazywa się ono Gimle. Ziemia i Niebo przeminą, ale Gimle trwać będzie wiecznie. Dobrzy i Sprawiedliwi ludzie na wieki w nim zamieszkają.

...Olbrzym Niorfe miał córkę Notte, czyli Noc. Z Nocy zrodził się Dagur, czyli Dzień. Noc i Dzień otrzymały wozy do objeżdżania Ziemi. Najpierw jedzie Noc; koń Nocy zwie się Zmarzła Grzywa, z jego wędzideł kapie rosa poranna i wieczorna.

Na północnych granicach Nieba zamieszkał olbrzym Hraswelgur, czyli Ścierwojad. Ma on skrzydła orła. Gdy uleci i pocnie nimi machać, powstaje wiatr.

Komu należy oddawać część boską?

Należy ją oddawać dwunastu Asom. Wśród nich najstarszym jest bóg Thor, czyli Piorun. Państwo jego zwie się Przybytek Siły, a dom jego jest Miejscem Przerażenia. Thor posiada trzy bezcenne przedmioty: młot – obuch druzgocący, który rzucony sam powraca, pas siły – który, gdy go Thor zapnie, dodaje siły po dwakroć, rękawicę żelazną – bez której nie można rzucić obuchem.

Niekiedy Thor lubi podróżować, a wówczas nazywa się on Akuthor, czyli Thor Wędrujący. Podróżuje wózkiem zaprzężonym w dwie kozy i doznaje wielu niebezpiecznych przygód...

– Następnym razem opowiem o przygodach Thora – powiedział doktor Strom.

Prześliczna była to opowieść. Patrzyłem na cmentarzysko, na które zajechała już Noc, czyli Notte, córka olbrzyma Niorfe. Z wędzideł. Zmarzłej Grzywy spadła na trawę wilgotna i chłodna rosa.

Och, gdybym jak Thor miał młot druzgocący! Albo pas, który by dodał po dwakroć siły.

Nie musiałbym wówczas uciekać się do pomocy podstępnej Brunhildy.

A Strom jakby przeczuł moje myśli. Wydawało mi się, że w moją stronę powiedział przypowieść zawartą w Eddzie Starszej:

...Nie wierz słowom panny ani żadnej niewiasty, bo ich serca są jak koło, co się obraca. Nie wierz świetności dnia ani zmii uśpionej, ani umizgom tej, z którą się żenić zamysłasz, ani złamanemu mieczowi, ani synowi bogacza, ani świeżo posianej roli...

ROZDZIAŁ DWUNASTY

**JAK NIEWIELE ZOSTAŁO Z CZŁOWIEKA • NIEZNAJOMA
DZIEWCZYNA W MARTWYM DOMU • OMAMIENIE • MOWA-TRAWA •
BELFER DO SETNEJ POTĘGI • KLÓTNIA Z BRUNHILDĄ • KRÓL
BERICH I KRÓL FILIMER • KLĘSKA FASTIDY • „KONIEC ŚWIATA”**

Jak opisać owo dziwne uczucie, które ogarnia, gdy spostrzega się nagle, że w jamie grobowej rysuje się kształt ciała ludzkiego? Kości złożonego tu człowieka zetlały, zmieniły się w białawy i sypki proszek. Wydaje się, jakby na ziemi odbijał się już tylko cień ludzki, który istnieje dopóty, dopóki ziemia zachowuje wilgoć. Słońce praży, piasek schnie, biały cień na ziemi znika prawie w oczach. Jeszcze króciutki moment i ów zarys ludzki rozsypuje się w bezkształtną podługowatą smugę – już zniknął, przepadł jak duch, jak cień...

– Teraz proszę jeszcze ostrożniej. Za chwilę powinniśmy odnaleźć zabytki – przestrzegła Agnieszka.

Grzebaliśmy w trzynastym kurhanie. Otaczał nas wysoki na 3 metry wał wyrzuconych kamieni. Znajdowaliśmy się na głębokości 125 centymetrów od dawnego wierzchołka kurhanu i około 50 centymetrów pod powierzchnią warstwy próchnicy pierwotnej.

Jama grobu była bardzo krótka. Miała zaledwie 140 centymetrów. Jeszcze mniejszy był zarys szkieletu, który rozsypał się pod wpływem promieni słonecznych.

– Pochowano tu chłopca albo młodą dziewczynę – wnioskował doktor Strom.

– Dziewczynę – zawołał Andrzej.

I końcem łopaty wskazał wystającą z ziemi brązową esowatą zapinkę od naszyjnika. Zaraz potem w miejscu, gdzie było lewe przedramię zmarłej, znaleźliśmy fibulę, brązową, z wysoką pochewką. Obok leżał bursztynowy paciorek. Zgodnie z nakazem Andrzeja kopaliśmy dalej, aż do dna jamy grobowej. Calca jednak ciągle nie było. Jama grobowa to kurczyła się, to znowu poszerzała, chwilami nie potrafiłem określić jej bocznych granic.

Zdjęliśmy znowu około 30 centymetrów ziemi. Teraz już wyraźnie widziało się ślad grobu. Stawał się on coraz szerszy i dłuższy. Trafiliśmy więc na drugi grób, zalegający pod mogiłą młodej dziewczyny.

Calec wokół jamy grobowej miał barwę jasnożółtą, o szarym odcieniu, z wyraźnie widoczną piękną mozaiką żył limonitowych³⁶. Wkop do grobu był żółtawopomarańczowy.

Jama grobowa osiągnęła wreszcie długość 250 centymetrów. Agnieszka wydała radosny okrzyk. Ona pierwsza dostrzegła gdzieś w środku grobu żelazną półkolistą sprzączkę od pasa. O kilka centymetrów dalej znajdowała się żelazna skuwka przytrzymująca rzemień pasa, nieco wyżej zaś odnaleźliśmy dwa brązowe okucia silnie profilowane. I tutaj, obok tych brązowych okuć, tkwił tylko malutki kawałek ludzkiej kości. Tak niewiele zostało z mężczyzny, którego pogrzebano przed niespełna dwoma tysiącami lat.

Może był ongiś sławnym wojem? Przedsiębrał jakieś dalekie wojenne wyprawy i napędzał strachu sąsiednim plemionom słowiańskim? Wszystko, co po nim zostało, zmieściło się do jednej malutkiej koperty papierowej, na które Agnieszka napisała „KURHAN nr 13, grób II”.

– Czemu pan taki smutny? – zapytała mnie Krystyna.

– Smutny? Nie, zamyśliłem się trochę.

Świeciło piękne popołudniowe słońce, woda w jeziorze była nareszcie niebieska, odbijała bowiem bezchmurne niebo. Płynęliśmy z Krystyną po szklanki pozostawione na wyspie. Dziewczyna wiosłowała, a ja śledziłem przez lornetkę wesołe nurki dzikich kaczek.

Odjąłem lornetkę od oczu. Schwyciłem wiosło.

– Do brzegu. O, tam, widzi pani? – wskazałem wiosłem Martwy Dom. – Dziewczyna. Koło Martwego Domu widzę jakąś dziewczynę. W spodniach.

– Nie można by powiedzieć, że pan goni za spódniczkami – zauważyła z ironią.

– No, niechże pani wiosłuje. A jeśli to jest właśnie złodziejka figusów?

– Paweł pytał mnie dziś rano o tę historię figusów. Na wszelki wypadek powiedziałam mu, żeby nie wierzył w takie głupstwa. „Starszy brat pana ma bardzo wiele fantazji” – wyjaśniłam mu. Przyznał mi rację i dodał z goryczą: „Kazał mi wierzyć w jakieś światelka, musiałem przeprowadzać jakieś wywiady, a on w tym czasie, niby to śledząc złodziei, do pani na wyspę jeździł i flirtował. List podobno znalazł na wyspie. To pani pisała ten list, prawda?”. „Prawda” – przytaknęłam, bo to zresztą i zgodne z prawdą. „A to mnie nabrał” – mruknął pański młodszy brat.

Spieszyło mi się do Martwego Domu, nie chciałem więc tracić czasu na tłumaczenie Krystynie, jak wielką wyrządziła szkodę przekonując Pawła, że został oszukany. Tajemnicza dziewczyna zniknęła w drzwiach starego domostwa. „Czego ona tam szuka?” – zastanawiałem się, gwałtownie pracując wiosłami.

Krystyna nie przestawała mi dokuczać.

³⁶ Limonit – minerał, wodorotlenek żelaza, barwy żółtawej do ciemnobrunatnej, niekiedy jako farba malarska (ugier).

– Słyszałam o złodziejach wspaniałych tulipanów. Ale żeby ktoś kradł figusy? Na to się nie dam nabrać. Najpierw bujał pan swego młodszego brata, a teraz z odległości pół kilometra zobaczył pan jakąś dziewczynę i mnie pan próbuje bujać? „Złodziejka figusów”. Cha, cha, dobre sobie. Ciekawam, czy i ją tak samo jak mnie będzie pan próbował mamicić pięknymi słówkami?

– Nie przypominam sobie, żeby panią „omamiał”, Brunhildo.

– Teraz oczywiście pan sobie już nie przypomina.

– Jak mam rozumieć to „teraz”?

– Gdy zobaczył pan nową dziewczynę.

Przestałem wiosłować. Było mi wszystko jedno, co w Martwym Domu robi tajemnicza dziewczyna.

– Nie jeździłem na wyspę, żeby panią „omamiać”.

– Kto mnie zwabił do waszego obozu?

– Zwabił? Czy to najważniejsze słowo? Zwabić można kogoś w zasadzkę.

– Zwabił mnie pan do obozu, gdzie mieszka cała gromada nudziarzy i gdzie wykopuje się nieboszczyków. Brr... To była swego rodzaju zasadzka. Bo okazał się pan innym, niż sądziłam. Zostałam oszukana. Wyobrażałam sobie, że jest pan trochę zwariowanym, ale niemniej miłym człowiekiem, który będzie się mną interesował, rozmawiał ze mną, spacerował. A pan w dzisiejsze przedpołudnie odgrzebywał zmarłych, a potem, gdy pan zobaczył jakąś nową panienkę, już mnie pan pozostawia, już pana interesuje ktoś inny.

– To jakaś tajemnicza historia z tą dziewczyną. Po co ona weszła do tego pustego domu?

– Tajemnicza historia! Gdy mieszkałam na wyspie, to ja byłam tajemnicza. Jak przestałam być tajemnicza i przeniosłam się do was, natychmiast w pańskich oczach ktoś inny stał się tajemniczy. Czy pan ma dobrze w głowie?

– Cicho. Cichooo... – syknąłem. – Martwy Dom już blisko.

Dziewczyna była ubrana w szare spodnie i skórzaną kurtkę. Na jasnych włosach miała płócienną czapkę.

Wybiegła z Martwego Domu i podeszła do pozostawionego na trawniku motocykla. Przyklękła przy nim i zaczęła, poprawiać łańcuch.

– Co pani tam robiła? – zagadnąłem ją surowo.

Wstała, wsadziła ręce w kieszenie i popatrzyła na mnie drwiąco.

– Co tam robiłam? Ano niech pan zgadnie...

– Nie mam ochoty do żartów.

– Ja także.

Znowu przyklękła przy łańcuchu. Dotknęła go w kilku miejscach, potem zajrzała do baku i uczyniła jeszcze kilka równie niejasnych czynności. W końcu, jakby zdenerwowana moim milczeniem, zapytała:

– Czy to pański dom?

– Nie...

– A może tej dziewczyny? – wskazała Krystynę, która udając, że zupełnie się nami nie interesuje, usiadła na trawie.

– Nie. Też nie.

– No więc, co pana obchodzi, gdzie byłam i co robiłam?

Powiedziałem.

– Tu w okolicy kręci się pewna złodziejka...

– A pan jest z milicji?

– Nie...

– A ta pani?...

– Też nie.

– No więc?

– Każdy obywatel powinien czuwać nad wspólnym dobrem. Ten pusty dom jest niczyj. A jeśli jest niczyj, to jednocześnie należy do wszystkich i każdy człowiek powinien uważać, żeby nie zginęło nic ze wspólnego naszego dobra.

– Mowa-trawa – odrzekła.

Skoczyła na siodełko. Zapуściła motor i odjechała. Na zakręcie pokazała mi język.

Ale właśnie w tej samej chwili motocykl parsknął głośno, zakrzuszył się i umilkł. Dziewczyna zeskoczyła z siodełka i przyklęknęła przy motorze.

– Bardzo tajemnicza nieznajoma – chichotała Krystyna.

Podeszliśmy do dziewczyny reperującej motor.

– A pan znowu tutaj? – zapytała z wyraźną niechęcią.

– Znowu.

– I znowu będzie mnie pan wypytywał, co robiłam w tym pustym domu?

– Znowu.

– Co za nudziarz, koniec świata.

Obraziłem się.

– Czy pani nie zna mojego brata, Pawła? On też tak często mówi „koniec świata”.

– Znam Pawła. On jest także czyimś bratem. Ale nie pana. Ja nie zawieram znajomości z nudziarzami.

– Mój brat Paweł, owszem, jest nudny.

– To pewnie wada rodzinna – dodała.

– Dlaczego pokazała mi pani język?

– Rozgniewał mnie pan. Przyczepił się pan do mnie i w żaden sposób nie mogę pana spławić. Koniec świata!

– Może pomóc?... – zaproponowałem klękając przy motocyklu.

– Zna się pan na motorach? – i dopiero teraz spojrzała na mnie z większą uwagą.

– Nie...

– Panie kochany. Nie rób pan ze mnie wariatki. Jak się pan nie zna na motorze, to co mi pan może pomóc?

– Mogę sprowadzić ze wsi konia, żeby pociągnął ten motocykl.

Nie odpowiedziała. Jej zainteresowanie znowu pochłonął unieruchomiony motocykl.

– Mój Boże – westchnąłem. – Co to za czasy. Młode dziewczęta rozjeżdżają się samotnie po jakichś pustkowiach. Koniec świata...

– A pan co? Belfer?

– O, jeszcze jaki belfer. Do setnej potęgi – wtrąciła się Krystyna.

– Współczuję... – rzuciła jej nieznajoma.

Rozmawiam i rozmawiam, a nic konkretnego się nie dowiedziałem – rozpaczałem.

– Może chce się pani przejechać ze mną kajakiem po jeziorze? – zaproponowałem.

– A w tym czasie ta pani czmychnie z moim motorem? Nie, drogi panie. Nie ma głupich.

– Boże drogi – złapałem się za głowę.

– Ale pan nabożny, koniec świata – zawołała.

Zrobiła jeszcze jakiś „hokus-pokus” przy motorze. Włączyła stacyjkę, motor zaczął strzelać jak karabin maszynowy.

– Cześć, panie belfer – krzyknęła na odjeźdźnym.

Potem już tylko widziałem kłęb kurzu na drodze.

– Nigdy panu nie daruję, że chciał ją pan zabrać na kajak. A ja tu miałam zostać na brzegu? Taaak?

– Czy pani rozumie, że ja stosowałem wszystkie możliwe środki, żeby wywieźć się, kim ona jest? Może to rzeczywiście złodziejka figusów?

Tupnęła nogą.

– Mam dosyć pańskiej manii prześladowczej. Wracamy do obozu. Zabieram namiot i z powrotem przenoszę się na wyspę.

Spojrzałem na zegarek. Było piętnaście po trzeciej. Na czwartą po południu zapowiedziano u nas referat Agnieszki.

– Dobrze. Wracamy do obozu – zgodziłem się.

Prawie całą drogę milczeliśmy. Nie wiem, o czym rozmyślała Krystyna. Ja czyniłem w duchu rachunek sumienia. A może rzeczywiście jestem zwariowanym facetem, który podlega stanom maniackalnym? – zastanawiałem się. – Bo czy normalnego, zdrowego człowieka może do tego stopnia pochłaniać sprawa ukradzionych figusów?

– Zrobiłam dla pana tyle dobrego. Otrułam Chudego Genka powiedziała z żalem Krystyna. – Ładnie mi pan odpłacił. Pięknym za nadobne, jak mówi przysłowie. Prawie z ulgą przyjął pan moją decyzję powrotu na wyspę.

– A jak miałem postąpić, Brunhildo? Na klęczkach błagać o pozostanie w naszym obozie? Powiedziała pani, że jesteśmy gromadą nudziarzy. O czwartej będzie u nas referat o

Gotach. Nudna piła. A jednak on mnie interesuje. Czy nie uczono pani, że młoda dziewczyna nie powinna zawierać przygodnych znajomości? Zawarła pani taką znajomość ze mną i ma pani teraz same kłopoty.

– Belfer. Belfer. Belfer – powtarzała.

Referat Agnieszki opowiadał o drugim rozdziale eposu gockiego na Pomorzu.

...Nowa fala gockich osadników przybyła do nas w połowie drugiego wieku. Wówczas to opustoszała w południowej Skandynawii prowincja Óstergötland oraz wyspy Oland i Götland, gdzie o wiele wcześniej niż na Pomorzu występują kurhany kamienne, groby ze stelarni, kręgi ułożone z kamieni.

Na żyznych ziemiach wzdłuż Wisły żyją Słowianie. Goci osadzają się na terenach uboższych, na Pomorzu Wschodnim, na Wyżynie Kaszubskiej. Tutaj zarówno koloryt krajobrazu, jak i gleba przypominają południową Skandynawię. Na Pomorzu tworzą Goci ogromne skupiska. Ich kurhanowe cmentarze, pozostawione na naszych ziemiach aż do złudzenia przypominają skandynawskie; można by rzec – są identyczne. Na Wyżynie Kaszubskiej zamieszkał ten sam lud, który trochę wcześniej żył w Óstergötland.

Zapewne był to szczep gocki – owi Gepidzi, o których wspomina Jordanes, że ich jesionowy okręt nieco opóźnił się w drodze i że do nowej ojczyzny przybyli ostatni...

Drugi wiek naszej ery jest na Pomorzu okresem prosperity kulturalnej. Widać to w bogatszym niż dotąd wyposażeniu grobów, w formach naczyń i ozdób. Ludność słowiańska i gocka żyje chyba dostatnio, skoro i zmarłych na ich drogę pośmiertną zaopatruje bogaciej. Po okresie walk i niepokoju doszło więc chyba do jakiegoś trwalszego porozumienia między dwiema grupami ludnościowymi – Gotami i Wenedami. Nastąpił teraz czas, który nazwać można współistnieniem, pokojowym współżyciem pomorskich Słowian i germańskich plemion ze Skandynawii.

Być może, Goci żenili się ze Słowiankami, które chętnie wychodziły za nich za mąż, choćby z tego względu, że kobieta u Gotów traktowana była z wielkim szacunkiem, że miała tam prawo niekiedy większe niż mężczyzna.

...Kobieta słowiańska wносиła z rodzinnego domu zwyczaj lepienia naczyń o baniastych kształtach. I aby przypodobać się mężowi zdołała te naczynia na wzór gocki – znaczyła na nich ornament z wygładzonymi trójkątami. Baniaste kształty – to wytwór słowiański. Gładzone trójkąty to wzór skandynawski. A właśnie naczynia z tego okresu często łączą w sobie te dwa różne elementy.

Przykładów takich możemy przytoczyć o wiele więcej. Do języka Gotów przenika wiele słów słowiańskich. I na odwrót – do dziś w naszym języku pozostały słowa gockie.

Jeśli rozważając sprawę pobytu Gotów na Pomorzu przyjmiemy, że było to pokojowe współistnienie Gotów i słowiańskich Wenedów, zrozumiałym staje się opis geografa Ptolemeusza: „Sarmację zamieszkują ogromne ludy: Wenedowie wzdłuż całej Zatoki

Wenedzkiej... Z mniejszych ludów mieszkają w Sarmacji poniżej Wenedów nad rzeką Wistulą Gydonowie”.

Jak długo mieszkali Goci na Pomorzu Wschodnim w tym drugim okresie ich podróźniczej epopei?

Cmentarzyska kurhanowe ze stelami – charakterystyczne dla przybyszów z Óstergótland – poczęto zakładać w połowie drugiego wieku, jak sądzić można po przedmiotach odnalezionych w kurhanach. Przeszono tu chować zmarłych na początku trzeciego wieku naszej ery. Czas trwania tych cmentarzysk obejmuje więc około 50-70 lat. Znaleźiska archeologiczne zgodne są z kroniką Jordanesa. Powiada on bowiem, że od czasów króla Bericha – z którym rozpoczęli pierwszą wędrówkę – rządziło pięciu królów. Pod wodzą piątego Filimera, syna Gandarika, Goci opuścili Pomorze, kierując się do kraju zwanego przez nich „Oium”.

Król Filimer zapewne odznaczał się większą energią niż jego poprzednicy. A może okazał tylko więcej sprytu i odwagi?

W wielkich kręgach kamiennych w Gašiorach i w wielu innych miejscowościach gockich – rozpalono ogniska. Z okolic poczęły ścigać tłumy wojowników. Kapłani wyprowadzali białe konie ze świętych gajów, aby wieszczły przyszłość. Obcinano gałęzie z owoconośnego drzewa, krajano je na malutkie kolanka, kreślono na nich tajemne runiczne³⁷ znaki, a potem rozsypywano gałązki na białej płachcie z ich ułożenia odczytywali kapłani losy wojennych zmagañ.

...Daleko na południu jest bogata kraina. Zamieszkują ją gnuśne ludy, rozpieszczone przez łaskawość przyrody – mówili kapłani. – Jeśli potrafimy ich zwyciężyć, każdy Got żyć będzie jak król, panując nad tysiącami niewolników. Chwała tym, którzy polegą w boju. Dusze bohaterów poniosą walkirie³⁸ ku niedostępnym jaskiniom górskim, do szczęśliwej i błogosławionej Walhalli. Ci, co przeżyją i zwyciężą, będą możni.

...Król Berich wyprowadził nas z ubogiej Scandii. Stanęliśmy w pół drogi, żyjemy ubogo jak dawniej. Trzeba podjąć dalsze trudy, aby dopełniły się przepowiednie – głosił Gotom król Filimer.

I pewnego dnia opustoszały siedziby Gotów na Pomorzu. Czy gnała ich „żądza czynów” – jak pisał pewien niemiecki uczoney? Czy też chęć zdobycia bogactw, pragnienie poprawy bytu?

Być może, wyruszyli Goci dwiema grupami, w niewielkich odstępach czasu. Powędrowali dwoma szlakami. Posuwali się szybko i dlatego drogi ich wędrówki nie są dla nas uchwytnie. Nie pozostawili żadnych trwałszych śladów.

Pierwsza grupa pod wodzą Filimera poszła terenem mało zaludnionym, aby unikać bojów i utarczek. Terenem takim był pas ziemi niczyjej oddzielający Bałtów i Słowian. Dobrnęli do

³⁷ Runiczne znaki (runy) – najdawniejsze znane germańskie znaki pisarskie, używane głównie w Skandynawii. Pierwotny alfabet runiczny zawierał 24 znaki, powstał na podstawie alfabetu grecko-łacińskiego; najstarsze znane znaki pisma runicznego pochodzą z III w. n.e.

³⁸ Walkirie – w mitologii germańskiej posłanki boga Odina, które zmarłych bohaterów prowadzą do Walhalli.

kraju Oium, co znaczy po gocku – „kraj podmokły, bagnisty”, a więc do błot poleskich. Część ludzi ugrzęzła w błotach – opisuje Jordanes – lecz reszta dotarła do „krańców Scytii”³⁹, nad Morze Czarne.

Druga grupa – owi wspomniani przez Jordanesa Gepidzi – wywędrowali nieco później i skierowali się sławnym „szlakiem bursztynowym”. Przez Bramę Morawską i Przełęcz Jabłonowską weszli do doliny Wagu, stamtąd zaś nad górną Cisę i Samosz, skąd zaatakowali granicę północnej Dacji, stanowiącej w tym czasie prowincję Imperium Rzymskiego.

W Dacji zetknął się król Gepidów, Fastida, z plemionami króla Gotów, Filimera. Jak powiada Jordanes: Fastida, czując się zacieśnionym w swym górskim i lesistym terenie, wystąpił z żądaniem odstąpienia mu części terytorium opanowanego przez Gotów, a gdy żądanie to zostało odrzucone, spróbował zbrojnym wystąpieniem poprzeć swoje pretensje. W 262 roku Gepidzi ponieśli klęskę nad rzeką Alutą. Pokonani przez swych pobratymców, Gotów, musieli się wycofać bardziej ku północy...

Podczas referatu Agnieszki zastanawiałem się, gdzie, u licha, podział się Paweł? Nie widziałem go już od obiadu.

Wróciwszy wieczorem do swego namiotu, znalazłem przypiętą do śpiwora kartkę:

Nareszcie jestem na tropie ludzi z Martwego Domu. Nie martw się o mnie. Za trzy dni wrócę cały i zdrowy... Sprawa Martwego Domu jest naprawdę bardzo pasjonująca. Mam nadzieję, że uda mi się ją rozwikłać.

Twój brat, Paweł

– Koniec świata – mruknąłem.

Nadszedł chłodny, pogodny wieczór. Zielonkawą toń lasu wypełnił amarantowy blask czerwono zachodzącego słońca.

Świat wyglądał jak wnętrze zielonkawej butelki pełnej rozcieńczonego wiśniaku. Taki wiśniak w butelce od piwa przyniósł właśnie ze sklepu doktor Strom.

– Zainteresowanie ładnymi dziewczętami to chyba u pana cecha rodzinna? – powiedział do mnie Herr Doktor. – Kiedy wracałem ze wsi, minął mnie na drodze pański brat. Jechał na tylnym siedzeniu motocykla. Wiozła go młoda, ładna dziewczyna.

– W szarych spodniach i płóciennej czapeczce? – krzyknąłem.

– Tak. W szarych spodniach i płóciennej czapeczce.

– Koniec świata! Koniec świata! – schwyciłem się za głowę. Nic, zupełnie nic nie rozumiem z tej historii.

³⁹ Scytia – kraj nad brzegiem Morza Czarnego (od Kurpiu do Donu), zamieszkały przez aryjskie koczownicze plemiona przybyłe tu w VII w. p.n.e. ze środkowej Azji.

Krystyna nie przeniosła się na bezludną wyspę. Przesunęła tylko swój namiocik bliżej „rybaków”. Zrobiła to tak ostentacyjnie, że chyba wszyscy domyślili się naszej waśni.

Nad jeziorem siedział pan Franciszek i smutnie patrzył w gazetę. Nie czytał jej, bo było za ciemno. Czego więc w niej szukał?

– Szkoda, że pan nie może zobaczyć, jaki piękny domek tu sfotografowali. Ech, panie Tomaszu. Ja miałem taki samiutki. I co? I co?

Nic umiałem mu odpowiedzieć. Starannie złożył gazetę i postępując podreptał do swojego namiotu.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

UDAREMNIONA ZEMSTA „RYBAKÓW” • KTO POZOSTAŁ PO ODEJŚCIU GOTÓW? • BRUNHILDA CHCE BYĆ ZNOWU TAJEMNICZA • CZY PRAGNĄŁBYM ZOSTAĆ UWIĘZIONY? • PRZESADZAMY FIGUSY • PROTOKÓŁ • ODNAJDUJEMY ZŁOTO • „JESTEM NIENARUSZALNYM SKARBEM GOTÓW”

Ktoś szarpał mnie za ramię i w oczy świecił latarką elektryczną.

– Panie Tomaszu, panie Tomaszu... – usłyszałem szept Brunhildy. – Przed chwilą podsłuchałam „rybaków”. Rozmawiali głośno, bo sądzili, że cały obóz już śpi. Chudy Genek wie, że został „otruty”. O trzeciej w nocy wyruszają do domu. Zdjęli tłumiki z motocykli i o trzeciej w nocy urządzią nam okropną pobudkę. Co robić? Przecież nie pozwolimy, żeby ich było na wierzchu...

– Mnie nic nie zdoła obudzić – przyłożyłem głowę do poduszki.

Tak długo jednak szarpała moje ramię, aż wylazłem ze śpiwora i ziewając poszedłem obudzić Andrzeja.

– Pobudkę chcą nam zrobić? Niedoczekanie ich...

I Andrzej pobiegł obudzić doktora Stroma. Zebraliśmy się w kuchni.

– Schowamy im motocykle – zaproponowała Brunhilda.

– Wspaniale! Cudownie! Ukradniemy im motocykle – zgodził się Strom. Był to bowiem bardzo sympatyczny archeolog.

Pomysł wydał nam się doskonały. „Rybacy” w obawie przed złodziejami przywiązywali się do swoich motocykli. Od szprych w kołach przeprowadzili sznury do swojego namiotu.

– Ja przetnę jeden sznur – ofiarował się Strom.

– A ja drugi... – podchwyciła Brunhilda.

„Zawzięta – pomyślałem. – Jeśli pozostanę z nią w stanie wojny, kto wie, jakie mi gotowa płatać figle?”

Nocne niebo było czyściutkie – lśniło jak wypucowane czarną pastą do butów. Las pachniał ostrym zapachem szuwaksu. Gwiazdy połyskiwały jak złote guziki przetarte miękką flanelą. Noc wydawała się schludna, świąteczna.

Strom i Krystyna podkradli się na palcach do namiotu „rybaków”. Od czasu do czasu trzaskały gałązki pod ich nogami, a wówczas ja i Andrzej, ukryci w kuchence, kłeliśmy cichuteńko.

Potem długo, długo trwała zupełna cisza. I znowu trzaskania gałązek.

– Sznurki zostały przecięte. A końce uwiązaliśmy do pni drzew – oświadczyła Brunhilda.

– Chi, chi, chi, chi – chichotał Strom.

Teraz nadeszła kolej moja i Andrzeja. W połowie drogi do motocykli przypomniałem sobie, że motor Chudego Genka zamknięty jest na maleńką, zieloną kłódeczkę. Wróciliśmy więc do kuchenki po Stroma i Krystynę. Andrzej zbudził Agnieszkę.

W pięcioro unieśliśmy motocykl i z wielkim brzękiem błotników zataszczyliśmy go od gospodarczego namiotu. Myślałem, że „rybacy” się pobudzą. Ale nawet najlżejszy szmer nie doszedł nas z ich legowiska.

Z drugim motocyklem poszło już zupełnie łatwo. Namiot zasznurowaliśmy, a potem Strom „ujawnił” nową porcję wiśniaku w butelce od piwa. Opróżniliśmy ją z daleka od obozu, nad brzegiem jeziora.

Pod wpływem wiśniaku miły Szwed stał się bardzo gadatliwy:

– Wspaniały kraj! Cudowni ludzie! Piękne wykopaliska! – rozkliwiał się. – Cieszę się, że tu przyjechałem. Niemcy są śmieszni. Choć nie płynie w nich ani kropla krwi gockiej, wyobrażają sobie, że pobyt germańskich plemion na Pomorzu uprawnia ich do urządzania napadów na wasz kraj. Do tej pory raził mnie jednak także i stosunek polskich uczonych do zagadnień germańskich. Jeśli Niemcy mówili o obecności Bastarnów na waszych ziemiach, to wy budowaliście odwrotne teorie: Bastarnów w ogóle nie było. Niemcy twierdzili o obecności Burgundów, a wy, że nie Burgundowie, tylko słowiańscy Wenedzi. I tak w kółko. Do drażliwego zagadnienia germańsko-słowiańskiego podszedł pan, panie Andrzeju, od zupełnie nowej strony. Stwierdził pan: „Żyły u nas plemiona germańskie. Ale na jakiej zasadzie? Jako gospodarze czy jako goście?” Jest to może ten złoty środek w nauce, próba obiektywnego spojrzenia na materiał naukowy. Jakże mogę nie pochwalić takiego stanowiska?

Posmakował łyk wiśniaku i dodał:

– Jedno jest pewne: Słowianie nie spadli z nieba akurat w VII wieku. Byli tu już od wielu wieków. Oczywiście przez zaludnione nimi ziemie przemaszerowały w ciągu setek lat najróżniejsze ludy: Celtowie, Hunowie, Germanie, ba, Scytowie. I pozostawiły po sobie ślady: kurhany i groby. Czy można jednak twierdzić, że wszyscy Goci i Gepidzi odeszli na południe? Chyba nie. Z pewnością wy wędrował element młody, silny i zdrowy. Pozostali zaś starcy i jednostki bardziej niedołążne. Jordanes pisze, że po odejściu Gepidów na obszarach

nad dolną Wisłą siedzą „Vidivarii⁴⁰ z rozmaitych pozbierani ludów...” A więc z pewnością prócz Słowian resztki Gotów, jakieś ostatki wytrzebionych przez Gotów Ulmerugiów. Najważniejsze jest jedno: najsilniejszy był żywioł słowiański, on wchłonął wszystkie inne.

Rozmawialiśmy prawie do drugiej w nocy. Nieruchoma powierzchnia jeziora porażała nas swą groźną ciszą. Mówiliśmy coraz mniej i szeptem. Wśród drzew koło Martwego Domu pohukiwał puszczyk. Jego smutny głos biegł do nas poprzez nieme jezioro jak żałosne wołanie.

Wziąłem w dłoń rękę Krystyny.

– Nie pojmuję postępków Pawła. Napisał kartkę, że jest na tropie złodziei figusów, i odjechał z dziewczyną, którą wczoraj spotkaliśmy w Martwym Domu. A więc nie omyliłem się. Ta dziewczyna miała coś wspólnego ze sprawą kradzieży.

– Omylił się pan, Tomaszu – odpowiedziała ciepło. – Znowu się pan omylił.

– Pani coś wie o tym?

– Wiem. To bardzo nieskomplikowana historia. Pan jednak gmatwa ją swoją wyobraźnią.

– Proszę mi wszystko powiedzieć.

– Po co? Już wolę być znowu tajemnicza.

Po drugiej stronie jeziora na polnej drodze słychać było skrzyp wozów i brzęk uprzęży. Przed tysiąc siedmiuset laty jezioro tak samo chyba niosło brzęk uprzęży i skrzyp wozów odjeżdżających plemion gockich. Na wozach wieziono dobytek, dzieci i kobiety. Na przedzie, z boków i na tyle taboru cwałowali konno uzbrojeni mężowie. Większość z nich urodziła się już tutaj, nad brzegiem jezior pomorskich. Niektórzy z nich na tej ziemi żyli od pięciu pokoleń. Dawna ojczyzna, Skandia, była daleko; nawet najstarsi nie potrafili opowiedzieć o ojczystym kraju. Znaleźli nową ojczyznę i na pewno niektórzy opuszczali ją z ciężkim sercem.

Tutaj, na porośniętych wrzosem jałowych wzgórzach, paśli owce i konie. Orali ziemię u ujścia malutkich rzeczulek. Z jezior kaszubskich wyławiali ryby, w borach ciągnących się aż hen, ku Warcie i Noteci, ubijali dzikiego zwierza. Wykarmiła ich ta ziemia, może uboga, ale piękna. Dlaczegoż by mieli jej nie kochać i tam, na upalnym południu, w ciągłych bojach i krwawych trudach, nie tęsknić do spokojnych jezior i lasów pomorskich?

* * *

„Rybacy” odjechali dopiero w południe, zdążyliśmy się spokojnie wyspać. Przeszukali las na wzgórzu i zamierzali powędrować siedem kilometrów do posterunku milicji, żeby złożyć meldunek o kradzieży. Z ulgą i radością przyjęli od Andrzeja informację, że motocykle „ktoś ukrył” w naszym namiocie gospodarczym.

Agnieszka wykazała, jak bardzo potrafi być przewrotna.

⁴⁰ Vidivarii – nazwy tej używa w swojej kronice Jordanes wg. jednych historyków na oznaczenie Wenedów, wg innych nazwa ta oznacza „różne ludy”.

– Przecież sami schowaliście wczoraj motocykle do naszego namiotu – oświadczyła „rybakom”. – Ale wieczorem piliście wiśniak pana Stroma i pewnie otrzeźwiawszy, zapomnieliście o uprzednich postępkach.

– Byliśmy trzeźwi – twierdził Chudy Genek.

Agnieszka zaśmiała się ironicznie.

– A czy przypomina pan sobie, jak to obcałowywał mnie po rękach i przysięgał miłość do zgonu?

Chudy Genek nic nie odpowiedział. Pożegnali się z nami chłodno. Zapuscili motory i odjechali, o dziwo, bez hałasu.

Była niedziela. Południe. Podczas powrotnej drogi z kościoła odwiedziła nas stara Rzyndowa. Przed wszystkim zajrzała do kuchni, do pana Franciszka.

– Nie ma starych wiader? Figusy chcę przesadzić...

– Nie ma, nie ma! Pani myśli, że tu wielkie gospodarstwo prowadzimy – złościł się Franciszek.

Andrzej, którego wyjazd „rybaków” wprawił w doskonały humor, przypomniał sobie o dwóch pustych, dużych pudełkach blaszanych po konserwowych ogórkach.

– Po obiedzie przyjdziemy do pani i przesadzimy figusy. O, ja umiem to robić. Mój ojciec był ogrodnikiem. Figusy zasadzimy w pięknych blaszanych pudełkach.

– Tylko żeby były z dziurką na dnie – zastrzegła Rzyndowa. – Bo te garnki, co w nich teraz figusy trzymam, nie mają dziurek i dlatego kwiaty tak kiepsko rosną.

– Będą doniczki z dziurkami – obiecał Andrzej.

W namiocie gospodarczym znalazł duży gwóźdź i wybił w dnach pudełek po trzy małe dziurki. Przy tym po raz pierwszy pokłócił się z panem Franciszkiem.

– Te pudełka będą nam potrzebne – twierdził gniewnie Franciszek.

Andrzej wzruszył ramionami.

– Ale się pan zrobił nieżyczliwy. Jakby nie ten sam człowiek.

Franciszek szybko podreptał do swego namiotu. Było mu chyba bardzo przykro.

Zaraz potem zwała się do naszego obozu gromada Kaszubów z Gąsior. Przyszli obejrzyć zabytki wykopane z kurhanów. Andrzej i Agnieszka musieli opowiadać im o Gotach. Największe zainteresowanie wzbudziły kręgi kamienne.

– Tam na górze był kiedyś jeszcze jeden krąg. Ale kamień wywozłem i potłukłem na ściany do obory – przyznał się jeden z gąsiorskich gospodarzy.

Andrzej rozłożył na stole plan cmentarzyska i ów gospodarz musiał dokładnie wskazać, gdzie i jak był ustawiony „ukradziony” krąg.

Powód zainteresowania kręgami rychło się wydał.

Zapewne Franciszek opowiedział któremuś z robotników, pracujących przy wykopach, o tajemniczych ognikach, które ukazały się nam na kręgach w noc świętojańską, a oni powtórzyli to we wsi.

Krystyna uśmiechała się złośliwie.

„Poczekaj – pomyślałem – i ja tobie spletam jakiegoś psikusa”.

Wlazłem do swego namiotu, nakryłem się poduszką na głowę, żeby najmniejszy hałas nie mącił moich myśli, i zacząłem się zastanawiać. Ale żaden mądry pomysł nie przyszedł mi do głowy. Zasnąłem. Podczas obiadu Agnieszka drwiła ze mnie:

– Ktoś zahipnotyzował Tomasza. Ciągłe śpi.

– Mooowa! – odrzekłem.

– Tomasz tak długo wojował z Chudym Genkiem, aż się od niego zaraził. Może zaczniesz łowić ryby, Tomaszu? – zapytał Andrzej.

– Pan Tomasz martwi się o swego brata – stwierdziła Zosia.

– Czyżby? – zadrwiła Krystyna. – Sądzę, że raczej myśli o tajemniczej dziewczynie, która uwiozła Pawła. Pan Tomasz wolałby, żeby to on sam był uwięziony...

– Może więc pani ofiaruje się uwieźć Tomasza? – zaproponowała Agnieszka.

– Niestety, nie mam motocykla.

– Ale ma pani kajak. Może go pani uwieźć na wyspę.. Krystyna zaczerwieniła się. Mówiliśmy po polsku i pan Strom myślał, że rozmowa ciągle dotyczy spraw gockich.

– Kurhan pani Agnieszki jest najciekawszy. Dwa groby obok siebie, a z boku jeszcze jeden grób. Co zawiera ta trzecia jama grobowa?

– Zawsze musi być ten trzeci – odezwałem się ponuro.

– A tak – przytaknęła Zosia. – Przedtem był Chudy Genek, a teraz jest pan doktor Strom. Pan Tomasz nie ma za grosz szczęścia u Agnieszki.

– Zapewne pani Agnieszka jest za mało tajemnicza – wtrąciła Krystyna.

Zosia, której tego dnia przypadł dyżur w kuchni, posprzątała ze stołu talerze. Resztki jedzenia pozostałe z obiadu poszła wyrzucić do odległego o kilkanaście kroków świerkowego zagajnika, gdzie znajdował się nasz śmietnik.

Nagle usłyszeliśmy jej przeraźliwy krzyk.

Porwaliśmy się od stołu. Dziewczyna stała na małej polance. U nóg jej leżał rozbity talerz. Oczy Zosi były pełne strachu.

Wskazała palcem rząd młodych świerków.

– Tam... Tam... Zobaczyłam jakąś twarz. A potem tylko słyszałam tupot nóg.

– Rozbiłaś talerz, a teraz próbujesz się wytłumaczyć w ten dziwny sposób – powiedziała Agnieszka.

– Pani Zosia chce być tajemnicza... – zawołała wesoło Krystyna.

Ale Zosia bardzo długo nie mogła opanować lęku.

– To pewnie był chłopiec pasący krowy. Nie śmiał wejść do obozu i tylko nas podglądał – uspokajał Zosię Andrzej.

Słowa Andrzeja wydały mi się przekonywające.

Ja szedłem górą, a oni doliną. Wędrowałem po wierzchołku długiego wzgórza, a oni u stóp tego wzgórza. Wołaliśmy do siebie: „Hop, hooop! Hop, hooooop...” Niosłem puste pudełko po konserwowych ogórkach, drugie takie pudełko trzymał w ręku Andrzej. Patykami wybijał na nich jakiś zwariowany takt i jakby przy pomocy tam-tamów rozmawialiśmy ze sobą – on z dołu, a ja z góry.

Wzgórza porastał wrzos. Wydawał mi się prawie zupełnie martwy. Jego łodygi szeleściły na nogawkach spodni jak suche badyle. Ze szczytu wzgórza widziałem śmieszna, łysą górę, podobną do połówki piłeczki. Kaszubi nazywali ją „Jojczy”, co znaczyło „jajko”, bo kształtem przypominała okrągłutkie, gładkie jajo. Za górą dostrzegłem wąziutkie pasemko Jeziora Ostrowickiego, a jeszcze dalej rozlewała się toń jeziora Czarne. Potem już były tylko lasy, ciągnące się aż do Puszczy Tucholskiej.

Świeciło słońce, białe chmury zaglądały do jeziora jak wielkie, rogate barany do wodopoju, zieleń lasów wydawała się młoda i świeża jak listki młodziutkiej sałaty. I tylko pod moimi stopami rozciągała się połać zeschniętego wrzosu i czerwien kwiatów dzikiego szczawiu.

W obozie został tylko Franciszek. Czy można było wymyślić coś lepszego na niedzielne popołudnie niż ten spacer brzegami jeziora?

U stóp „Jojczy” biegła droga do Martwego Domu. Przyłożyłem lornetkę do oczu. Tak, nie myliłem się. Po drodze pędził obłok żółtego kurzu.

Motocykl. Nawet dwa. Ale było zbyt daleko, aby rozpoznać, kto na nich jechał w takim pośpiechu.

Nad jeziorem zawodził doktor Strom:

Miała babcza figusa, figusa, flgusa...

* * *

Rzyndowa przyjęła nas bardzo gościnnie. Chciała poczęstować zsiadłym mlekiem, zapraszała do izby. Lecz okazało się tam niezbyt czysto, śmierdziało kotami. W obawie przed ponowną wizytą złodziei Rzyndowa zabiła okna gwoździami i mimo upałów nie otwierała ich ani na chwilę. Zajęliśmy więc miejsca w ogródku na ławce pod oknami. Rosły tu wysokie, jeszcze nie kwitnące malwy i widziało się całe jezioro, aż hen, do naszego obozu i bezludnej wyspy Brunhildy.

– Bardzo ładne. Pomalowane na zielono. I z dziurkami... – z zadowoleniem kiwała głową Rzyndowa oglądając blaszane pudełka.

Byłem bardzo ciekaw owych sławnych figusów i zaofiarowałem się pomóc Andrzejowi w przesadzaniu ich do nowych doniczek.

W izbie stało rozgrzebane łóżko z poźółką pościelą. W kątach walały się graty. Ale brudne szyby nie przepuszczały zbyt wiele światła i półmrok skrzętnie ukrywał brudy.

Figusy – duże, wysokie rośliny o grubych łodygach i ciemnozielonych liściach – rosły w dwóch starych garnkach, pokrytych grubą warstwą zeschniętego błota.

Andrzej z wielką wprawą, delikatnie wyjął figusy razem z poskręcanyimi korzeniami oblepionymi ziemią. Ostrożnie wsunął je do puszek po konserwach i kazał babci przynieść jeszcze trochę ogrodowej ziemi. Potem palcami ugniół ziemię w nowych doniczkach i otrzepał ręce.

– No, teraz będą pięknie rosły – powiedział.

– Tfu, tfu, na psa urok – zamachała rękami Rzyndowa. Słowo „pięknie” mogło przecież uroczyć figusy.

– A teraz, babciu, zapalcie lampę.

– Lampę?

– Protokół będę pisał.

– Boże kochany, protokół? – załamała ręce stara Rzyndowa. – Mój Boże, to już nawet figusów nie można przesadzać bez protokołu? Drzewa wyciąć w lesie nie wolno bez pozwolenia. Figusów nie wolno przesadzić. Ludzie kochani!...

Zapaliła jedną naftową lampę.

Andrzej zdjął z ramienia mapnik na skórzanym pasku. Z mapnika wyciągnął zeszyt do archeologicznych notatek (nie ruszał się bez niego na żadną wycieczkę). Usiadł przy stole i począł gryzmolić.

– Posłuchajcie, babciu, co tu napisałem, bo potem podpiszecie – rzekł do Rzyndowej. Przeczytał.

– Niniejszym stwierdzam, że w dniu 27 czerwca 1958 roku w mieszkaniu obywatelki Heleny Rzynda, zamieszkałej we wsi Gąsioro na przysiółku koło jeziora Długie, znalazłem dwie zabytkowe wazy ze szlachetnego kruszcu, które służyły jej jako doniczki do figusów. Wazy te zabrałem w depozyt celem szczegółowego zbadania. Kierownik Ekspedycji Wykopaliskowej Uniwersytetu w Ł.

Potem Andrzej jeszcze raz na drugiej kartce przepisał tę samą treść. Przybił stempel ekspedycji.

Babcia Rzyndowa podpisała. Ale z wielkim ociąganiem.

– Panowie, weźcie sobie te garnki bez protokołu – prosiła.

– Bez protokołu nie wolno. A jak was milicja zapyta: „Babciu, kto wam zabrał doniczki?” Pokażecie wówczas ten protokół. I oni już będą wiedzieli, gdzie nas szukać. Zresztą te doniczki to wasza własność. One są prawdopodobnie bardzo cenne. Owszem, możecie je przekazać naszemu Muzeum Archeologicznemu. My, babciu, właśnie takich garnków szukamy w tych kurhanach. A one u was były, figusy w nich rosły.

– To Alfred je przyniósł. Alfred wszystkiemu winien – broniła się Rzyndowa.

– Nikt nie jest winien. Jutro przyjdę do was, to mi wszystko dokładnie opowiecie. Dobrze?

– Dobrze. Ale, ludzie kochani, żeby przez głupie figusy zaraz protokół pisać? Jak na milicji. I kara za to też będzie?

– Nie, babciu. Co wy za głupstwa gadacie?

– No, bo protokół...

– My spisaliśmy inny protokół niż milicja. Napisaliśmy tylko tak, dla pamięci. Żeby babcia wiedziała, kto te garnki od was zabrał. Rozumiecie, babciu?

Babcia ostrożnie zgięła protokół we czworo i włożyła za obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej.

Wprost od drzwi chałupy Rzyndowej ruszyliśmy „z kopyta”. Na próżno wołał za nami doktor Strom: „Panowie, poczekajcie”. Krystyna rzuciła się za nami w pogoń. Potem ociągając się poszła naszym śladem Agnieszka, Strom, Zosia i Roman.

Zatrzymaliśmy się dopiero w odludnym miejscu, w kępie krzaków, tuż przy brzegu jeziora. Andrzej zsuł pantofle, zakasał nogawice i zabrał się do mycia „statków”. Aż drżeliśmy z niecierpliwości.

Nadeszła Krystyna, Strom, i reszta naszego towarzystwa. Andrzej podał Stromowi wymyty garnek.

– Niech pan patrzy, Herr Doktor. Oto, w jakich doniczkach stara Rzyndowa trzymała swoje figusy...

– Donnerwetter... One są ze złota!

I znowu usłyszeliśmy starą, zaczął śpiewkę naszego poczciwego Szweda:

– Wspaniały kraj! Cudowny kraj! W garnkach ze złota ludzie hodują rośliny. Mein Gott⁴¹, to jest niezwykle!

Andrzej wymył drugi garnek. Strom wziął go do ręki i począł obracać gorączkowo, oglądając ze wszystkich stron.

– Mein Gott! Mein Gott!... – wyrwał mu się stłumiony okrzyk. Strom mruczał coś po szwedzku. Wyglądał na nieprzytomnego.

Wzrok miał błędny i wciąż mówił po szwedzku.

– Herr Doktor! – krzyknął na niego Andrzej.

– Tu... Na tym garnku jest wyryty napis... – jąkał się Strom. Wydawało się, że zapomniał niemieckiego i z trudnością klei zdanie. – Napis w języku gockim: „Gutani othal. Ik im Hailak”. To znaczy: „Jestem nienaruszalnym skarbem Gotów”.

Andrzej wyskoczył z wody.

– „Jestem nienaruszalnym skarbem Gotów”? To są słowa, które widniały na skarbie Atanaryka!

⁴¹ Mein Gott! (niem.) – mój Boże!

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

**SKARB ATANARYKA • WALKA Z FRYTYGERNEM • PRZYSIĘGA
CESARZA WALENSA • HUNOWIE • TWIERDZA KAUKALAND • W
OSTATNIEJ POTRZEBIE • SKARB Z PIETROASA • NIESAMOWITE
DZWONKI • NOCNE PRZEŻYCIE • THOR SPOTYKA SKRYMNERA •
WALKA Z PIASTUNKĄ ELLE • ZACZAROWANE MIASTO UTGARD**

Zebraliśmy się w wielkim, dwunastoosobowym namiocie gospodarczym. Był wieczór i zapaliliśmy siedem świec. Wazy położyliśmy na skrzyni. Oświetlone, błyszcząły czerwono, jakby pokropione krwią.

Drzwi namiotu zostały szczelnie zasznutowane, a pan Franciszek stanął na straży przy celuloidowym okienku. Andrzej otworzył książkę o Nordgermanach. Widniała tam fotografia naczyń i ozdób ze skarbu Atanaryka znalezionego koło Pietroasa. Porównywaliśmy kształty naszych naczyń i tych z Pietroasa. Ów dziwny napis: „Gutani othal. Ik im Hailak” w skarbie z Pietroasa wyryty był na naszym jniku, u nas zaś na złotej wazie. Garnki starej Rzyndowej były bowiem złotymi wazami.

Wyglądem swym przypominały nieco głębokie miseczki z dwoma uszami. Te uszy – były to oddane z całym realizmem pantery, długie i cienkie, jakby wygięte do jakiegoś ogromnego skoku. Podobne pantery zobaczyliśmy na fotografii naczyń skarbu Atanaryka znalezionego w Pietroasa. Tylko że tamten skarb zawierał złote ośmiokątne koszyczki ażurowe, prześlicznie rzeźbione.

Nasze wazy były z grubego złota. Oprócz panter nie nosiły żadnych innych ozdób. Ale na dnie jednej z nich widniał napis: „Gutani othal. Ik im Hailak”.

– Nie ulega wątpliwości – stwierdził Strom że mamy do czynienia z jakąś częścią sławnego skarbu Atanaryka. Ten sam napis. Te same pantery. Przypuszczam, że gdyby zrobiło się próbę złota, okazałoby się, iż zarówno skarb z Pietroasa, jak i skarb z jeziora Długie mają identyczny stop kruszcu. Niestety, takiego porównania nie będzie można

przeprowadzić. Skarb Atanaryka, jak wiadomo, zaginął bez śladu. Jedyne, co po nim zostało, to te ilustracje w książce.

Przyniosłem z namiotu fotografię złotego kubka.

Andrzej i Strom zgodzili się, że i ten kubek także był ongiś częścią odnalezionego przez nas skarbu.

– Z jakiego czasu pochodzi skarb Atanaryka? – zapytała Zosia.

– Został on najprawdopodobniej zakopany w 375 roku naszej ery – odrzekł Strom.

– W takim razie... W takim razie – powtórzyła niepewnie Zosia – odnalezienie tego skarbu obala poglądy pana Andrzeja. No tak. Że też mnie to na myśl nie przyszło...

– Bo pan Andrzej twierdzi, że Goci wywędrowali stąd na początku trzeciego wieku – mówiła Zosia – a skarb jest z końca IV wieku. Goci tu byli jeszcze dwa wieki później, skoro pozostał po nich skarb?

Andrzej nic nie odpowiedział. Strom się uśmiechnął:

– Zapewne jest z nim związana jakaś nowa zagadka. Kto wie, czy nie uda się nam jej rozwikłać?

Po wazach płonących czerwonym światłem świec skakały złote cienie, jakby salamandry biegające pośród ognia. Wokół namiotu rozciągała się noc gwiazdzista i łagodna. Nie chcieliśmy jeść kolacji, nie myśleliśmy o spoczynku. Doktor Strom i Andrzej opowiadali nam tragiczną historię Atanaryka i jego skarbu.

...Goci opanowali obszary na południu dzisiejszej Rosji – podzielili się na dwa potężne państwa: Wizygotów i Ostrogotów. Wizygoci zajęli krainy nad Dniestrem i ziemie położone nieco bardziej na południe, zaś na obszarach południowo-wschodnich, nad Dnieprem i Donem, powstało państwo Ostrogotów.

...W połowie IV stulecia dwóch znacznych i sławnych książąt dobijało się o jedynowładztwo w państwie Wizygotów. Byli to: Frytygern i Atanaryk. Tym ludziom wydawało się, że ogromne obszary zajęte przez Wizygotów są dla nich dwóch zbyt szczupłe i że jeden z nich musi je opuścić. Jedne po drugich następowały więc utarczki, snuto intrygi – walka o władzę uczyła okrucieństwa i podstęp. Atanaryk zdołał ubiec Frytygera, pierwszy sięgnął po całkowitą władzę u Wizygotów, a potem zmusił Frytygera do opuszczenia państwa.

Z grupką najwierniejszych druhów przekroczył Frytygern granice Cesarstwa Wschodniorzymskiego. Cesarz Flawiusz Walens okazał mu swą łaskawość i zezwolił Gotom Frytygera na pobyt w granicach Imperium. Stali się oni federatami⁴² Cesarstwa – dobrze jest bowiem mieć za przyjaciół wrogów swoich nieprzyjaciół.

Tymczasem niepokojąco wzrastała potęga Wizygotów – złupili kwitnące miasta Olbię i Tyras, zmusili do uległości państwo Bosporańskie na Krymie. W tych warunkach w interesie cesarza leżało poparcie wygnanego Frytygera.

⁴² Federaci (z łac.) – należący do związku.

Wkrótce wrócił Frytygern z wygnania na czele rzymskich wojowników. „Panuj i dziel” – mówiła stara rzymska dewiza. Po zwycięskiej bitwie Frytygern zrzucił Atanaryka z tronu i zmusił go do opuszczenia kraju.

Jakże zmienne są losy królów! Pamiętać jednak warto, że koło fortuny toczy się nieustannie. Uczyniło zaledwie pół obrotu – i z wysokiego tronu spadł Atanaryk. Oto jednak nowy półobrót – i z wygnania powraca król Atanaryk, pojednawszy się uprzednio z cesarzem Walensem. Biada tym, co okazali wzdargę wypędzonemu władcy!

...Wielki, szeroki Dunaj przegradzał państwo Wizygotów i Cesarstwo Wschodniorzymskie. Atanaryk i Walensa dzieliły jednak nie tylko szerokie wody rzeki. Dzieliło ich coś znacznie silniejszego – przysięgi. Uroczyście przysiągł sobie ongiś cesarz Walens, że nigdy nie przekroczy pokojowo granic łupieżczych Gotów. Atanaryk przysiągł uroczyście swemu ojcu, że przenigdy nie uda się w granice Imperium Rzymskiego.

Nie przekroczyli granic, nie złamali przysięg. Walens i Atanaryk spotkali się w łodziach na środku Dunaju i tam zawarli przyjaźń i porozumienie. Biada tym, co zbyt dosłownie traktują cudze przysięgi! Dobrze jest mieć możliwych przyjaciół, niekiedy lepiej jednak posiadać wielkich wrogów. Przyjaciele mogą nas opuścić, a wrogowie mogą stać się przyjaciółmi.

...Tymczasem z dalekich stepów dzisiejszego Kazachstanu nadciągała złowroga potęga – dzikie, koczownicze plemiona Hunów. Jak potok gorącej lawy, który po drodze pali wszystko i niszczy, wypłynęły na południe Europy nieprzeliczone chmary barbarzyńców. Wizygotom osiadłym w Siedmiogrodzie zajrzało w oczy śmiertelne niebezpieczeństwo.

Próbował Atanaryk zbudować fortyfikacje nad Dniestrem, ale uprzedziły go szybkie forpoczty wielkiego wojska Hunów. Oddziały Wizygotów odbiły się od zięjącego zniszczeniem potoku wojowników i cofnęły nad Dunaj. I tu stanął Atanaryk przed trudnym do rozwiązania problemem: przejść granice Imperium Rzymskiego, a więc złamać świętą przysięgę, czy też zwrócić się twarzą do nadciągających wojsk i zginąć w walce?

Z Cesarstwem Rzymskim pertraktowali wtedy dwaj książęta ostro-goccy, równie jak Atanaryk przerażeni potęgą Hunów. Zgoda jednak na przyjęcie ich w bezpieczne granice Cesarstwa wyglądała dwuznacznie. Nie wiadomo było, czy staną się tam niewolnikami, czy będą ludźmi wolnymi. Atanaryk zdecydował się na walkę z Hunami. Być może silniejszym niż strach i rozum polityczny okazał się w nim lęk przed złamaniem świętej przysięgi.

Pociągnął Atanaryk na czele Wizygotów do odwiecznych puszczy, do Kaukaland, naturalnej górskiej twierdzy w południowo-wschodnim zakątku Karpat.

Przecenił Atanaryk niedostępność twierdzy Kaukaland. Nie docenił ogromu i sprawności wojskowej Hunów. Rozbite zostały umocnienia Kaukaland, rozproszone szeregi wojowników wizygockich. W ostatniej potrzebie – gdy klęska Gotów wydawała się nieuchronna – Atanaryk postanowił ukryć w ziemi skarb Wizygotów. Skarb ten nie mógł bowiem wpaść w obce ręce, uosabiał on siłę i wielkość plemienia Gotów, był jego największą świętością.

Zakopano w ziemi bezcenny skarb. Atanaryk samotrzeć ratował się ucieczką. Wzgardzony, zdetronizowany, złamał przysięgę – pokornie przekroczył granice Cesarstwa Wschodniorzymskiego. Jako polityczny wygnaniec osiadł w Bizancjum, a gdy w 381 roku umarł – panujący już wówczas cesarz Teodozjusz Wielki wyprawił mu wspaniały pogrzeb. W ten sposób Teodozjusz uczcił Atanaryka jako wielkiego wroga Cesarstwa, jako męża stanu i wodza. Wiele tragizmu zawiera się w tym dziwnym fakcie...

Tymczasem Wizygoci po ucieczce Atanaryka, nękani dalej przez dzikich Hunów, otrzymali od Walensa pozwolenie osiedlenia się w Imperium, w diecezji trackiej, pod warunkiem jednak, że złożą broń w ręce rzymskiej administracji i będą posłusznie wykonywać jej rozkazy. Historia mówi, że z powodu niedbalstwa urzędników rzymskich warunki te nie zostały spełnione, dzieci Gotów próbowano uczynić niewolnikami, po paskarskich cenach sprzedawano Gotom żywność. Rozgoryczeni, porozumiawszy się z niewolnikami rzymskimi, wznieśli powstanie. Cesarz Walens zmuszony został do zbrojnego marszu przeciw Wizygotom. Jakże żywotne były owe gockie plemiona i jakże wojownicze! Jeszcze wczoraj rozbici przez Hunów, błagali Walensa o litość i bezpieczne schronienie. W niespełna trzy lata później, bo w 378 roku, odważyli się zadrzeć z całą rzymską armią.

Pod Adrianopolem stanęli przeciw sobie – zbuntowani Wizygoci i rzymska armia prowadzona przez cesarza Walensa, tego, co ulitował się nad Gotami. Bitwę, która się tu rozegrała, historyk rzymski Ammianus Marcellinus⁴³ i porównuje do słynnej bitwy pod Kannami. Wizygoci zadali Rzymianom druzgocącą klęskę. Cesarz Walens padł martwy na polu bitwy. Ale jeśli po klęsce pod Kannami Cesarstwo Rzymskie znalazło dość siły, aby okrzepnąć i zwyciężyć, to bitwa pod Adrianopolem była „gwoździem do trumny” zmurszałego Imperium. Wyginał kwiat żołnierstwa i kadra oficerska Rzymian. Już nie byli w stanie odrodzić swej armii, musieli wojsko zaprzedać „barbarzyńcom”, którzy odtąd mieli w ich imieniu bronić Rzymu.

Słaba to była obrona. W trzydzieści lat później Wizygoci pod wodzą Alaryka wtargnęli do Italii i stanęli u bram Rzymu. Przekupiono ich ogromną ilością pieniędzy i oswobodzeniem czterdziestu tysięcy niewolników. Ale gdy trzeci raz stanął Alaryk pod Rzymem wspomagany przez wszystkich uciśnionych – nie znalazł się już ratunek dla starego Cesarstwa. Alarykowi otworzyli bramy miasta niewolnicy rzymscy. Trzy dni Goci pustoszyli Wieczne Miasto, a ci tylko ocaleli, którzy ukryli się w kościołach.

Jeszcze tylko raz Rzym pokazał swój lwi pazur. W 451 roku „ostatni Rzymianin”, Aecjusz, na Polach Katalaunijskich pokonał wodza Hunów, sławnego Attyłę, zwanego „Biczem Bożym”. Był to początek szybkiego końca różnoplemiennego państwa Hunów. Wizygoci zaś powędrowali aż hen, do Hiszpanii, gdzie gwiazda ich zwycięstw rozbłysła na nowo. Brak plemiennego skarbu jak z tego widać – nie uszczuplił w niczym mocy tego ludu.

⁴³ Ammianus Marcellinus – historyk rzymski z IV w., który opisał czyny rzymskich cesarzy; jego dzieło jest kontynuacją „Roczników” Tacyta.

Może dlatego, że nie byli to ludzie kochający się w zbytku, w złocie i klejnotach. Bardziej niż złote wazy cenili żelazne miecze, męstwo i siłę mięśni...

– A skarb? Co ze skarbem Atanaryka?

...W 1857 roku czterech robotników łupiących kamień do budowy drogi w górze Istrita koło Pietroasa znalazło w ziemi kilkanaście naczyń i ozdób. Podobnie jak stara Rzyndowa nie mieli oni najmniejszego pojęcia o wartości swego znaleziska. Część skarbu przekazali wędrownemu Cyganowi-kotlarzowi jako zapłatę za kotlarską robotę. Na ulicach wsi, skąd pochodzili owi robotnicy, dzieciaki wiejskie zaczęły się bawić w piasku bezcennymi klejnotami. Jakiś przejezdny kupiec domyślił się wartości owych „zabawek”, skarb wykupił. Potem nabył je jeden z rumuńskich ksiąząt i przekazał do skarbcza Rumunii. W czasie pierwszej wojny światowej „skarb Atanaryka” – bo taką nazwę odtąd nosił – przewieziony został do Moskwy, chciano go bowiem uchronić przed działaniami wojennymi. Lecz tu dosięgła go rewolucja i w wirze wojny domowej zaginął bezpowrotnie.

...Przepiękny bezcenny skarb. Jeden złoty płaski talerz, złota waza z plastiką figuralną, dwa koszyczki – jeden ośmiokątny i drugi dwunastokątny – zapinki w kształcie orłów, dzban uchaty ze szczerzego złota, kilkanaście klamer do pasa, zdobionych precyzyjnie emalią i wysadzanych szlachetnymi kamieniami, wiele naszyjników i wisiorków ze złota i drogich kamieni. I naszyjnik z napisem: „Jestem nienaruszalnym skarbem Gotów”.

– I co było dalej? Co dalej? – dopytywała się Krystyna.

Strom wskazał dłonią leżące na skrzyni złote wazy.

– To one mogłyby opowiedzieć nam dalszy ciąg tej historii.

– Niestety, one nic nie powiedzą... – westchnąłem.

– Złoto może przynieść radość tylko ludziom nieszczęśliwym – odezwał się ponuro Franciszek. – Nie wolno kochać złota dla niego samego, bo wtedy sprowadza tylko nieszczęście. Zmienia się w krew, dręczy sumienie. Odczuł to chyba stary Alfred Rzynda...

Po tych słowach nastąpiła między nami zupełna cisza. Dlatego usłyszeliśmy ciche, ostrożne dzwonięcie. Wydawało się, że na cmentarzysku pośród rozkopanych kurhanów coś brzęczy, jakby dzwonek, jakby łańcuch.

– Słyszycie?... – upewniałem się.

„Bim-bam, dzyń-dzyń” – to cichł, to znów stawał się coraz głośniejszy melodyjny głos dzwonka.

Dzwoniło na naszych wykopach. Jeśli ktoś urządzi żarty, nieopatrznie zawali nam wykopy.

„Dzyń, dzyń, dzyń, dzyń” – pobrzękiwało nad trzynastym kurhanem.

Pobiegliśmy gromadką.

– Stój! Stój! – raptem krzyknął Andrzej. I zawrócił do namiotu, jakby zobaczył w mroku twarz okropnego widma. Dziewczęta narobiły pisku i wróciły z Andrzejem. Mnie także udzielił się jakiś nieprzyjemny nastrój.

A tymczasem na trzynastym kurhanie coś brzęczało i dzwoniło. Równiutko, melodyjnie.

– Co się stało? – dopytywał się Strom.

– To był wabik, rozumiecie? – tłumaczył Andrzej. – Chcieli nas wywabić z namiotu i gdy ścigalibyśmy ów dzwonek, oni ukradliby złote wazy...

– Fantasta – rzekłem krótko.

– Czyżby? Zapominasz, że nie tylko my znamy tajemnicę figusów. Zna ją także złodziej, który okradł Rzyndową. Może Rzyndowa zdążyła już komuś powiedzieć, że zabraliśmy od niej garnki? Złodziej wie, że one są u nas, i próbuje je wykraść...

Na kurhanie dzwoniło i dzwoniło. Coraz głośniej, coraz gwałtowniej, jakby kogoś złościło, że z powrotem skryliśmy się w namiocie.

– Doktor Strom, pan Franciszek, Agnieszka, Roman i pani Krystyna pozostaną na straży skarbu – rozkazywał Andrzej. – A ja z Tomaszem pójdę spotkać się z panami, którzy dzwonią na wykopach.

W kącie namiotu stały nowiutkie trzonki do łopat. Uzbroiliśmy się w nie i dziarskim krokiem pomaszerowaliśmy na cmentarzysko.

„Dzyń-dzyń. Bim-bam” – denerwował się dzwonek.

Mogliśmy teraz dokładnie określić, skąd wybiega ten dźwięczący głos. Wydawało się, że płynie nieco z góry, ze szczytu pagórka.

Uczyniliśmy jeszcze kilka kroków i raptem nastąpiła cisza. Jakby dzwonek przestraszył się nas.

– Czy panowie nie wiedzą, że chodzenie po wykopach jest wzbronione? – krzyknął Andrzej. Oczywiście, krzyknął tylko tak, na wszelki wypadek, bo nikogo nie było widać.

Odpowiedziało mu milczenie.

Oświeciliśmy wnętrze rozkopanego kurhanu. Potem zaczęliśmy przeszukiwać cmentarzysko. Nigdzie ani śladu człowieka. A jednak przecież „coś” dzwoniło?

– Proszę się nie ukrywać. Ja was widzę! – wołał Andrzej.

Nikogo nie widział. Nikt się też nie odezwał.

Wolno zeszedliśmy ze wzgórza. Byliśmy o kilkanaście kroków od namiotu, gdy nagle za naszymi plecami rozbrzmiało. „Bim-bam, dzyń-dzyń”. Z początku cicho, nieśmiało. Później wyraźniej, gwałtowniej.

Wróciliśmy między kurhany.

Cisza. Najmniejszego szelestu. Jakby kto nożem uciął. Tajemniczy dzwonek zamilkł. A może to my ogłuchliśmy?

Prawie kwadrans przeszukiwaliśmy cmentarzysko. Nie było się na nim gdzie ukryć – drzewa rosły dość rzadko. Zajrzeliśmy w każdy dół, obeszliliśmy każdy kurhan. Na skraju cmentarzyska rósł sosnowy zagajnik. Ale dziwny dźwięk miał swe źródło gdzieś znacznie bliżej, pośród kurhanów.

– Ktoś nam robi głupie kawały – powiedziałem.

Nie przekonałem Andrzeja.

– Gdzie jest ukryty ten, kto dzwoni? Czy wierzysz w istnienie niewidzialnych ludzi?

– No i co? I co? – pytano nas w namiocie.

– To jest nie do wiary – rzekł Strom. I nie uwierzył naszemu opowiadaniu.

Za chwilę dzwonek na kurhanach rozjazgotał się i rozbrzęczał.

– Proszę iść sprawdzić samemu – Andrzej wręczył doktorowi latarkę i drewniany trzonek łopaty.

Dzwonek wołał nas jak w szkole na lekcje.

– Oszaleć można! – złościł się Andrzej.

Tym razem na wyjaśnienie tajemnicy dzwonka wyruszył Strom, Roman, Agnieszka i Krystyna.

Opuścili namiot, a w kilka minut później znowu nastąpiła cisza.

– No tak... – mruknął Andrzej.

Złote wazy włożył do wielkiej skrzyni, którą starannie zamknął na kłódkę. Tej skrzyni nie udźwignęłoby nawet dwoje ludzi. Mieściły się w niej instrumenty pomiarowe.

Zjawił się Strom i reszta naszego bractwa.

– I co? I co? – ironicznie zapytał ich Andrzej.

Agnieszka wzruszyła ramionami. I oni ponieśli fiasko.

– To bardzo tajemnicza sprawa – kręcił głową Strom.

Nie zanosilo się na spanie. Co pewien czas, niekiedy co pół godziny, cmentarzysko rozbrzmiewało dzwonieniem. Budziliśmy się i nasłuchiwalismy. O drugiej w nocy Andrzej zbudził Franciszka i doktora Stroma. Pozostawił ich w namiocie gospodarczym na straży skrzyni ze skarbem.

Wywołalismy z namiotów dziewczęta. Poszliśmy na wzgórze, hałasowalismy, świeciliśmy latarkami. Oczywiście tajemniczy dzwonek ani się odezwał.

Potem Krystyna, Agnieszka, Zosia, Roman rozeszli się do swych namiotów. A ja i Andrzej pozostalismy ukryci za wykopem trzynastego kurhanu. Sprawcy dziwnego dzwonienia powinni byli sądzić, że cmentarzysko jest puste, że wszyscy wrócili do obozu.

Leżałem na ziemi tuż obok dużej kupy kamieni wydobytych z kurhanu Agnieszki. Wystarczyło mi sięgnąć ręką, aby dotknąć krawędzi dołu, gdzie wczoraj odgrzebaliśmy resztki szkieletu dziewczynki, a pod nim grób mężczyzny. Między pniami sosen prześwitywało gwiaździste niebo, stok wzgórza opadał w dół. Tam szarzało jezioro i jak maleńki światełko przebłyskiwało celuloidowe okienko w namiocie gospodarczym.

W zagajniku za cmentarzyskiem zagrały dwa świerszcze. Szeleściło coś pośród igliwia – może zaskroniec, może mysz? Śmieszyła mnie świadomość, że ani przez chwilę nie przestaję myśleć o grobach, którymi usiane było wzgórze.

Świerszcze poczęły cykać tak równiutko jak zegarek na przegubie ręki, którą sobie podłożyłem pod brodę.

„Jutro pójde na posterunek milicji i złożę meldunek o zniknięciu Pawła – postanowiłem i strofowałem się w duchu: Mój młodszy, niepełnoletni brat zniknął pozostawiając jakąś głupią kartkę, a ja zupełnie się tym nie przejąłem. Jeśli rzeczywiście trafił na ślad złodziei, przecież może przydarzyć mu się nieszczęście. Dlaczego dałem się zwieść słowom jego karteczki?”

Usłyszałem, jak do wykopu posypał się piasek. Zapewne Andrzej poruszył się i obsunął w dół kamień.

Wysoko nad moją głową w koronie sosny zachrobotało, i spadło mi na głowę kilka igieł, jakby wśród gałęzi buszowała wiewiórka.

„Dzyń-dzyń, bim-bam” – posypało się z góry rzadkimi dźwiękami. Potem o kilkanaście metrów nad moją głową rozjęczał się głos dzwonka. Najzwyczajszego dzwonka.

Poderwaliśmy się gwałtownie z ziemi. A dzwonek wciąż dzwonił i dzwonił.

Na jaśniejszym tle nieba widzieliśmy wszystkie grubsze konary sosny. Nie, nikt tam się nie ukrywał. A jednak spośród gałęzi płynął nieustannie ów melodyjny, rozkołysany dźwięk.

Andrzej skierował w górę strumień światła latarki. Dosięgnął jednak tylko najniższych gałęzi. Tajemniczy dzwonek zabrzmiał już ciszej. I umilkł.

– Spłoszyłeś go – powiedziałem głośno do Andrzeja.

– Włazę na drzewo – zdecydował Andrzej.

W chwilę później odkryliśmy sznurek, który od korony sosny biegł w stronę zagajnika.

– Naprzód! – komenderował Andrzej.

Nie pochwalałem jego decyzji. Czy nie prościej było przeciąć sznurek? Wystarczała mi świadomość, że ktoś umieścił dzwonek na drzewie i przy pomocy sznurka pociągał go ukryty w zagajniku.

Lecz Andrzej maszerował w stronę zagajnika i nawet się na mnie nie oglądał.

– Naprzód! – ryknąłem i wymachując trzonkiem ruszyłem za Andrzejem.

Sznurek schodził coraz niżej i niżej. Już ręką można go było dosięgnąć. Prowadził nas w zagajnik jak nić Ariadny⁴⁴. Tylko że w naszym przypadku nić ta prowadziła nie do oblubienicy, ale – być może – do strasznego Minotaura⁴⁵.

W zagajniku zachrobotały gałęzie. Jakby między sosenkami przesuwano się jakieś wielkie cielsko.

Jeszcze trzy kroki i oto już gęsta ściana zagajnika. Tu skończył się i sznurek. Był przyczepiony do pnia wątłej sosenki.

Czekaliśmy kilka minut. Nie powtórzył się jednak żaden szelest. Dziwni „kościelni” od ciągnięcia dzwonka uciekli. W gęstwinie zagajnika nawet i za dnia byłoby ich trudno odnaleźć.

Szarpnąłem sznurek. Na cmentarzysku nad trzynastym kurhanem zadźwięczało głośno i pogodnie.

⁴⁴ Nić Ariadny – wg mitologii greckiej Ariadna, córka Minosa, ułatwiła legendarnemu bohaterowi ateńskiemu Tezeuszowi wyjście z Labiryntu za pomocą kłęбка nici.

⁴⁵ Minotaur – mityczny potwór, więziony przez Minosa w Labiryncie, zgładzony przez Tezeusza.

Wróciliśmy na wzgórze i przecięliśmy szpagat. Z gałęzi sosny spadł dzwonek. Był to mały szkolny dzwonek na drewnianej rączce. Czy nie dlatego wydawało mi się, że głos, który dobiegał z cmentarzyska, jest mi dobrze znajomy?

Nikt z nas nie mógł zasnąć. Zebraliśmy się ponownie w dużym namiocie gospodarczym. Zapaliliśmy świece. Doktor Strom opowiedział nam o podróży Thora.

...Akuthor, czyli Thor Podróżujący, jechał pewnego razu wózkiem zaprzężonym w swoje dwie kozy, z których jedna zwała się Tannnioskur, czyli Zgrzytająca Zębami, druga zaś Tanngrissner, czyli Z Rzadkimi Zębami. Towarzyszył mu w podróży Lok, jeden z dwunastu Asów. Z Lokiem bogowie zawsze najczęściej mieli kłopotów, odznaczał się on bowiem złośliwym charakterem. Swymi ciągłymi występkami i złośliwościami przynosił bogom sromotę.

Wędrujący Thor i Lok przybyli na noc do wieśniaka. Rozgościwszy się Thor zabił swoje kozy i zjadł je wraz z owym rolnikiem i dziećmi jego, szybkobiegaczem Thialfe i córką Roskwą. Po jedzeniu Thor owinął kości w skóry kozłe i położył się spać. A nazajutrz, za ledwie swój święty młot do góry podniósł, dwie zabite i zjedzone wczoraj kozy natychmiast ożyły. Okazało się jednak, że jedna z nich stała się kulawa na tylną nogę, bowiem Thialfe podczas wczorajszej uczty, chcąc szpiku zakosztować, kość kozłą nadłamał.

Rozgniewał się Thor, o mało domu wieśniaka nie rozwalił. Dał się jednak przebłagać, zostawił swoje kozy, a zamiast nich w dalszą drogę zabrał syna Thialfe i córkę Roskwę. Podążyli teraz ku wschodowi i przebrnąwszy przez głębiny morza, samoczwart wkroczyli w gęste bory. Gdy noc zapadła, rozejrzeli się za noclegiem. Postrzegli w lesie jakby wielki dom bez jednej ściany. Ułożyli się w nim spać, lecz w nocy poczuli, że ziemia trzęsie się z niezmiernym łoskotem. Porwał się Thor i przeniósł się do bocznej izby, pilnując wejścia do domu. Tymczasem nie ustawało trzęsienie i trwał jakiś głuchy chrzęst.

Ze świtem wybiegł Thor do lasu i zobaczył człowieka ogromnej postaci, śpiącego w lesie. Poznał Thor, że to jego chrapanie tak trzęsło ziemią. Zapiął Thor swój cudowny pas, który po dwakroć zwiększał jego siłę, lecz olbrzym zbudził się i odezwał:

– Nazywam się Skrymner. Ciebie zaś nie pytam o nazwisko, bo sam widzę, żeś As Thor. Bądź łaskaw zwrócić mi moją rękawicę...

Schylił się Skrymner po swoją rękawicę i z wielkim podziwieniem postrzegł Thor, że tą rękawicą był ich dom noclegowy, u owa boczna izba była tylko wielkim palcem u rękawicy.

W wielkiej zgodzie zjedli razem śniadanie. Potem Skrymner nie tylko ofiarował się towarzyszyć im w dalszej wędrówce, ale na spółkę z Thialfe pomagał dźwigać tłumok Thora.

O zmierzchu Skrymner udał się na spoczynek. Układł się pod wielkim dębem i życzył Thorowi dobrego apetytu. Thor jednak musiał iść spać głodny, bo tłumok, w którym miał żywność, zasupłał się tak bardzo, że w żaden sposób nie potrafił go otworzyć. Rozgniewany, chwycił Thor swój zaczarowany młot i rzucił nim w głowę chrapiącego Skrymnera.

Przebudził się Skrymner i sądząc, że to jakiś listek na niego spadł, zapytał Thora, czemu jeszcze nie śpi.

– Rozmyślam – odpowiedział Thor.

O północy, gdy olbrzym Skrymner chrapał tak, że cały las drżał, Thor podkradłszy się po cichutku, znowu z całej siły cisnął młotem w głowę Skrymnera. Uderzył go i lekko zranił.

Obudził się Skrymner. Ale sądził, że to żołądź spadła na niego z wysokich gałęzi dębu. Zauważywszy Thora zapytał znowu, czemu nie śpi.

– Obudziłem się – odrzekł Thor – lecz dalej spać zamierzam, bo noc jeszcze długa.

I ledwo Skrymner zaczął smacznie chrapać, natężył Thor wszystkie swe siły, oburącz chwycił swój młot i cisnął nim w olbrzyma. Mniemał, że tym razem na pewno go już zabił. Młot uderzył olbrzyma w policzek i zsunął się na szyję. Skrymner otworzył oczy.

– Coś mi się zdaje, że tam na gałęziach jakieś ptaki harcuja. Nieco mchu spadło mi z gniazda na głowę.

I spostrzegłszy Thora zaniepokoił się:

– Czemu nie śpisz, Thorze? Czyżby to już ranek był, pora wstawania? Słyszałem, że wybieracie się do Utgard? O, w Utgard daleko większych olbrzymów spotkacie niż ja. Radzę wam jednak, abyście, jeśli tam przybędziecie, nie przechwalali się, bo wiem, że ludzie tamtejsi niechętnie znoszą dumę tak małych jak wy stworzeń. A w ogóle, wedle mego zdania, najmądrzej zrobilibyście, gdybyście wrócili. Lecz skoro upieracie się iść do Utgard, wędrujcie drogą na wschód. Moja droga każe mi wędrować na północ, w te góry, co je widzicie, o, tam, na horyzoncie. Żegnajcie przeto.

I Skrymner, wzięwszy swój tłumok, opuścił Thora i jego towarzyszy. Zaś Thor po pewnym czasie zobaczył miasto na swej drodze. Było ono tak ogromne, że aby dojrzeć jego wieże, trzeba było głowę zadrzeć aż na plecy. Wejście do miasta obwarowywała krata żelazna, Thor i jego towarzysze przesunęli się jednak między jej prętami.

Weszli zaraz do wielkiego budynku, gdzie w rozległej sali ogromna mnogość ludu była zebrana. A osobno, na podwyższeniu, zasiadł król Utgardu. Pozdrowili go, ale on nie od razu ich spostrzegł i przemówił:

– Za późno jest, aby pytać was o drogę, po której zeście tu przybyli. Wszakże, jeśli się nie mylę, ów mały człowieczek, którego tu widzę, to przecież Akuthor. – I dodał zwracając się do Thora: – Być może wydajesz mi się mniejszy, niż jesteś w rzeczywistości? Ciekawi mnie bardzo, jakimi sztukami i umiejętnościami umiesz władać ty i twoi towarzysze. U nas bowiem nie ma ani jednego, który by w każdej umiejętności nie był bieglejszy od ludzi.

– Jestem biegły w jedzeniu – dumnie oświadczył Lok. – I gotów jestem choćby zaraz pokazać swe umiejętności.

Na rozkaz króla Utgardu do zawodów z Lokiem wystąpił Loge. Przyniesiono ogromny ceber mięsiwem wypełniony. Z jednego jego boku zasiadł Lok, a z drugiego Loge. Tak

szybko obydwaj jedli, że rychło spotkali się w środku cebra. Ale Lok obgryzał tylko mięso, a Loge jadł mięso razem z kośćmi. Zatem Loge zwyciężył.

Wówczas Thialfe, który był najszybszym z ludzi, oświadczył, że posiada umiejętność biegacza i może spróbować zawodów.

Stanął z nim w szranki Huge. Trzy razy obiegali obydwaj wielkie koło. Za pierwszym – biegli równo, za drugim – Thialfe pozostał za Huge w tyle o rzut strzały, za trzecim razem – Thialfe o pół drogi pozostał. Zatem zwyciężył Huge.

Thor oświadczył się z umiejętności picia.

Przyniesiono mu wielki róg, z którego pono dworzanie króla zazwyczaj pijali.

– Dobrze pijący róg ten jednym haustem wypróżniają – rzekł łaskawie król. – Gorszi – potrzebują na opróżnienie rogu aż dwa hausty, najgorszi – trzema haustami czynią ten róg pustym.

Róg wyglądał zwyczajnie, ale końca jego nie mógł Thor dostrzec. A gdy największej dołożył usilności, po trzech haustach zauważył, że napoju z rogu bardzo mało ubyło. Śmiał się głośno król:

– Mam kota – rechotał – którego dla zabawy dzieci moje podnoszą do góry. Podnieść tego kota zapewne niewielki to zaszczyt. Ale w tobie, Thorze, i siły widzę niewielkie. Może poprobujesz?

Na środek sali wyskoczył kot żelaznej maści. Thor oburącz ujął go w pół i dźwignął. Lecz kot tylko grzbiet swój wygiął i ledwo jedną nogę z ziemi podniósł.

– Nie dziwię się temu – stwierdził król. – Kot jest duży, a Thor mały. Jakże ma go udźwignąć?

Rozgniewał się Thor.

– Jeślim taki mały, niechże ktoś popróbuje potykać się ze mną.

Zawołał król swoją piastunkę, starą Elle.

Spostrzegł Thor, że im silniej i zwawiej nacierał na nią, tym baba mocniej się na nogach trzymała. Wreszcie aż na jedno kolano upadł. Król zapasy przerwał.

Nazajutrz król odprowadził Thora aż za bramy miejskie.

– I jakże ci się, Thorze, udała twoja podróż? – pytał go łaskawie i grzecznie.

Oburzył się Thor i począł narzekać na przyjęcie, jakie mu zgotowano w Utgardzie.

Uśmiechnął się król.

– Gdybym cię był wprzódy znał, Thorze, nie wpuściłbym cię nigdy do swego miasta. Na szczęście zabezpieczyłem się przed tobą wielkimi czarami. Zaczarowałem węzły twojego tłumoczek, ale i tak nie lada jakich czynów dokonałeś.

Przyjrzał się Thor królowi. Ależ tak, to był Skrymner pod postacią króla. Rzucił Thor trzykrotnie młotem w śpiącego Skrymnera, ale ten – dzięki czarom – za każdym razem zdołał skryć się za skałą, w której młot Thora wybił trzy czworograniaste doliny niezwyklej głębokości.

Lok nie mógł dorównać w jedzeniu Logowi, bowiem Loge, czyli Ogień, równie łatwo jak mięso, kości i całe naczynie trawi. Jakże mógł Thialfe zwyciężyć Hüge, skoro Hüge znaczy Myśl. Ścigał się Thialfe z myślą olbrzyma, szybszą niż błyskawica. Thor nie mógł opróżnić rogu, bo róg ten drugim końcem do morza sięgał. Dźwigając kota podnosił Thor sławnego, największego na świecie węża Migradowego. Ale i tak – choć dzięki czarom nie widział tego podźwignął węża aż pod niebo, że ledwie ogonem ziemi sięgał. Siłował się Thor z piastunką Elle. Lecz Elle znaczy Starość, a tej nikt oprzeć się nie potrafi.

– Niemniej, rzeczą godną podziwu było widzieć twoje zapasy ze starością – przyznał Skrymner. – Lecz dam ci radę: nie przychodź więcej do Utgardu. Bo albo nie wpuszczę cię do miasta, albo znowu, jak tym razem, zaczaruję.

Porwał Thor swój obuch chcąc zabić olbrzyma. Ale ten zniknął w mgnieniu oka. Pobiegnął Thor do Utgardu, ale w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowało się miasto olbrzymów, już tylko rozległą równinę napotkał.

...Wrócił tedy Thor z wędrówki do mieszkań swoich w Thrudwanger.

– zakończył opowiadanie Strom.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

„SKARŻYPYTA” • NIEOCZEKIWANA DECYZJA PAWŁA • „NIE ŁAM SIĘ, CHŁOPIE” • JAN KAZIMIERZ, KRÓL GOCKI • BOHATER Z WYOBRAŻNIĄ • PODEJRZANI MIESZKAŃCY BEZLUDNEJ WYSPY • CZY JESTEM „MIĘCZAK” • DZIEWCZYNA Z PAPIEROSEM „SYRENA” • PŁACZ BRUNHILDY • SPOTKANIE Z „CZARNYM NIEBEZPIECZEŃSTWEM” • ZŁODZIEJE ZROBILI PRZYSŁUGĘ • TURYSĆCI, KTÓRZY PODPATRUJĄ

Nazajutrz zjawił się Paweł. Przywiozła go motocyklem panienka, którą spotkaliśmy w Martwym Domu.

– Och, żebyś ty wiedział, co ja przeżyłem! – zawołał do mnie ze sztucznym patosem. – Ledwie z życiem uszedłem.

– Jak to się stało, Pawle?

– Spacerowałem brzegiem jeziora. Patrząc, dwóch dziwnych facetów podkrada się do zagrody Rzyndowej. Ja za nimi. Oni mnie spostrzegli i dali drapaka. Ja za nimi. Oni w auto. A ja... napotkałem tę panią na motorze i w pogoń. Dogonilibyśmy ich koło Bydgoszczy, bo wyobraź sobie, aż tam uciekli...

– Ale skończyło się na plaży w Sopocie.

– Skąd wiesz?

– Pawle, dlaczego mnie okłamujesz?

Wzruszył ramionami.

– Ty też lipę wstawiałeś z tajemnicami Martwego Domu, złotymi skarbami i różnymi cudami. Głupca, balona ze mnie zrobiłeś. Na dzwona wyszedłem! Na fakira! Martwiłeś się, że mnie nie ma, co? – zapytał z zadowoleniem. – A ja, brachu, na plaży z kumplami się spotkałem...

Zwróciłem się do panienki z motocyklem:

– Pani mnie także okłamała. Pytałem, czy zna pani mojego brata.

– Pan mówił, że pański brat, Paweł, jest nudny. A ten Paweł, co nam, nie jest nudny. Tylko pan jest stary nudziarz. I belfer – rzekła wzgardliwie.

– Belfer, belfer, belfer – śmiała się Brunhilda.

– Opowiem o wszystkim matce – oświadczyłem Pawłowi.

Wówczas Paweł, panienska z motocyklem i Brunhilda zawołali chórem:

– Skarżypyta bez kopyta, co ma język jak łopata...

– Wypoczywałeś, Pawle, na sopockiej plaży, a my odnaleźliśmy drogocenny skarb. Dwie szczerozłote wazy. A wiesz, gdzie one były? Stara Rzyndowa trzymała w nich figusy. I dlatego złodzieje nachodzili jej mieszkanie.

– Znaleźliście skarb?

Zaprowadziłem go do skrzyni w namiocie gospodarczym.

– Ominęła cię piękna przygoda. Spytaj się pani Krystyny, w jak dramatycznych okolicznościach odbyło się odkrycie skarbu. Dzisiejszej nocy ani przez chwilę nie zmrużyliśmy oka. Złodzieje chcieli nam wykraść zdobycz i wywabiali nas z obozu.

Paweł posmutniał. Wyjąłem ze skrzyni złote wazy i począłem je polerować rękawem marynarki. Złoto błyszczało, mieniło się jak lustro.

Andrzej poprosił panienskę z motocyklem, żeby podwiozła go na posterunek milicji. Należało złożyć tam wyjaśnienie w sprawie figusowych kradzieży. Złodzieje sprzątnęli nam sprzed nosa jedną wazę. Może była jeszcze piękniejsza od tych, które dostały się w nasze ręce?

Mogłem zapewnić Pawła, że czekają nas jeszcze równie piękne przygody. Lecz miałem do niego wiele żalu. Oszukał mnie. Nie zerwał kontaktu ze swoimi kumplami. Zapewne korespondowali ze sobą i jedna z owych „babeł” przyjechała do nas po Pawła. Umówili się w Martwym Domu, gdzie znowu zostałem oszukany.

To oczywiście ja pierwszy trochę oszukałem Pawła, opowiadając mu zmyślane historyjki. Ale czy nie robiłem tego w imię dobrej sprawy? Czy nie chciałem przez to rozbudzić w nim zainteresowania dla pięknej i mądrej nauki?

Jakby zupełnie nowymi oczami rozglądałem się teraz po rozłożonym na wzgórzu, starym cmentarzysku. Z zupełnie nowymi uczuciami pomagałem Agnieszce w eksplorowaniu trzeciego grobu w trzynastym kurhanie. Wszystko tu było takie same jak dawniej, jak przed tygodniem – a jednocześnie wydawało mi się zupełnie inne, nowe. Każdy szczegół na cmentarzysku był mi zrozumiały; ów cmentarz i rozrzucone na nim mogiły stanowiły ogniwo w długim łańcuchu historii Gotów. Mogłem wskazać palcem: oto tu jest najstarszy grób, z połowy II wieku. Właśnie w tym czasie druga fala Gotów przyplęła na Pomorze Wschodnie. A tam, ten kurhan na samym dole, jest najmłodszym grobem, z początku III wieku. Właśnie wtedy Goci wyruszyli nad Morze Czarne.

– Czy zastanawiałeś się, że wszystkie szkielety leżą głowami na północ? – zapytała mnie Agnieszka.

– Może w tym ułożeniu szkieletów wyraża się jakiś hołd dla północnej ojczyzny Gotów?

– Może...

Nasze łopatkę zgarniały żółtą, żwirowatą ziemię, w której gdzieś, jak rodzynek, tkwił czarny węgielek spalonego lub zbutwiałego drewna. Najlepiej i najsprawniej poruszał łopatką doktor Strom. Powiedziałem mu:

– Wydaje mi się, Herr Doktor, że sprawę gocką winniśmy załatwić polubownie. O ile wiem, niektórzy królowie szwedzcy byli jednocześnie królami polskimi i na odwrót. Niektórzy królowie polscy byli także dziedzicznymi królami Gotów. Nie kto inny, jak nasz przeświatny Jan Kazimierz, tytułował się: „Ja z Bożej łaski Król Polski, Książę Litewski, Ruski, Mazowiecki, Czernihowski, Smoleński, dziedziczny król Szwedzki, Gotski i Wandalski”.

– Ech, to zupełnie inna historia – rzekł Strom.

– No tak, ale czy nie warto o tym pamiętać, gdy nawiązujemy tu nasze przyjaźnie? Zresztą – machnąłem ręką i spojrzałem znacząco w stronę Agnieszki – pan daje sobie radę bez powoływania się na historię.

– Co ciebie dziś ukąsiło? – zainteresowała się Agnieszka.

– Herr Thomas nie może się zdecydować – stwierdził Strom – kogo ma obdarzyć uczuciem: romantyczną wyspiarę, czy młodą panienkę uzbrojoną w nowoczesną technikę.

Odłożyłem łopatkę.

– Herr Doktor. Gdyby w panu płynęła krew Gotów i Wandalów, moglibyśmy się spróbować na miecze.

– Gockie? – zapytał Strom.

Porzuciłem pracę przy kurhanie i powlokłem się na brzeg jeziora. Byłem zły na siebie. Dlaczego nie potrafiłem wykazać się choćby połową tego sprytu i inteligencji, co bohaterowie najmniej zawikłanej powieści kryminalnej? Trzymałem przecież w rękach wszystkie klocki łamigłówki, która nosiła nazwę „tajemnica figusów”, a jednak nie zdobyłem się na to, aby ułożyć ją w jedną całość.

Opowiadała nam Rzyndowa, że Alfred z Doliny okazał swe zainteresowanie dla figusów w chwili, gdy przesadził je do nowych doniczek. Strzegł tych figusów jak źrenicy oka, opiekował się nimi, doglądał ich. Dlaczegoż nie wydało mi się to podejrzanym? Zwierzał mi się przyjaciel Rzyndy, Pobłocki, że Alfred zaniedbał swoje piękne gospodarstwo, łódką jeździł po jeziorze, skarbów w wodzie szukał, a gdy wracał do domu, to zamiast jać się jakiejś prawdziwej pracy, swoje figusy podlewał i chodził koło nich jak kura koło piskląt. Czemu po słowach Pobłockiego nie zainteresowałem się figusami? Czy nie był zastanawiający ten upór, z jakim Rzynda, człowiek przecież niegłupi, poszukiwał skarbów? Musiał mieć jakąś

namacalną podstawę dla swojej wiary w istnienie skarbów. Mówił Rzynda Pobłockiemu: „Ja mogę kupić sto gospodarok, jak zechcę”.

Teraz, gdy wiedziałem o złotych doniczkach Rzyndy – wszystko było oczywiste, wiązało się ze sobą w sposób niezwykle prosty. Trudniej było to uchwycić, kiedy sprawa kradzieży figusów wydawała się czymś śmiesznym. Ta właśnie śmieszność całej sprawy zwiódła mnie na manowce.

Wielu autorów powieści kryminalnych lubi drwić z policjantów pozbawionych wyobraźni; zagadki kryminalne rozwiązuje bohater z wyobraźnią, potrafi on bowiem dostrzec głęboko ukryte, podskórne związki w skomplikowanym zjawisku przestępstwa. Ja chciałem być bohaterem z wyobraźnią. Dlatego przegrałem. W życiu zagadki kryminalne mają rozwiązanie o wiele prostsze, niż je sobie wyobrażamy, a jednocześnie znacznie ciekawsze.

Złodzieje ukradli figus. Trzeba więc było zainteresować się tym, co ukradli. Figusem. Tymczasem rozważaliśmy wszystkie inne przyczyny kradzieży – przypuszczaliśmy, że Rzyndowa ma w swym mieszkaniu coś bardzo cennego, co obudziło ciekawość złodziei. A przecież złodzieje ukradli tylko figus, a nie co innego!

Rozmyślałem o tym siedząc samotnie na brzegu jeziora. Było mi bardzo smutno. Oczywiście nie dlatego, że nie zdołałem zagrać roli doskonałego detektywa. Zrozumiałem nagle, że i w stosunkach z ludźmi jestem tak samo niedołąźny, jak w sprawie figusów. Jest takie niemieckie przysłowie: „Po co ma być coś proste, skoro może być skomplikowane?” Ja postępowałem w myśl tego przysłowia. Niepotrzebnie komplikowałem własne i cudze sprawy. Czy nie taki byłem wobec Agnieszki? Czy nie podobny okazałem się wobec Krystyny? A wreszcie – czy nie skomplikowałem niepotrzebnie sprawy między sobą i bratem swoim, Pawłem?

Przyłożyłem dłoń do czoła. Daleko po jeziorze płynął kajak.

Rozejrzałem się po brzegu. Niebieski kajak Krystyny i mój składak leżały wyciągnięte na piasku. Ktoś zupełnie obcy wpłynął na nasze jezioro.

Skoczyłem do namiotu po lornetkę. Tak, w kajaku siedział nie znany mi mężczyzna i obok niego kobieta. Wiosłowali w stronę bezludnej wyspy. Kiedy zasłoniły ich drzewa na wyspie – ściągnąłem na wodę swój składak. Po kilkunastu minutach lądowałem na brzegu wyspy, po przeciwnej stronie niż OBCY.

Wśliznąłem się w krzaki, gdzie stał ongiś namiot Brunhildy. Indiańskim sposobem przekradłem się przez wyspę aż do miejsca, z którego, sam niewidoczny, mogłem obserwować przybyłych. „Mój Boże – zastanowiłem się – znowu komplikuję być może zupełnie proste sprawy”.

Nieznajomy mężczyzna wyciągnął z kajaka namiot. A więc zamierzają tu nocować. Nieznajoma kobieta rozkładała na trawie kuchenkę spirytusową. Była w kostiumie kąpielowym, opalona na brąz, zapewne po dłuższej kajakowej podróży.

Wyjęła z plecaka paczkę papierosów. Zapaliła. Dzielilo nas nie więcej niż sześć metrów. Widziałem wyraźnie – paliła papieros „syrena” ze złotym ustnikiem.

Ostrożnie wycofałem się z krzaków. Wskoczyłem w składak i – robiąc duży łuk, żeby OBCY nie mogli mnie dostrzec – podpłynąłem do naszego brzegu.

Andrzej wrócił z posterunku milicji. Panienska z motocyklem czule pożegnała Pawła. Powiedziała do niego głośno, żebym ja usłyszał:

– Na tym odludziu nasz sposobność zapuścić brodeę. Będzie ci z nią do twarzy. Jeśli cię tu zanudzą, napisz do mnie do Sopotu, znowu po ciebie przyjadę.

Uważałem za stosowne wtrącić:

– Nie wydaje mi się, żeby Paweł mieszkał na odludziu. Kiedy zapuści brodeę, zapewne przestanie być podobny do człowieka. Ale przecież ten drobny fakt nie wpłynie na odludność naszego obozu? Jedź, jedź, Pawle – doradzałem. – Może znowu podczas twej nieobecności zdarzy się u nas coś ciekawego?

– A może rzeczywiście pojedziesz? – podchwyciła dziewczyna z motocyklem.

– Nie, chyba nie – wahał się Paweł. – Archeologia zaczyna mnie interesować. Skarb Atanaryka. Ech, to historia jak z kina.

– Łamiesz się, chłopie – powiedziała dziewczyna pogardliwie wykrzywając usta.

– Mooowa! – mruknąłem. – E, ty, braciachu, nie bądź frajer. Czego ma babka z ciebie dzwona robić? Nie daj się nabrać. Tu możesz się czegoś nauczyć. Na medal się tu żyje, w dechę: przygoda, kajak, jezioro. Tam, na wyspę, przyjechał jakiś fanfan. Może to facet od figusów?

– Nie łam się, chłopie! Już raz cię do wiatru wystawili – próbowała jeszcze dziewczyna.

Paweł milczał.

– W Sopocie masz piękne towarzyscho. A tutaj?

Paweł odrzekł z gniewem:

– Towarzyscho? Ładne mi towarzyscho. Nudy jak w grobowcu. Tu są przynajmniej prawdziwe grobowce. A tam co? Czarna Ręka, Rudy Felek, Bańdzioch i Linoskoczek – same wygłupy. Cały dzień włóczą się po mieście, groszem nie śmierdzą, bida w kraju. Przy pustym korycie będę tam siedział? Nie każdy ma sklep, jak twoi starzy. Linoskoczek też ma nadzianych rodziców. A ja? Z czym do gościa?

– Mooowa! – powiedziała dziewczyna z motocyklem.

I nawet Pawłowi ręki nie podała. Zapuściła motor i odjechała.

Paweł posmutniał.

– Nie łam się, chłopie – pocieszałem go.

Opowiedziałem mu, co widziałem na bezludnej wyspie. Poklepał mnie protekcyjnie po ramieniu.

– Mnie takie historyjki nie bawią, bracie. Ja tu chcę się czegoś mi uczyć. Na archeologię będę zdawać w przyszłym roku.

– Pawle! – krzyknąłem. – Co się stało?

– Tu wcale nie jest nudno. Gadałem kumplom na plaży o tych grobach, o nocnych strachach, o tym, jak truciznę Genkowi dawaliśmy, jak się ogniki na kamiennych kręgach zapaliły. Słuchali z rozdziawionymi gębami. Zazdrościli mi, nie chcieli wierzyć, że to wszystko prawda. A ja, głupi, myślałem, że oni tam w Sopocie żyją weselej niż my. Całe dnie zbijają obcasy na deptaku albo ziewają na plaży. To dobre na trzy, cztery dni. Ale żeby tak cały miesiąc? A jakby się tak dowiedzieli, że skarb odnaleźliśmy...

– Odnaleźliśmy?

– No tak. Przecież ja także słuchałem opowiadań Rzyndowej o figusach? Nie chodziłem do niej na wywiad?

Machnąłem ręką. Zbliżył się do nas Andrzej.

– Jutro wszystkie posterunki MO i wszystkie sklepy jubilerskie w całej Polsce otrzymają pełne dane dotyczące wyglądu naczyń ze skarbu Atanaryka. Podałem milicji opis nie tylko naczyń odkrytych u Rzyndowej, ale także i tych, odnalezionych koło Pietroasa. Przecież nie wiemy, jak wyglądała trzecia „doniczka”. Jak sądzisz, czy złodziej będzie na tyle głupi, żeby próbować sprzedać złote naczynie?

– A dzwonki? Kto dzwonił tej nocy?

Andrzej wzruszył ramionami.

– Zapewne któryś z naszych robotników zrobił nam kawał.

– Albo Krystyna. To do niej najbardziej podobne – zwierzyłem się ze swych najtajniejszych podejrzeń.

– Czy to prawda, że Zosia widziała w zagajniku jakąś okropną twarz? – męczył nas Paweł.

– Twarz? Nie wiem. Natomiast wiem, że stłukła talerz.

– Koniec świata! – roześmiał się Paweł.

Wręczyłem mu lornetkę i kazałem powędrować na szczyt wzgórza, skąd miał obserwować wyspę na jeziorze.

– Masz mi donosić o wszelkich podejrzanych ruchach.

– Co nazywasz podejrzany?

Odebrałem mu lornetkę.

– Stałeś się okropnie tępy.

Paweł obraził się. Napomknął Krystynie o moich przypuszczeniach. Nie upłynęło pół godziny, a miałem na karku rozgniewaną Brunhildę.

– Ładna historia! Tylko tego mogłam się po panu spodziewać. Więc to ja zorganizowałam nocne dzwonki, taaak? Podobnymi sądami wystawia pan sobie najgorsze świadectwo. Pańska wyobraźnia jest zupełnie chora.

Był tylko jeden ratunek, żeby się bronić.

– Nie wiem, czy pani zdaje sobie sprawę z powagi obecnej sytuacji?

– Z jakiej sytuacji? Co nowego pan wymyślił?

– Mamy w naszym obozie bezcenny skarb.

– Jeśli to mnie pan ma na myśli...

– Broń Boże. Chodzi mi o złote wazy. Proszę mi wytłumaczyć, dlaczego z chwilą, gdy w naszym obozie znalazł się skarb, bezludna wysepka na jeziorze znowu stała się zamieszкана?

– Czyżby jakaś tajemnicza dziewczyna? – ironizowała.

– Owszem. Dziewczyna i mężczyzna. Ona pali papierosy „syrena” ze złotymi ustnikami.

Rozbili namiot na wyspie.

Z wyraźnym niepokojem spojrzała na jezioro w stronę wyspy.

– A oni przyjechali... kajakiem?

– Tak. Kajakiem.

Zacisnęła dłonie w pięści. Zagryzła usta.

– Niech pan im powie, żeby się stąd wynosili – syknęła przez zęby.

– Nie mogę tego zrobić.

– Dlaczego?

– Bo to nie moja wyspa.

– Boi się pan tego chłopaka, co z nią przyjechał?

– Nie.

– Jakby się pan nie bał, to kazałby się im pan wynieść z wyspy. Pan jest mięczak.

Pobiegła do namiotu. Zasznurowała wejście, jakby to nie południe, ale północ była.

„Mięczak – medytowałem. – A może jestem mięczak?”

Podczas obiadu Franciszek użalał się nad Krystyną.

– Biedna ta nasza panienka. Pewnie chora. Położyła się w namiocie, obiadu sobie nie ugotowała.

– Niech pan poprosi ją do naszego stołu – rzekł gościnnie Andrzej.

Franciszek podreptał do namiotu Krystyny, ale wrócił jeszcze bardziej zafrasowany.

– Panienka podziękowała za obiad. Oj, coś mi się zdaje, że ona płacze.

– Mój Boże, co ten Tomasz wyprawia – z potępieniem w głosie odezwała się Agnieszka.

Aż łyżkę odłożyłem.

– Nie rozumiem ciebie, Agnieszko. Co ja mam wspólnego z płaczem panny Krystyny?

– Podobno recytujesz jej wiersze Petrarke...

Miałem ochotę zapaść się w ziemię. Potem jednak ogarnął mnie gniew.

– Andrzej. Czy zaprosiłeś mnie na obóz w tym celu, żeby mi dokuczano?

Przerwał dyskurs doktor Strom:

– Trzeba nam jak najszybciej pójść do starej Rzyndowej i wywiedzieć się dokładnie, gdzie leżały złote wazy.

– Ja! Ja! – przytaknął Andrzej. – Zaraz po obiedzie idziemy do Rzyndowej.

Oczywiście o mojej krzywdzie zaraz zapomniano. „Tacy jesteście?” – pomyślałem z goryczą.

I kiedy zaczęto szykować się do wymarszu, oświadczyłem:

– Zostaję w obozie. Będę pilnował skarbu.

– Skarb jest w kasie pancерnej na posterunku milicji. Nie udawaj, że nie wiesz. Sam doradziłeś mi, żebym zawiózł wazy na posterunek – ze zdziwieniem zauważył Andrzej.

– Ale nie wiedzą o tym złodzieje. Może spróbują zakraść się do obozu podczas naszej nieobecności?

– Pilnować obozu będzie pan Franciszek.

– Starego człowieka rzucacie na pastwę złodziejom? On sobie z nimi nie poradzi. Muszę tu pozostać.

– Rób, jak chcesz... – burknął Andrzej.

Po obiedzie pomaszzerowali gromadą do starej Rzyndowej. Ledwie zniknęli mi z oczu, pobiegłem do swojej walizeczki, wyjąłem z niej tabliczkę czekolady, którą zatrzymałem na wypadek jakiegoś okropnego głodu. Zakradłem się do namiotu Krystyny, delikatnie zapukałem w celuloidowe okienko.

– Brunhildo, Brunhildo... Kochana Brunhildo! Paweł pani nałgał. Przysięgam! Proszę wyjść, mam dla pani czekoladę...

– Niech pan idzie do diabła – usłyszałem.

Poszedłem nad jezioro. Zjadłem czekoladę. Zobaczyłem, że od wyspy odbija kajak. Płynęła nim tylko jedna osoba – owa dziewczyna paląca papierosa „syrena”.

„Młody człowiek zapewne pozostał, aby ugotować obiad. Po takiej babie wszystkiego można się spodziewać” – pomyślałem.

Przybiła do naszego brzegu. Wydawała mi się niezwykle zgrabna. Czarny kostium kąpielowy, czarne włosy, skóra jak przypalone fistaszki. A w tej czarnej, bardzo czarnej głowie jakieś czarne, bardzo czarne myśli. „Czarne niebezpieczeństwo” – uzupełniłem w duchu.

– Heeeej, panie szanowny! – zawołała.

– Słucham, łaskawa pani – ukloniłem się grzecznie.

– Co to za obóz?

Znowu skłoniłem się grzecznie.

– Ekspedycja wykopaliskowa.

– Pan też jest z ekspedycji?

– Nie wyglądam na to?

– Nie interesuje mnie pański wygląd. Pytam, czy pan jest także z tej ekspedycji?

– Owszem, jestem.

– U was mieszka dziewczyna, której od kilku dni szukani. Nieduża, szczupła, ciemna blondynka. Na imię ma Krystyna. Zna ją pan?

– O, ja mam szerokie znajomości. Znam aż cztery Krystyny. Dwie blondynki, jedna ruda, a czwarta ostatnio zrobiła sobie siwy kosmyk. Prawda, że to głupia moda farbować sobie włosy na siwo?

– Nie przyjechałam tu na flirty – tupnęła nogą.

– Jaka szkoda. Pani jest taka ładna.

– Czy pan oszalał?

– Nie rozumiem. Czy tylko szalony może zachwycać się pani urodą?

– Panie drogi! – krzyknęła.

– Słucham panią – ukloniłem się.

– Gdzie jest Krystyna?

– Nie wiem.

– Nie wie pan? A czyj to kajak leży na brzegu?

– To jest mój kajak.

– A tamten drugi? Poznaję go. To jest niebieski kajak Krystyny.

– Być może. Ale Krystyny już u nas nie ma.

Wróciła do swego kajaka. Leżał tam jej sweter. Z kieszeni swetra wyjęła paczkę „syren”. Spoczęła na brzegu, przyjemnym gestem zaprosiła mnie, żebym usiadł koło niej. Poczęstowała mnie „syrenami”.

– Pan jest bardzo miły – powiedziała.

– Ach tak? – czułem się przyjemnie zdziwiony.

– Gdzie jest Krystyna? – napadła na mnie.

– Poszła na dwudniową wycieczkę z całą naszą ekspedycją. Tylko ja jeden pozostałem. I stary kucharz. Skarbu pilnujemy. Złotego skarbu.

– Pan znowu buja?

– Nie słyszała pani? Odnaleźliśmy skarb Atanaryka.

– Nie słyszałam. Skarb?... Niech go pan pokaże.

Zaśmiałem się ironicznie.

– Cha, cha, dobre sobie. I pani mi go ukradnie? Ładny kawał. Przecież ja pani nie znam.

– Możemy się poznać.

– Tak to co innego.

– Gdzie jest Krystyna?

– Nie wiem. Nie było jej tu nigdy. Niebieski kajak nie należy do Krystyny, lecz jest własnością ekspedycji.

– Pan mówi poważnie?

– Oczywiście. Kto pani nagadał o jakiejś Krystynie? Co to za jedna?

– Niedaleko stąd, tam gdzie się kończy jezioro, napotkałam dwóch facetów z namiotem. Pytałam ich o Krystynę. Wyjaśnili mi, że tutaj ją widzieli. W obozie ekspedycji wykopaliskowej.

– Dwaj faceci? Jak wyglądali?

– Jak by ich panu opisać... No, przystojni, bruneci.

– A gdzie oni obozują?

– Mówiłam panu, na końcu jeziora. Koło murowanej kapliczki. Namiot postawili, ryby łowią. Turyści.

– A skąd oni mogli wiedzieć, że u nas mieszka Krystyna?

– Nie wiem. Pewnie obozowali tutaj.

– Ja ich nie spotkałam.

Wstała.

– Coś mi się wydaje, że z panem to ja się nie dogadam.

– Mój Boże, a ja myślałam, że nam się tak mile rozmawia... Ruszyła do obozu. Zastąpiłam jej drogę.

– Na Boga, niech pani tam nie chodzi. Mówiłam pani, że w jednym z namiotów znajduje się skarb. Nie wolno wchodzić do naszego obozu. Przysięgam, że cała ekspedycja wyruszyła na wycieczkę. O, niechże pani patrzy...

Akurat widać było na szczytach wzgórz długi szereg wędrujących postaci.

– Spóźniła się pani o pół godziny. Wycieczka wróci wieczorem. Proszę do nas przypłynąć.

Jeszcze raz poczęstowała mnie papierosami.

– A ta Krystyna... Co to za jedna?

– Przyjaciółka moja.

– Przyjaciółka? – powątpiewałam. – A tak się dziwnie szukacie?

– Obraziła się na mnie. Głupia dziewczyna. Obraziła się i odłączyła od naszej wycieczki. Stanie się jej coś, to rodzice na mnie napadną. A czy można odpowiadać za czyjąś głupotę?

– Dlaczego się obraziła? Ja nigdy bym tak nie postąpił...

– Nie rób pan takich słodkich oczu. I tak panu nie wierzę. Obraziła się. Taka obrażalska panienska. A w ogóle... co to pana obchodzi?

– Mnie to nic nie obchodzi. Pytam, żeby pani sprawić przyjemność.

– Dziękuję. Obejdę się.

Pogroziła mi wiosłem.

– Ja tu wieczorem wrócę, proszę pana.

– Prosimy. Będzie nam bardzo miło – łamałam się w niskim ukłonie.

Na stołeczku przed kuchnią pan Franciszek obierał ziemniaki. Zajrzałem do pieca, spodziewając się znaleźć jeszcze trochę żaru dla zaparzenia herbaty. Ale piec był już wychłodzony.

– Panie Tomaszu – zaczął mnie Franciszek – siedzę tutaj i tak sobie myślę: wyrzekacie, panowie, na złodzieja figusów, bo złotą wazę ukradł Rzyndowej. A przecież, prawdę mówiąc, dziękować mu powinniście.

– Dziękować?

– Tyle lat u starej Rzyndowej złote wazy stały bezużytecznie, nikt o nich nie wiedział. Może stałyby tak jeszcze kilkanaście lat, aż w końcu Rzyndowa przesadziłaby figusy do nowych doniczek, a stare garnki wyrzuciła na śmietnik? Przyszedł złodziej, ukradł figus, zaczęło się o tych figusach mówić. I odnaleźliście, panowie, złote wazy. Dzięki komu? Dzięki złodziejowi.

Zastanowiłem się.

– Na zdrowy rozum, panie Franciszku, to chyba racja. Złodziej zrobił nam wiele dobrego. Toteż osobiście nie mam do niego zbyt wielkiej pretensji. Gdyby jeszcze zwrócił nam trzecią wazę, uważałbym go za zupełnie porządnego człowieka.

Franciszek końcem noża dźgnął wielki kartofel, podobny kształtem do bulwiastego nosa mojego profesora. Tak mnie to podobieństwo ucieszyło, że uśmiechnąłem się do Franciszka, co zachęciło go do dalszych wywodów.

– Najbardziej winien w tej sprawie jest Alfred z Doliny. Ja, panie Tomaszu, nie wierzę w tę historię z dziadem Rzyndą, co to z kurhanów złoto wybrał. Alfred z Doliny sam to wszystko wymyślił. A dlaczego? Dlatego, żeby oszukać ludzi, gdyby się dowiedzieli, że znalazł złoty skarb. Stary Rzynda wyłowił złote wazy i schował je u siebie w domu, figusy w nich zasadził. Bał się złota sprzedać, bał się, że ktoś złoto u niego zauważy. Na wszelki więc wypadek rozpuszczał wśród ludzi bajeczkę o swoim pradziadku. Żeby, jak kto u niego wazy znajdzie, było, że są one niby własnością Rzyndy, bo przecież zdobył je jego dziad. Nie tak, panie Tomaszu?

– Zapewne...

– Alfred był nieuczciwy. Wiedział, że znalazł złoto, a nikomu o tym nie powiedział. Nawet własnej siostrze. Okazał się chciwcem i dlatego złoto nie przyniosło mu pożytku. Umarł Rzynda w nędzy, choć pod ręką miał wielkie bogactwo. Inaczej ma się sprawa z naszym złodziejem. On ukradł, ale jednocześnie dobrą sprawę zrobił. Nagrodę mu dać, a nie wyrzekać i przeklinać.

Podrapałem się w głowę.

– Jakoś nie bardzo mogę się z tym zgodzić. Dopomógł złodziej odkryć złote wazy, chwala mu za to. Ale ukradł jedną wazę, jakże go za to pochwalić? Brak wazy jest dużą stratą dla nauki, dla muzeum...

– Nauka. Nauka to martwa rzecz. Żywy człowiek ważniejszy – mruknął Franciszek. I gniewnie dźgnął nożem następny ziemniak.

Zapukałem do okienka namiotu Brunhildy.

– Słyszała pani swoją przyjaciółkę? Teraz wiem, dlaczego pani się tui mnie obraziła. „Panna obrażalska”.

Krystyna wyszła z namiotu. Ostrożnie rozejrzała się, czy jej przyjaciółka odpłynęła na wyspę.

Niech się pan nie wtrąca w nie swoje sprawy. Gdzie pan ma tę czekoladę?

– Zjadłem... – przyznałem ze skruchą.

– No tak, oczywiście. Zjadł pan.

– Szkoda, że przyjaciółce pani nie wskazałem właściwego namiotu. Oj, miałbym kino.

– Oczy jej wydrapię!

– Chi, chi, chi...

– Albo nie – wzruszyła ramionami. – Już mnie teraz nic nie obchodzi ani ona, ani ten młody człowiek.

– Ach, więc to jakaś romantyczna historia?

Krystyna pokazała mi język.

– Zostawiam obóz pod pani opieką – rzekłem.

– Dokąd pan idzie?

– Nie słyszała pani, co ona opowiadała o dwóch turystach na końcu jeziora? To oni wskazali, gdzie się pani ukrywa. Ja ich tu nie widziałem. Ale oni nas obserwowali, skoro i panią wśród nas zauważyli. Wniosek stąd: są to ludzie, którzy nas podpatrywali. A jeśli to oni okradli Rzyndową i zawiesili dzwonek?

ROZDZIAŁ SZESNASTY

PODSTĘP KRYSTYNY • DRAMAT NA BEZLUDNEJ WYSPIE • BARBARA I KRZYSZTOF • NA TROPIE DZIWNYCH TURYSTÓW • BIAŁA KAPLICZKA • UNIESZKODLIWIENIE WROGÓW • FLIRT • UPROWADZENIE REPORTERA • NA RATUNEK • „KARETA” • PODEJRZANY HAZARDZISTA

Krystyna dopędziła mnie na skraju lasu. Dalej zalegały kamieniste wzgórza i wrzosowiska, lecz właśnie od tej strony chyba najmniej spodziewali się wizyty dwaj tajemniczy turyści.

– Nie wiem, czy zrobił pan najmądrzejszy krok. Trzeba było zaczekać na powrót pana Andrzeja i Pawła. Jeśli jest tak, jak pan sądzi, i ci dwaj panowie naprawdę szpiegowali nas w obozie, to chyba leżenie im prosto w paszczę nie można uznać za bezpieczne i rozsądne.

– O czyjej paszczę pani mówi? Przemawia pani dziwnie zawile.

– Jestem niespokojna. I sama nie wiem dlaczego.

– Niech pani wraca do obozu i trochę się prześpi. Sen krzepi.

– Nie mogę pozostawić pana samego.

Smutnie pokiwałem głową.

– Rozumiem, rozumiem. Więc i z tymi dwoma facetami też ma pani coś wspólnego?

Wzruszyła ramionami.

– Pan jest niespełna rozumu.

Nad wrzosowiskami słońce pochylało swą rozpaloną twarz. Fioletowe kwiatki wydawały się jeszcze bardziej martwe, a zeschnięte łądygi prószły kurzem. W popołudniowym skwarze wrzosowiska były szare i jakby trochę brudne. Tylko gdzieniegdzie pięknie żółciły się duże polacie rozchodnika. Ale i to także roślina bardzo smutna, uczepiona piasku i wszelakiej nędzy.

Ze wzgórza zbiegliśmy w wąski jar, który schodził aż do jeziora. Tutaj znalazło się trochę zieleni, świeża trawa i kilka ciernistych krzaków jeżyn.

Krystyna chciała przeskoczyć duży kamień na dnie jaru. Pośliznęła się i upadła.

Pomogłem jej usiąść na trawie.

– Oświadczam – rzekłem uroczyście – że nawet jeśli pani skreći nogę w kostce, zwicznie albo ją złamie, nie wstrzyma to mnie przed odwiedzeniem tajemniczych turystów. Nie dam się wziąć na żadne babskie wybiegi. Chwył z nogą skreconą w kostce jest stary jak świat. Czytałem o nim w dziesiątkach powieści przygodowych. Już lepiej niech się pani od razu przyzna, co panią łączy z tymi dwoma ludźmi. I z tą, która pali „syreny”.

– Dobrze, dobrze. Proszę tu usiąść. O, tu, koło mnie. Boże, jaki upał. Na tych wrzosowiskach duszno jak w łaźni. Tchu brak.

– W łaźni jest parno, a nie duszno.

– Duszno. W rzymskiej łaźni, na górze pod sufitem, jest duszno. Był pan kiedy w łaźni rzymskiej?

– Nie. Ale to w żadnym razie...

– W żadnym razie nie wstrzyma pana od odwiedzenia dwóch tajemniczych turystów. Znam to, proszę usiąść.

Usiadłem. „Mój Boże – pomyślałem – ta dziewczyna ma co najwyżej dziewiętnaście lat, a za nos wodzi mnie, studenta historii sztuki”.

– Więc mam się panu przyznać do wszystkiego? Tak będzie lepiej.

– Dla kogo?

– Tak będzie lepiej dla nas obojga.

– Prawda okaże się mało ciekawa, przestanę być tajemnicza. A wówczas, jak to już raz było, kto inny uzyska w pańskich oczach ów nimb tajemniczości i zagadki. Wolę nie mówić prawdy.

– Zależy pani, żeby wydawać się interesującą? – wykrzyknąłem, jakbym schwycił ją na jakimś grzesznym postępku.

– Mój Boże, pan się naprawdę nic a nic nie rozeznaje w uczuciach ludzkich. Czyżby pan był głupszy, niż, sądziłam?

– O, to się zdarza... – odrzekłem beztrąsko.

Położyłem się plecami na trawie. Piekło słońce, po niebie płynęły obłoki. Patrząc na nie doznawało się zawrotu głowy.

– Pani, która pali „syreny”, ma na imię Barbara. A ten pan, który z nią obozuje na wyspie, nosi imię Krzysztof. Basia była moją serdeczną przyjaciółką, a Krzysztofa uważałam za swojego narzeczonego...

– Sądzę, że za wcześnie zaczęła pani myśleć o takich sprawach.

– Belfer! – Krystyna pochyliła się nade mną i znowu pokazała mi język. – Czy mam opowiadać?

– Oczywiście. Tylko krótko. To rzeczywiście mało ciekawa historia.

– Krzysztof od dawna namawiał mnie na kajakową wycieczkę. Rzecz jasna, nie mogliśmy pojechać tylko we dwoje. Zachęciłam Basię, żeby pojechała z nami. Zgodziła się. I...

– Dalej to już wiem – ziewnąłem i przymknąłem oczy.

Widok płynących nieprzerwanie chmur, jakby mnie kołysał.

– W czasie wycieczki nagle doszła pani do przekonania, że Krzysztof o wiele większe zainteresowanie okazuje Basi. Obraziła się pani, napisała do nich kartkę, zwinęła pani namiot i odjechała cichaczem. Potem powróciła pani na wyspę, na tę nieszczęśliwą wyspę, która była świadkiem tragedii.

– Tylko bez drwin. Wróciłam na wyspę nie dlatego, żeby wzdychać i rozpaczać, ale dlatego, że bardzo mi się tam podobało. Chciałam sobie udowodnić, że potrafię przez tydzień żyć samotnie na bezludnej wyspie. Czy pan mnie rozumie?

– Tak...

– A dwóch panów, którzy nas podpatrywali, w ogóle nie znam. Przysięgam! Wierzy mi pan?

– Tak...

– Pan śpi?...

Zasnąłem.

Obudziliśmy się wieczorem. Niebo było już prawie czarne, choć powietrze przepelniała złotoczerwona poświata słońca, które już dawno zniknęło. Na krzaku jeżyn, tuż nad moją głową, skakał pociesznie jakiś malutki, ciekawski ptaszek. Czulem głód i byłem zły.

– Pięknie mnie pani urządziła – burknąłem. I aż wstrząsnąłem się od dreszczu. Tu w mrocznym jarze odczuwało się chłód nocy.

Wdrapaliśmy się na górę. I natychmiast owiało nas ciepło od wrzosowisk nagranych w czasie słonecznego dnia. Spod nóg zerwał się zajac. Zrobił ogromny skok i przepadł za sterczącym samotnie wysokim krzakiem jałowca.

Od tej chwili wędrowaliśmy po szczycie wzgórza. Jezioro leżało po prawej stronie, odległe od nas chyba o półtora kilometra. Z lewej strony spadała w dół pochyłość zasypana drobnymi kamieniami. W dole rósł las.

Na listkach wrzosu powoli osiadała rosa. Ale wrzos się skończył, ukazała się kamienista, nieurodzajna ziemia. Smukłe jałowce sterczały jakby kaktusy na meksykańskich nieużytkach. Byłem im życzliwy. Pod ich osłoną mogłem niezauważenie podejść do starej kapliczki.

Jezioro opłynąłem kiedyś kajakiem. Widziałem już tę kapliczkę – murowaną, pustą, z resztką jakiegoś drewnianego ołtarzyka.

Znowu przeciął nam drogę głęboki jar. Zbiegliśmy weń ostrożnie, starając się nie obsuwać kamieni. Potem wspięliśmy się na górę i zobaczyliśmy białą plamę kapliczki.

Pochyliłem się do ucha dziewczyny.

– Proszę tu pozostać na czatach.

Uklęknąłem i na czworakach, kryjąc się za jałowcami, poczołgałem się naprzód. Wyobrażałem sobie, jak śmiesznie musiałem wyglądać, gdy tak maszerowałem na podobieństwo małpy człekokształtnej. A przecież całą tę wycieczkę zainicjowałem tylko dlatego, żeby jakoś zabłysnąć przed Krystyną. I tak się przejąłem swoją rolą, że utraciłem poczucie śmieszności.

Wędrówka na czworakach rychło mnie zmęczyła. Wraz ze zmęczeniem jak zwykle, wrócił rozsądek. Podniosłem się i poszedłem śmiało do „obozu wroga”.

Ale tam, gdzie spodziewałem się go zastać, zobaczyłem lisa. Ogryzał kość. Zerknął na mnie z wściekłością, a potem wyniósł się chyłkiem, powłócząc długą kitą.

Nie spotkałem dwóch tajemniczych turystów. W sąsiedztwie białej kapliczki ziemia była poryta kołami samochodu albo motocykli, bo koleiny wydawały mi się dość wąskie. Na ziemi leżało kilkanaście wypalonych zapalek i trzy pudełka po papierosach, trochę jakichś śmieci – tekturowe pudełeczko po kaszy, pudełko po konserwach i duży prostokątny ślad po namiocie.

– Odjechali – westchnąłem.

Zapewne zbytnio prześladował ich tu upał. Dookoła tylko nieduże krzaki jałowca i kamienista, jałowa pustka. W nagrzanym od słońca namiocie chyba trudno było wytrzymać. Gdzie chronili się w południowy skwar?

Spróbowałem zajrzeć do kapliczki. „Zamknięta?” – zdziwiłem się.

Na drzwiach kapliczki wisiała zielonkawa, maleńka kłódeczka. „Gdzie ja już widziałem taką kłódeczkę?”

Zaszedłem od tyłu i wspiąłem się do krzywego okienka.

No tak. Czy nie tego należało się spodziewać?

W kapliczce stały dwa motocykle i leżał namiot. Motocykle należały do Chudego Genka i Gnuśnego Kazka. Tą zieloną kłódeczką zamykał Genek koło w swoim motocyklu. O, jest i sprzęt rybacki. Rozpoznałem bambusowy spinning⁴⁶ Kazka i jego błyszczkę z żółtymi oczkami.

Nie odjechali. Jakże byliśmy naiwni myśląc, że puszczą płazem przykrości, jakich od nas zaznali. Pozostali nad jeziorem, aby dokonać zemsty. To oni nas podpatrywali. To oni zawiesili dzwonek. To oni poinformowali Barbarę, że Krystyna jest w obozie ekspedycji.

Nagle przemknęła mi przez głowę myśl, od której zrobiło mi się chłodno. A jeśli to Chudy Genek i Kazek ukradli Rzyndowej złotą wazę ze skarbu Atanaryka? Gdzież są w tej chwili ci dwaj przemili panowie? Może znowu na zwiadach w lasku koło naszego obozu?

Rozejrzałem się. Świat przepelniał fioletowy cień wieczoru. Samotne jałowce pilnowały brzegu jeziora. Było cicho, jakby noc położyła na wszystkim pieczęć snu.

Pociągnąłem silniej ramę okna. Zmurszałe drewno prawie rozlazło mi się w dłoniach. Wczepiłem palce we framugę i wspiąłem się na górę. Moja szczupła osoba bez trudu zmieściła się w wąskim okienku.

Brnąc do motocykli kopnąłem butem blaszaną bańkę na ryby.

⁴⁶ Spinning (ang.) – rodzaj wędki z kołowrotkiem.

„Los mi wyraźnie sprzyja” – utwierdzałem się w swym postanowieniu.

Po omacku odkręciłem kurek baku w motocyklu Genka. Zapachniało benzyną, usłyszałem delikatne ciurkanie benzyny spływającej do blaszanki. Potem powtórzyłem to samo z motocyklem Kazka.

Trzymając ostrożnie blaszanekę, wróciłem do okienka. I... zetknąłem się z czyjąś twarzą, zaglądającą do kapliczki.

„Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni” pomyślałem ze skruchą.

– Panie Tomaszu... – zaszemrał głosik Krystyny.

Moje ściśnięte gardło wydało tylko jakiś pomruk. Podałem dziewczynie blaszanekę.

– Proszę to zabrać i zmykać nad jezioro.

Wygramoliłem się z okienka. Na dworze zapadała noc. Tylko na horyzoncie niebo wydawało się jakby obramowane fioletowym szlaczkiem.

Dziewczyna siedziała nad wodą. Czy pani wie, co jest w blaszance?

– Jedyne kiel z paszczy naszego wroga.

– ???

– Z jakiej paszczy?

– To przecież pani mówiła o paszczy wroga? Zabrałem im benzynę. Teraz nie będą mogli stąd odjechać. Są w potrzasku.

– Kto?

– Chudy Genek i Kazek.

Nie chciała mi wierzyć.

– A, lisy przebiegłe. To oni tacy? – i aż zagwizdała.

– Ciszej.

Schwyciłem ją za rękę i pobieглиśmy brzegiem jeziora. Ale nie w stronę obozu. Postanowiłem obejść jezioro. Oznaczało to – przemaszerować przynajmniej sześć kilometrów. Bałem się zaryzykować spotkania z „rybakami”. A właśnie w tej chwili powracali oni, być może, do kapliczki zmęczeni podpatrywaniem?

Jezioro kończyło się wąziutkim strumieniem. Zdjęliśmy buty i przeszliśmy na drugą stronę. Ja niosłem blaszanekę, Krystyna szła obok mnie, cichutko pogwizdując. Nastąpiła ciemna, bezksiężycowa noc, ale brzeg jeziora był dobrze widoczny. Maszerowaliśmy po piasku tuż nad wodą, która nie odzywała się nawet najlżejszym pluskiem.

– Na przyszłe lato także chciałabym zorganizować wycieczkę kajakową. Czy zgodziłby się pan wziąć w niej udział?

– Ja? Chyba nie w roli... Krzysztofa?

– A chociażby.

– No, wie pani, coś podobnego! Uważam się za poważnego człowieka. Taką propozycję już lepiej złożyć mojemu młodszemu bratu.

– Niech pan nie udaje, że się panu nie podobam.

– Podoba mi się pani. Ale gdyby mi się pani zaczęła podobać naprawdę, to co wtedy?

– Nic.

– Być może musiałbym chodzić z panią na szkolne wieczorki. A tego nie cierpię.

– Niech pan nie kpi. Szkołę skończyłam, mam świadectwo dojrzałości, w tym roku zdałam na pierwszy rok stomatologii.

– Boję się dentystów.

– Będę opowiadać koleżankom, jak pięknie spędziłam wakacje, że mieszkałam samotnie na bezludnej wysepce i pewnego dnia zawitał do mnie smutny młodzieniec, który recytował wiersze. Czy mogę powiedzieć, że się we mnie zakochał?

– Ach, więc tylko o to chodzi? Proszę bardzo, mogę się w pani zakochać. Od pierwszego wejrzenia. Ale nie smutny młodzieniec, tylko osobnik, który ukończył historię sztuki.

– Tym lepiej.

– Jak dla kogo.

Przekomarzaliśmy się prawie przez pół drogi. Po kilku kilometrach ogarnęły mnie wyrzuty sumienia.

– Mój Boże, oni tam zajmują się poważnymi problemami naukowymi, a mnie jakaś mała złośliwość gna wokoło jeziora. Co za lichy podkusiło mnie upuścić „rybakom” benzynę? Coraz częściej dochodzę do smutnego wniosku, że są chwile, w których jestem niepoczytalny.

Minęliśmy zagrodę starej Rzyndowej. Obszczekały nas psy. Nieco dalej zrobiliśmy odpoczynek. Zapaliłem papierosa, spojrzałem na zegarek. Zbliżała się jedenasta w nocy.

Kilka minut przed pierwszą dobrnęliśmy do obozu. Uprzejmie odprowadziłem Krystynę do jej namiotu. Trzymałem długo jej rękę, ale nie bardzo wiedziałem, co wypadało powiedzieć. Był to jeden z moich dawnych, już zapomnianych kłopotów. Gdy odprowadzałem dziewczęta do domu po szkolnych potańcówkach, zwykle miałem co gadać przez całą drogę, tuż przed bramą domu jednak zapomniałem języka w gębie. Może ongiś moja nieśmiałość miała w sobie pewien urok. Teraz byłem już tylko śmieszny.

– A może zaparzyć czarnej kawy? – zapytała. – Na spirytusowej maszynie woda zagotuje się w parę minut.

– Nie jest pani zmęczona?

– Nie... nie – odrzekła z roztargnieniem. Wydało mi się, że moja osoba budzi w niej niepokój. Pocałowałem ją w rękę i... spojrzałem tam, gdzie i ona patrzyła. Mój namiot – widoczny całkiem wyraźnie na brzegu jeziora – wyglądał jak stuletnia wiejska chałupa. Przysiadł bardzo dziwnie – przekrzywił się i zgarbił.

Skoczyłem do niego. Zapaliłem zapalną. W jej migotliwym świetle dojrzałem na oścież otwarte wejście i straszliwy nieład we wnętrzu.

Nie ma materaca! Nie ma śpiwora! konstatowałem z przerażeniem. Książki, które trzymałem porządnie ułożone pod prawą ścianą, leżały teraz w bezładnej kupie. Kartki notatek o wykopaliskach zaścielały podłogę namiotu.

„Złodziej” – pomyślałem. Ale płomyk następnej zapałki odnalazł na stercie książek aparat fotograficzny, lampkę elektryczną i lornetkę.

Obóz spał, spokojnie szarzały dachy naszych namiotów. Las na wzgórzu oddychał ciężkim powiewem wiatru.

Pobiegłem do Andrzeja. Szarpnąłem sznurek, który spletywał wejście.

– Andrzej! Andrzej! – wołałem.

– No, włącz, włącz – usłyszałem jego głos.

A gdy odchyliłem płachtę, począł marudzić.

– Znowu gdzieś przepadasz? Co się z tobą dzieje? Przygotowałem ci w moim namiocie materac i śpiwór. Kładź się tutaj. Pozwoliłem sobie wypożyczyć twój namiot tylko na jeden dzień. Nie gniewasz się chyba?

– Nie...

– No to rozbieraj się. I śpij. Jutro czeka nas poważna robota.

Poszedłem pożegnać dziewczynę. Powiedziałem jej „dobranoc”. Na pewno lepiej byłoby, żebym rzekł jej coś więcej. Coś miłego i ładnego jak w wierszach. Ale właśnie w tej chwili zabrakło mi tych kilku słów. I dopiero później, gdy już rozbierałem się do snu, aż zaroilo się od nich w mojej głowie. Przybiegło do mnie tyle przeslicznych, okrągłych zdań, pełnych słów barwnych jak papugi. Dlaczego brak ich wówczas, gdy okazują się najpotrzebniejsze?

Andrzej wiercił się w śpiworze.

– Rozbudziłeś mnie, teraz zasnąć nie mogę.

– Ja też... Ja też – powiedziałem smutnie.

– Bo tobie w głowie tylko amory...

Poczęstowałem go papierosem. Odmówił. Ziewnąłem.

– W jakim celu wypożyczyłeś mój namiot? Nie mam nic przeciwko temu, ale czy musiałeś zrobić w nim aż taki bałagan? Moje notatki zostawiłeś w zupełnej rozsypce.

– A ten facet śpi?

– Nie widziałem żadnego faceta...

– No, ten dziennikarz z warszawskiej gazety.

– Nie wiem, o kim mówisz.

– Wieczorem przyjechał do nas jakiś dziennikarz. Będzie pisał o wykopaliskach. Chciałem być gościnnie i położyłem go spać w twoim namiocie.

– Namiot jest pusty.

– Czy ty mówisz przytomnie?

Rozsunął zatrzask śpiwora i wybiegł w pidżamie. A ja zacząłem się z powrotem ubierać.

– Zniknął? Przepadł! Pościeliłem mu materac, dałem mu twój śpiwór. Zniknął z całym majdanem. Może to nie był dziennikarz? Tomaszu, co to wszystko ma znaczyć?

– Idź do wróżki.

– Nie żartuj. Ja go nie legitymowałem. Przedstawił się, zaufałem mu, położyłem spać. Ukradł materac, śpiwór i czmychnął.

Choć raz w życiu zapragnąłem zagrać rolę flegmatycznego Anglika z powieści kryminalnych. Spokojnie naciągnąłem buty, obserwując, jak Andrzej miota się na drodze od swojego do mojego namiotu. Co chwilę przynosił jakąś nową wieść.

– Wyobraź sobie, że nie ukradł twojego aparatu fotograficznego. Lampka została. Lornetka. Książki i notatki.

– Tymczasem jeszcze moje rękopisy nie są w zbyt wielkiej cenie.

– Nie żartuj. To jakaś zagadkowa historia.

– Czy nie masz do rozwiązania bardziej zawiłych zagadek? Bo tę jestem w stanie rozwikłać w ciągu kilku minut.

– Mów! Proszę cię, mów.

– Dziennikarz został uprowadzony.

– Przez kogo?

– Uprowadzenia dokonali Chudy Genek i Gnuśny Kazek.

– Oszalałeś?

– Nasi „rybacy” nie wyjechali. Przenieśli się tylko na inne miejsce. Mieszkają teraz na końcu jeziora koło kapliczki. W nocy wszystkie koty są czarne.

– Co im zawinił ten pan z Warszawy?

– On? Nic. Natomiast ja zawiniłem „rybakom”. To ja miałem być uprowadzony podczas snu, gdy będę jak mumia spoczywał, aż po brodę skrępowany śpiworem. W nocy wszystkie koty są czarne. Myśleli, że to mnie wynoszą z namiotu. Ale w moim namiocie, dzięki twojej gościnności, spał smacznie znużony podróżą dziennikarz z Warszawy. Oto są skutki zbyt przesadnie pojętej gościnności. Kto wie, co oni zrobili z tym panem?

Tej nocy wypadło mi raz jeszcze przemaszerować sześć kilometrów: do obozu Chudego Genka i z powrotem.

Na ratunek uprowadzonego reportera poszła duża gromada: Andrzej, Paweł, Strom, Roman, Agnieszka i ja. Na wszelki wypadek Paweł niósł na ramieniu gruby, sękaty kij. Ja dźwigałem trzonek łopaty.

– Jak sądzisz? Czy oni zrobią mu krzywdę? – zapytała Andrzej Agnieszka.

– Genkowi? O, na pewno.

– Mówię o reporterze. Genkowi możecie uczynić wszystko najgorsze. Biedny reporter. Co on sobie pomyśli o wykopaliskach archeologicznych?

– Odniesie jak najgorsze wrażenie.

– Szkoda. Taki przystojny chłopak...

To mnie rozgniewało.

– Genek też był przystojny. Swojego czasu. Przystojny, choć niemłody, jest doktor Strom.

– Doktor Strom bardzo kocha swoją żonę. Ma dwóch synów. Pokazywał nam dziś zdjęcia swojej rodziny. Na placu zostałeś tylko ty, drogi Tomaszu – wtrącił Andrzej nie bez złośliwości.

– Och, ja nigdy nie wchodziłem w rachubę.

– Tak. To prawda – zgodnie stwierdziła Agnieszka.

– Ssssyt! – syknął ostrzegawczo Paweł.

Tuż przed nami, między smukłymi cieniami jałowca, błyszczało oświetlone okno kapliczki.

– Byłem tylko o włos od zguby. Kto wie, co by uczynili, gdyby udało się im mnie porwać – szeptałem do Agnieszki. – A wszystkiemu ty jesteś winna. Chudy Genek chce sobie utorować drogę do ciebie i sądzi, że ja mu przeszkadzam.

– Znowu fantazujesz, Tomaszu.

– Z pewnością utopiliby mnie w jeziorze...

– Albo w smole.

Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo Andrzej zarządził, żebym wraz z nim i Pawłem podkraśli się do kapliczki.

Już raz zachowałem się śmiesznie. Wobec Krystyny. Mimo protestów Pawła, któremu marzyły się indiańskie podchody, poszliśmy do kapliczki, nie ukrywając się.

Po kilkunastu minutach do uszu naszych doszedł wesoły gwar głosów. Zajrzeliśmy przez okienko.

Na podłodze paliło się chyba z dziesięć dużych świec. Chudy Genek, Kazek i jakiś młody, ale już korpulentny człowiek (zapewne ów zaginiony reporter) siedzieli na podłodze na gumowych materacach i grali w karty.

– Panowie, tylko bez kantów – ostrzegał Genek. – Panie reporter, nie zaglądać mi pan w karty. Posuń pan trochę te swoje zwłoki.

– Ale ubaw nie z tej planety – cieszył się reporter.

– Dwie pary! – oświadczył Genek wykładając swoje karty.

– Z czym do gościa? Trójka królów!

– Trzy asy! – zachichotał radośnie reporter.

Paweł zawołał przez okno:

– Kareta!

Rzucili karty, skoczyli do drzwi i do okna.

– Bez nerwów, panowie – powiedział grzecznie Andrzej stając w otwartych drzwiach.

Za plecami Andrzeja wlałem do kapliczki. Podniosłem z podłogi swój śpiwór i materac.

Reporter tłumaczył się Andrzejowi:

– Przybyłem tu wbrew swojej woli. Ci panowie wynieśli mnie z namiotu, a nie mogłem bronić się, bo spętał mnie śpiwór. Położyli moje zwłoki na noszach i przynieśli aż tutaj.

– Brakowało nam trzeciego do pokera. We dwójkę to żadna gra – z niewinną miną wyjaśnił Genek.

Zjawiała się Agnieszka. Próbowała zaopiekować się uratowanym reporterem, ale on ciągle czuł się jakby winowajcą, podejrzanym hazardzistą.

– Proszę pani, ja naprawdę nie lubię grać w karty. Zmuszony zostałem...

– Tym dwóm panom nie udaje się żaden dowcip. Dzwonek zawiesili na cmentarzysku. Sami nie spali i innym spać nie dali.

– To był wspaniały kawał. Biegaliście jak oszaleli. A ile strachu się najedliście. Heć, heć! – cieszył się Genek.

– A pan, panie Kazku, też się tak wygłupiał?

– Broń Boże. Ja spałem. Gdzieżbym całą noc wartował w lesie...

– Kto śpi, nie błądzi – stwierdziłem.

Do kapliczki wszedł doktor Strom. Andrzej w krótkich słowach wyjaśnił mu sytuację.

– Ach, so?⁴⁷ – pokręcił głową przemiły Szwed. – Ach, so? Że też mnie nikt nie porwał. Ja tak lubię grać w pokera.

⁴⁷ Ach, so (niem.) – ach, tak.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

**GDZIE ALFRED Z DOLINY NAPOTKAŁ ZŁOTE WAZY? • FIBULA
CYKADOWA • RZYNDY I ZRZĘDA • FRANCISZEK JEST PRZECIW
UCZCIWOŚCI • SZKIELET UTOPIONEGO GOTA • ZŁOTE PRZEDMIOTY
I BROŃ • KRYSZYNA WIE, KTO JEST ZŁODZIEJEM • PODEJRZLIWY
REPORTER • „NIE SZUKAJ SWEGO PRZEZNACZENIA”**

Niewyspani rozpoczęliśmy robotę nad przesmykiem koło zagrody Rzyndowej. Tam to – według jej relacji – Alfred z Doliny podczas budowy mostu i kopania rowów przy drodze znalazł stare garnki, w których zasadził figusy.

– Pamiętam, byłam jeszcze dzieckiem – wspomina Rzyndowa – gdy w tym miejscu, gdzie stoi teraz moja chałupa, rozciągały się okropne trzęsawiska. Trzcina na nich rosła wysoka na chłopa. Potem już dziewczynką byłam, wykopano przez bagno rów, który teraz stał się rzeczką. Bagna obeschły, ludziom przybyło urodzajnej ziemi ogrodowej. Ojciec mój założył ogród, a koło ogrodu postawił chałupę i zabudowania. Przed samiotką wojną Alfred namówił gminę, żeby na rzece zrobili most, a do mostu wybudowali drogę. Wykopali drogę, postawili most. I wtedy jeden inżynier, co ten most stawiał, zobaczył w ziemi mały garnuszek, chyba miedziany, bo się błyszczał. Alfred też wygrzebał wtedy te trzy stare garnki. Nikomu o nich nie pozwolił mi mówić, tylko figusy w nich zasadził. Głupi – pomyślałam. Bo Alfred już wtedy coś niedobrze miał w głowie. Gospodarkę zaniedbał... Teraz nie poznasz, gdzie dawniej był ogród. Trawa wszędzie i chwasty.

Andrzej dogadał się z Rzyndową, co do opłaty z pozwolenie przekopania dawnego ogrodu. Opustoszało cmentarzysko nad jeziorem, ruszyła robota koło przesmyku i mostu. Spodziewaliśmy się czegoś naprawę niezwykłego.

Złoty kubek, który odkopał inżynier budujący most, trafił do muzeum i zaginął w latach wojny. Trzy złote wazy odkopał Alfred z Doliny. Jakież skarby jeszcze krył zachwaszczony ogród?

Tego samego dnia opowiadali mi robotnicy z Gąsior, że widzieli Chudego Genka i Kazka. Po piaszczystej drodze ciągnęli pięć kilometrów swoje motocykle. Na szosie do Kartuz błagali przejeżdżających automobilistów o sprzedaż paru litrów benzyny.

Dziewczyna z wyspy spotkała w końcu Krystynę. Poznałem także Krzysztofa, tak zmiennego w uczuciach. Mimo protestów Krystyny przenieśli się oni z wyspy do naszego obozu. Wobec tego Brunhilda zamierzała przeprowadzić się z powrotem na wyspę, żeby nie stykać się z podłą przyjaciółką i niewiernym narzeczonym. Zrezygnowała. Odtąd nie odstępowała mnie ani na krok. Moja osoba miała zapewne obudzić w Krzysztofie zazdrość i skruchę za nieczny postępek. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

Trzydziestu robotników rozoroło ogród Rzyndów czterema szerokimi wykopami, przecinającymi się prostopadle. Ostatni – piąty wykop – przeprowadzono wzdłuż rzeczki.

Cieszyła nas nowa i tak wiele obiecująca praca. Tylko stary Franciszek nie przestawał marudzić, ale on od dawna już nie miał „dobrego dnia”. Powiedział o nim Andrzej:

– Kartofle na obiad przynosi nam pani Rzynda. Ale obiad gotuje nam Zręda.

Andrzeja często trapiła myśl, że trzecia waza być może przepadła już bezpowrotnie. Złościł się wtedy, twierdził, że robotnicy kopią leniwie, że Agnieszka nieuważnie dogląda ich pracy.

– Tak czy inaczej, waza dla nas przepadła – ponuro oświadczył nam pewnego dnia. Było to pod koniec obiadu, a w takiej chwili chętnie podejmuje się smutne rozważania.

– Są bowiem dwie ewentualności – mówił Andrzej – albo złodziej dowie się, że trwają poszukiwania złotych naczyń i wówczas nie zdecyduje się wazy sprzedać, albo też potnie ją i sprzeda jako złom. Tak czy inaczej my z niej żadnego pożytku mieć nie będziemy. Waza warta jest na pewno bardzo wiele jako kawał dobrego złota. Ale stokroć większą wartość przedstawia jako część skarbu Atanaryka. Złodziej jest wielkim podlecem. Takiego człowieka bez zmrużenia oka kazałbym poćwiartować, tak samo jak on poćwiartuje zapewne złotą wazę. Nie za to, że skradł, ale za to, że pociął i zniszczył.

– Panie Franciszku – zwrócił się Andrzej do kucharza. – Przez tyle lat pilnował pan naszego muzeum. A przecież jest tam wiele wspaniałych skarbów, srebrnych i złotych. Czy kiedykolwiek pomyślał pan, żeby coś ukraść, przywłaszczyć sobie, sprzedać? Jestem pewien, że nigdy coś podobnego nie przemknęło panu przez myśl. Pan wie, jakie to są cenne rzeczy dla nauki, dla poznania prawdy o człowieku. A taki łajdak potnie wazę na kawałki.

Franciszek potrząsnął głową.

– Leżą za szkłem różne drogocenne rzeczy: złote przedmioty, złote pieniądze. Ludzie przyjdą, popatrzą i pójdą. A gdyby tak obdzielić niektórych z nich tym bogactwem, jakie szczęście byłoby to dla niejednego, jaka radość. A co lepsze? Lepiej, żeby leżały pod szkłem czy żeby żywemu człowiekowi radość przyniosły? Tak i z tą wazą. Miałyby u nas leżeć na półce, to może i lepiej, że ją ktoś zabrał i będzie żył szczęśliwie.

– Panie Franciszku! – oburzył się Andrzej. – I właśnie pan mówi mi takie straszne rzeczy? Pan, o którym profesorowie opowiadają, że nigdy nie spotkali bardziej uczciwego człowieka? W muzeum wszyscy żałują, że musi pan iść na emeryturę. Mówią: „Franciszek to wzór pracowitości, to wzór uczciwości. Można koło niego położyć tysiące, a on nic nie weźmie”. Pan jest przecież najbogatszym człowiekiem – przeżył pan tyle lat jako człowiek najuczciwszy.

Franciszek rozlewał do butelek jabłkowy kompot i widziałem, jak silnie drżały mu ręce. Byłem zły na Andrzeja. Po co robi przykrość temu staremu poczciwcowi?

– Na starość człowiek robi rachunek swojego życia – dodał Franciszek. – I wychodzi mu z tego rachunku: był uczciwy i co ma z tego? A jakby pożył trochę nieuczciwie, to by może nie miał dobrego imienia, ale za to domek własny, ogródek... Panowie są młodzi, to panowie nad takimi sprawami nie myślą. Ale starszy człowiek różne sprawy rozważa...

Andrzej wzruszył ramionami. Siedział jak na szpilkach. Ukraść przedmiot zabytkowy, przywłaszczyć sobie rzecz, która ma jakąś wartość naukową? Nawet teoretyczne rozważania na podobny temat były dla niego nieznośne. Dlatego szybko zakończyliśmy tę dysputę.

* * *

Ranek następnego dnia przyniósł pierwsze odkrycie. Ledwie zagłębiono łopaty w ziemię – na brzegu rzeczki w pobliżu mostu – jeden z robotników wygrzebał niedużą fibulę. Starannie otarta watką, przepięknie błysnęła w porannym słońcu. Była ze złota i miała kształt jakby bardzo wydłużonego serca.

– Fibula. Fibula o kształcie cykady – gorączkował się Andrzej. – Mam teraz zupełny chaos w głowie. Podobne fibule odkopano na cmentarzyskach wizygockich w Santanna de Mures w Siedmiogrodzie. Tamte cmentarzyska pochodzą z IV wieku, współczesne Atanarykowi. Ale skąd znalazły się tutaj? Tutaj, skąd Goci wywędrowali jeszcze na początku II wieku?

O dziewiątej rano bagnisty czarnoziem otaczający rzeczkę ujawnił dobrze zachowaną czaszkę ludzką. Kopaliśmy w ziemi ostrożnie i powoli. Pogłębiono wykop i znowu pokazały się kości. Były to żebra, barki i kręgosłup. Szkielet spoczywał w ziemi w jakiejś bardzo dziwacznej pozycji. Nie leżał poziomo, a raczej pionowo, jakby go zakopano na stojąco. Aby jak najdokładniej ustalić położenie szkieletu, wykopaliśmy dookoła niego głęboki rów i dopiero potem z dwóch stron poczęliśmy usuwać ziemię oblepiającą kości.

Im niżej, tym grunt okazywał się bardziej wilgotny. Natrafiliśmy na doskonale zachowany hełm żelazny z brązowymi okuciami. Na hełmie tkwiły rogi wielkiego tura. W błotnistej, czarnej mazi dwa metry od powierzchni ziemi, leżał ciężki miecz. Był długi, żelazny, obosieczny, z ostrzem szerokim na trzy palce. Wilgoć pokryła go rdzą.

W południe odkryliśmy cały szkielet. Ten człowiek wpadł w bagno i zatonął. Ręce miał odrzucone na boki, jedną nogę wyprostowaną, a drugą zgiętą w kolanie, jakby próbował

wydostać się z gęstej, chwytiliwej topieli, która go otoczyła, wchłonęła i udusiła. Zapewne przez krótki czas na powierzchni bagna utrzymywała go tarcza. Była podłużna, drewniana, obciągnięta skórą. W kleistej topieli dotrwało do naszych czasów drewno i skóra oraz koliste żelazne umbo⁴⁸.

Rozpadła się szata, która odziewała wojownika. Przy ramieniu znaleźliśmy tylko złotą fibulę.

Nigdy nie widziałem czegoś równie pięknego. Wyglądała jak krzyż; archeologowie nazywają ten rodzaj „fibulą trójpalczastą”. Na płaskiej złotej blaszce misternie przylutowano złote kuleczki i nasadzono ornament o kształcie fantastycznej rośliny. W złotych ramkach osadzono półkuliście kamienie półszlachetne, fioletowe almandyny...

Aż dech zapierał widok tyłu trofeów: hełm z rogami tura, tarcza, miecz, dwie złote fibule. Wojownik zaginiony w bagnie miał na sobie skórzany pas – zostały z niego brązowe okucia i klamra ze zgrubiałym kabłąkiem.

Ale nie wolno nam było dzielić z nikim zachwyty, jeśli nie chcieliśmy ściągnąć sobie na głowę setek ciekawych, gotowych podjąć poszukiwania na własną rękę. Postanowiliśmy kopać do wieczora, lecz Andrzej kazał przerwać robotę o zwykłej porze. Nawet nasi robotnicy nie mieli prawa wiedzieć, jak cenne przedmioty znalazły się w naszych rękach. Z obojętnymi minami odłożyliśmy je do kopert, a większe do dużej skrzyni. Paweł i Roman przynieśli z obozu mały namiot i rozstawili go przy otwartym wykopie koło rzeczki. Zaciągnęliśmy warty. Któż mógł bowiem zaręczyć, że jakiś bezcenny złoty przedmiot nie znajduje się tuż pod powierzchnią ziemi i wystarczy że ktoś niepowołany ruszy tu i ówdzie spadłem, a wpadnie mu w ręce to, co powinno być naszym udziałem?

O kilka kroków od miejsca, gdzie odkopaliśmy szkielet gockiego wojownika, Alfred z Doliny napotkał złote naczynia „skarbu Atanaryka”. Nie można było nie wiązać z sobą tych dwóch faktów. Nie ulegało wątpliwości, że to ów wojownik niósł z sobą skarb. Wpadając w bagno upuścił go, aby ratować życie. Lecz niewiele mu to pomogło. Porzuciwszy ciężar, sam także zapadł się w topiel. Jakże się to stało, że część skarbu Atanaryka zakopana została daleko stąd, aż gdzieś koło Pietroasa, a druga spoczęła w bagnie na Pomorzu Wschodnim?

Czekaliśmy następnego dnia. Być może, dalsze poszukiwania dopomogą nam rozwikłać zagadkę.

Tymczasem zerwał się silny, porywisty wiatr, zrobiło się chłodno. Woda na jeziorze wzburzyła się, krótkie fale kęsały brzegi. Na północnych granicach nieba – jakby powiedział gocki bajarz – zerwał się do lotu olbrzymi Hraswelgur, czyli Ścierwojad, i swymi orlimi skrzydłami pędził ku nam zimny wiatr. Schroniłem się w przytulne wnętrze namiotu, aby w miłej drzemce przeczekać godzinę, w której zjedzie za horyzont wóz Dnia, a przyjedzie Noc, córka olbrzyma Niorfe.

Wieczorem obóz opustoszał. Dziewczęta i doktor Strom poszli do Gąsior na pocztę. Paweł i Roman wartowali koło zagrody Rzyndowej. Mój namiot odwiedził reporter z

⁴⁸ Umbo (łac.) – okrągła lub stożkowata wypukłość na środku tarczy, mogąca służyć do zadawania ciosów.

Warszawy. Nasze przygody wydały mu się tak interesujące, że postanowił przedłużyć swój pobyt na wykopaliskach. A że był człowiekiem raczej ostrożnym, na wszelki wypadek przeniósł się z mojego namiotu do Andrzeja. Wróciłem więc na swoje stare pielesze. Reporter ów pracował w tygodniku literackim. Ja byłem dziennikarzem codziennej gazety. Tygodnikom zazdrościliśmy zawsze dużej ilości czasu na opracowanie tematu. Z zazdrości rodzi się i niechęć.

– Nie rozumiem, dlaczego pozwolił pan na wyjazd Chudego Genka. A jeśli to on ukraść złotą wazę?

Popatrzyłem na niego z odrobiną politowania. Oto jeszcze jedna ofiara przekonania, że każdy reporter może odegrać rolę detektywa.

– Żeby kogoś oskarżyć, na ogół trzeba mieć dowody.

Poszedł sobie. Ale za pół godziny powrócił.

– A ten Strom? Co to za jeden? Legitymowaliście go? A może to jakiś szpicel?

Reporter palił fajkę, miał pucułowatą twarz i malutkie, wilgotne usta.

– Powiem panu prawdę, redaktorze – rzekłem – tu w obozie prawie każdy jest podejrzany. Ja, pan...

– Ja???

– A tak. Zamiast przyswoić sobie historię Gotów, podejrzenie snuje się pan po naszym obozie. Coś w tym jest. Ale co?

– Muszę wykryć złodzieja. Ach, jaka by to była gratka dla pisma – zaciął drobne usteczka.

– Podsunę panu pewien trop. Czy zwrócił pan uwagę na tę malutką, bezludną wyspę? Otóż krytycznej nocy, to znaczy wówczas, gdy okradzione Rzyndową, ktoś nocował na wyspie. Wydaje mi się, że co noc ktoś przyjeżdża tam na łódce. Niestety, wyznam ze skruchą, nie miałem odwagi, żeby w nocy zaciać się na wyspie i czekać na przyjazd podejrzanego osobnika.

– Hm, to interesujące! – cmoknął ustnik fajki.

Odszedł. Ale wrócił po piętnastu minutach.

– Czy będę mógł pożyczyć pański kajak?

– Oczywiście. Życzę powodzenia.

Nastała ciemna, ponura noc. Dął silny wiatr, na cmentarzysku skrzypiał pokrzywiony pień starej sosny. Zapaliłem w namiocie świecę nakryty kocem czytałem Tacyty. Od czasu do czasu świecę przygasały, namiot przykucał pod silnym porywem wiatru.

O dziesiątej „zaskrobała” do mnie Krystyna. Odsunąłem na bok stertę książek, żeby mogła wygodnie usiąść.

– Wysłałam list do rodziców, że jeszcze tu pozostanę przynajmniej tydzień. Ale w powrotnej drodze rozmyślałam się. Na poczcie kupiłam gazetę. Zapowiadają ochłodzenie,

deszcze... Tak więc postanowiłam wyjechać. Ale pan mnie nie słucha – obraziła się Krystyna.

– Jutro rano zwijam swoje manatki.

– Straciła pani serce dla Gotów? Pani odjedzie, a może właśnie jutro wyjaśni się zagadka „skarbu Atanaryka”?

Zapytała z innej beczki:

– Chcę wiedzieć na pewno: na przyszły rok pojedzie pan ze mną na wycieczkę czy też nie?

Wyciągnąłem do niej rękę:

– Jeśli odkryję złodzieja trzeciej wazy, pojedę. Jeśli zaś...

– Proszę mojej osoby nie wiązać ze sprawami złodziei...

– Panna obraźliwa – mruknąłem. – Pensjonarka...

– Jestem pensjonarką. Zgoda. Ale ja od dwóch dni wiem, kto ukradł złotą wazę, a pan i ten reporter, i wy wszyscy tu w obozie nie macie o tym najmniejszego pojęcia.

Znowu „zaskrobano” do namiotu. Zajrzał do mnie pan Franciszek.

– Panie Tomasz, herbata gotowa.

– Dziękuję panu. Zaraz idę.

Franciszek poczłapał do kuchni, a Krystyna siedziała zamyślona. Patrzyła gdzieś w kąt namiotu na igrający na ścianie wielki cień mojej głowy. Poszukałem ręki dziewczyny. Miała dłoń gładką i ciepłą.

– Brunhildo... – szepnąłem.

Ocknęła się z zamyślenia. Uśmiechnęła się do mnie.

– O czym pani myślała?

Jeszcze przed chwilą jej twarz była jakby martwa, jakby namalowana przez Rublowa. Teraz znowu ożyła. Tak chciałem, aby odpowiedziała, że myślała o mnie. Przecież patrzyła na cień mojej głowy...

– Myślałam o Franciszku. Jest taki dobry dla nas wszystkich. Tak troszczy się o każdego. O pana, Agnieszkę, o pana Andrzeja. Nawet o mnie, choć nie należę do waszej ekspedycji. A wy tylko o Gotach, o tych zabytkach, o skarbach. Czy ktoś z was próbował porozmawiać z Franciszkiem o tym, co go trapi, co go boli? Dlaczego ma swoje „złe dni”, jak wy to nazywacie? Teraz czeka go emerytura. I samotność. Zupełna samotność. Przecież ten człowiek nie ma nikogo bliskiego. Jak opuści pracę, skończy się dla niego wszystko.

Zerknąłem na ścianę namiotu. Cień mojej głowy miał kształt bulwy ziemniaka, który przed kilkoma dniami skrobał Franciszek.

„Dziewczyna ma racje – pomyślałem. – Dla Andrzeja tylko ci ludzie są interesujący, którzy mają dwa tysiące lat i można ich odkopać razem z zabytkami. A ja?... Mnie interesują tylko ludzie dziwaczni i tajemniczy. A przecież Franciszek nie kryje w sobie żadnej tajemnicy”.

Zaprosiłem dziewczynę na szklankę herbaty. O krok od namiotu owionął nas zimny wiatr. Kotłowało się jezioro, przy brzegach szarzała w mroku biała piana. Na brzegu nie znalazłem swego składaka i prawie z przyjemnością wyobraziłem sobie, jak okropnie potrafi wiatr przeniknąć ubranie, gdy płynie się po odkrytej płaszczynie jeziora.

W kuchni, wokół rozgrzanego szyszkami piecyka, siedziało na sosnowych dragach nasze obozowe towarzystwo. Byli podobni do wielkich sów – nieruchomi i skurczeni, bo od piecyka buchało ciepło, a w plecy zawiewał zimny wiatr. Las grzmiał jakieś wspaniale „vivace”⁴⁹, Krzysztof trzymał na kolanach „szarotkę”, która transmitowała „Patetyczną” Czajkowskiego.

Grzaliśmy dłonie na gorących szklankach. Jaśniały w ciemności piękne włosy Agnieszki. Pochyliłem twarz do ucha Krystyny i poznałem piękny zapach jej policzków. Był on trudny do określenia, jakby migdały i anyżek. Anyżkiem pachniała zawsze babcia-staruszka, a Krystyna była młodziutką dziewczyną. Zapach anyżku rozśmieszył mnie. Muzyka brzmiała bardzo tragicznie, a mnie, może z winy owego anyżku, przyszedł do głowy zupełnie niemądry pomysł. Przeraziłem się. Czyżbym upodobił się do Chudego Genka?

Szepnąłem Krystynie:

– Pani naprawdę wie, kto ukradł trzecią wazę?

Kiwnęła głową.

– Kto?

Milczała.

– Niech pani powie.

Odwrociła ode mnie głowę i odpowiedziała po cichu:

– Jeśli będzie mi naprawdę zależało, żeby pan pojechał ze mną na wycieczkę, to powiem. Pan odkryje złodzieja i wówczas, zgodnie z obietnicą, w przyszłym roku spotkamy się na kajakach.

Westchnąłem. Mój Boże, co będzie za rok? W ciągu roku ta smarkula z pewnością pozna kogoś miłszego i lepszego ode mnie, a ja będę czekał cierpliwie nadejścia wakacji i tęsknił, i wzdychał. Nie, nie ma głupich. Przypomniałem sobie przestrogi Eddy: Nie wierz świetności dnia, ani uśpionej żmii...

Udałem, że szukam w kieszeniach papierosów, ale ich nie znalazłem. Wstałem i poszedłem do swego namiotu. Lecz ominąłem go z daleka i skoczyłem na brzeg. Zsunąłem kajak Krystyny. Zachlupotała pod nim woda, bryzgi piany chlusnęły mi w twarz. Po jeziorze szły wysokie, ostre fale. Ledwo odbiłem od brzegu, poczęło rzucać kajakiem na wszystkie strony.

Wiatr dął na mnie z prawego boku, trudno mi było ustawić się dziobem do fali. Ciągłe spychało mnie w lewo, wyspa przesuwiała się gdzieś na prawo, w głąb czarnej pomroki.

Prawie pół godziny wojowałem z wiatrem i falami, zanim spód kajaka otarł się o mieliznę przy wystającym cyplu wysepki. Na szczęście nie musiałem długo szukać swego składaka. Reporter, zaszyty przed wiatrem w gęstwinie krzaków, ani się spodziewał mojej wizyty.

⁴⁹ Vivace (wł.) – część utworu muzycznego, grana w szybkim tempie.

Mój składak miał na dziobie niewielkie kółeczko. Przewlokłem przez nie sznurek, przyholowałem składak na cypel, przywiązałem do kajaka Krystyny i popłynąłem z powrotem.

W połowie drogi jakby opuściły mnie siły. Podałem się wiatrowi, który pchał mnie do brzegu. Ale fale biły z boku, wściekle, zachłannie sięgające aż do wnętrza kajaka.

Brzeg był blisko. Zdawało się, że można go dosięgnąć wiosłem. Wychyliłem się, a wówczas kajak podskoczył jakoś krzywo, zjechał we wgłębienie fal i przewrócił się. Wpadłem głową w wodę. „Zegarek, zegarek” – myślałem rozpaczliwie. Wydawało mi się, że zapadam się kilkanaście metrów w głąb toni – ubranie i buty ciągnęły mnie na samo dno. Miałem opinię dobrego pływaka. Ale dopiero gdy zacząłem płynąć, okazało się, że wywróciłem się na płyciźnie, woda sięgała mi zaledwie do pach.

Wylazłem na brzeg. I teraz dopiero odczułem, jak bardzo jest zimno. Wyciągnąłem kajaki i umieściłem je na brzegu. Potem pomknąłem do swego namiotu; a woda w moich butach sapała tak głośno, że słychać mnie było chyba o pięćdziesiąt kroków.

Oczywiście natknąłem się na Krystynę.

– Gdzie pan był? Co się stało?

Nie potrafiłem wyrzec ani słowa. Szczeki mi latały, zęby podzwaniały. Woda ciekła mi z włosów, z nogawek, z rękawów swetra.

– Z... z... z... z... ze... ga... rek – bzycałem jak osa.

Skostniałymi palcami mozolnie rozpinąłem guziki koszuli. Z zimna aż w skroniach mnie bolało. Mokre ubranie wyrzuciłem precz z namiotu, wcisnąłem się w śpiwór, zapiąłem go pod brodą. Leżałem drżący mamrocząc coś o zegarku, który pewnie zamókł i zacznie źle chodzić.

Krystyna przyniosła z kuchni gorącej herbaty. Potem obdarowała mnie trzema pastylkami aspiryny.

– Nic panu nie będzie – oświadczyła.

– Bła...a...gam o tajemnicę.

– Ech, te pańskie wieczne tajemnice. Że też to się panu nie znudzi.

Poprosiłem, żeby obejrzała mój zegarek. Stwierdziła, że jest wodoszczelny i że nie mam powodu do zmartwień.

– Wodoszczelny? – ucieszyłem się. – A ja o tym nie wiedziałem. Pani jest fantastycznie inteligentną dziewczyną.

– A pan, co? Chory? Na kąpiel się panu zebrało?

– Ta...ta...ta...tak.

O drugiej w nocy zbudził mnie Andrzej.

– Słuchaj, ten reporter znowu gdzieś przepadł. Porwali go czy jak? Przepadł. A wraz z nim zniknęła moja latarka elektryczna, dwa koce, śpiwór.

Byłem okropnie oburzony.

– Co??? To z niego taki cwaniak? Koce i śpiwór ze sobą zabrał? Koniec świata. Że też tylko jego jednego porywają...

I jeszcze głębiej zaszyłem się w śpiwór.

* * *

Rano, gdy myliłmy się nad brzegiem jeziora, Paweł zauważył na wyspie osobnika, który jak rozbitek na szczątkach strzaskanego statku machał ku nam białą koszulą uczeponą do długiej gałęzi. Paweł „skoczył” na wyspę kajakiem Krystyny.

Reporter był zachrypnięty; mówił ledwo dosłyszalnym szeptem. Pół nocy krzyczał, ale wiatr porywał jego głos i topił we wzburzonym jeziorze. Zmarł, miał twarz bladą, wymęczoną, a pod oczami czarne koła.

– Był taki silny wicher, że kajak mi porwało z brzegu wyspy i aż tutaj przyniosło – powiedział zauważywszy mój składak u naszych brzegów. – Zapewne z powodu straszliwej wichury nie przybył na wyspę ten dziwny osobnik – dodał z głębokim przekonaniem.

Oczywiście wszyscy, nie wyłączając poczciwego Stroma, domyślili się, że reporterowi zgotowano brzydki kawał.

Strom powiedział, powołując się na mądrość Eddy Starej:

...Niech każdy będzie mądry z umiarkowaniem, niech nie będzie nadto roztropny; niechaj nie szuka swego przeznaczenia, jeśli chce spać spokojnie.

ZAKOŃCZENIE

...I znowu szkielet Gota zatopionego w bagnie. Przy wojowniku nie odnaleźliśmy miecza – może go zgubił w walce?

Obok szkieletu wykopano z bagnistej ziemi zniszczony skórzany wór. A w worze szczerozłoty dzban uchaty i kilka klamer do pasa. Klamer drogocennych, zdobionych emalią i wysadzanych almandynami. Takie same klamry znajdowały się w skarbie Atanaryka odkrytym koło Pietroasa. Nie mieliśmy już wątpliwości. To z tego wora wysypały się złote wazy i zapadły w bagno – o kilka kroków od tego, kto je niósł aż z dalekiego Siedmiogrodu. Potem gdy kopano drogę i budowano most – inżynier i Rzynda odnaleźli złoty kubek i trzy złote wazy. My staliśmy się odkrywcami pozostałej części skarbu. Nam przyszło także rozwikłać tragiczną zagadkę w historii Wizygotów.

Po południu tego samego dnia zjawił się w naszym obozie rolnik, który miał kawałek pola po drugiej stronie jeziora. Pole leżało odłogiem już prawie siedem lat. Rolnik ów postanowił je zorać pod żyto. Na świeżo spulchnionej ziemi zauważył wiele ogromnych czarnych plam, jakby ślady palonych kiedyś ognisk. Pole znajdowało się zapewne na miejscu istniejącej tu ongiś osady. Wszędzie wałały się drobniutkie kawałki ceramiki. Podczas pobieżnego obejrzenia pola Andrzej podniósł z ziemi fibulę pochodzącą z końca III wieku. Kształt fibuli pozwalał określić ją jako prasłowiańska, wenedzką. Osada ta była więc chyba prasłowiańska.

Oczywiście jedno znalezisko jeszcze o niczym nie pozwalało wyrokować. Dokładne zbadanie osady wymagało wielu miesięcy dodatkowej pracy, na którą w tym roku nasza, ekspedycja nie mogła sobie pozwolić. Wolno nam jednak było przyjąć hipotezę. Chwyciłem się jej tym gorliwiej, że wydawała się piękna i historię skarbu Atanaryka doprowadziła do logicznego końca.

Pod twierdzą Kaukaland trwał zaciekle bój Wizygotów z Hunami. Klęska Gotów była nieuchronna – w takiej chwili zdecydował Atanaryk rozdzielić skarb swego plemienia. Część skarbu zakopano koło Kaukaland, z drugą zaś częścią grupka gockich wojowników usiłowała przedrzeć się przez wojska nieprzyjacielskie. W zamieszaniu bitewnym Atanaryk i gromada wiernych mu druhów odłączyła się od ludzi broniących skarbu. Wróg nacierał coraz silniej. Atanaryk uciekł w jedną stronę, drobna gromadka unosząc skarb pomknęła w drugą.

Po klęsce pod Kaukaland ziemie Wizygotów opanowane zostały przez Hunów. Pozostawała więc tylko jedna droga – na zachód, dokąd wędrowało wiele gromad ludzkich gnanych strachem przed Hunami. Ku zachodowi powędrowała również grupa Gotów z uratowaną w boju częścią skarbu Atanaryka.

W najcięższych chwilach człowiek skłonny jest wspominać czasy szczęśliwe i pogodne. Wieczorami przy ognisku radzili, dokąd skierować swoje kroki, gdzie szukać nowej ojczyzny. Kto wic, czy w starych podaniach przekazywanych z pokolenia w pokolenie nie przetrwała opowieść o ziemi, gdzie Gotom żyło się spokojnie, o kraju nad Wisłą, pełnym wzgórz i jezior? W tym kraju spoczywali w kamiennych mogiłach przodkowie Wizygotów...

I zamiast iść na niepewne, gdzieś na zachód, zdecydowali wędrować ku północy, do ujścia Wisły, na opuszczone niegdyś pielesze, uświęcone prochami ojców.

„...Najazd Hunów na Europę w IV stuleciu, a w szczególności rozbięcie przez nich państwa Ostrogotów nad Czarnym Morzem w 375 roku, rozpoczyna długi okres niepokoju w naszej części świata... Uchodzące przed azjatyckimi zdobywcami i szukające nowych siedzib gromady Gotów, a zapewne i innych niegermańskich szczepów znad Czarnego Morza, wędrują częściowo też przez ziemie Polski ku zachodowi, wymuszając przemarsz z bronią w rękę...” – pisze Józef Kostrzewski w książce „Pradzieje Polski”.

...Szli długo, prowadziła ich Wisła. Ginęli w ciągłych potyczkach, topniała ich niewielka gromada. A kiedy stanęli nad jeziorem u stóp wzgórza, na którym zalegało cmentarzysko, gdy zobaczyli kamienne kurhany i długie stele na grobach – wówczas okazało się, że opuszczone przez nich ziemie mają już nowych mieszkańców. Po drugiej stronie jeziora dymiły domy słowiańskich Wenedów, na wzgórzach pasło się bydło i stada koni.

W niepamięci utonęły zawierane ongiś układy między królami gockich plemion i wodzami plemion wenedzkich. Stanęli do walki – garstka gockich wojowników i mieszkańcy osady słowiańskiej. Walczyli długo, aż od ciosów miecza omdlały im ręce, aż popękały drewniane, obite skórą tarcze. Krok za krokiem cofali się wzdłuż jeziora w stronę rozlewisk i bagien. Spróbowali ucieczki i może któremuś z nich udało się umknąć z kraju, który tym razem okazał się tak niegościnnie? Zdradliwe były wspomnienia przeszłości, zdradliwa była także topiel nad jeziorem.

Złotymi naczyniami i klejnotami odkopanymi koło Pietroasa bawiły się wiejskie dzieci. Alfred Rzynda w złotych naczyniach hodował figusy. „Jestem nienaruszalnym skarbem Gotów” – głosił napis na skarbie Atanaryka. Lecz uczy Edda Stara:

Bogactwa mijają w mgnieniu oka, trzody giną, krewni umierają, przyjaciele są śmiertelni i każdy z nas umrze, atoli istnieje coś, co nie zamrze: jest to zdanie o zmarłych...

Agnieszka, Strom, Zosia, Roman i Paweł dokonywali próbnym sondażu na miejscu dawnej osady prasłowiańskiej. Andrzej, ja i reporter z tygodnika wróciliśmy do obozu.

Był wieczór. Chłodny i wietrzny jak poprzedniego dnia. Basia i Krzysztof pitrasili kolację na spirytusowej maszynie przed swoim namiotem. Krystyna krzątała się z Franciszkiem koło

żelaznego piecyka w kuchni. Franciszek miał wspaniały humor. Po raz pierwszy na obozie usłyszałem jego śmiech. Wałkował ciasto na ostruganej desce. Krystyna wycinała z ciasta jakieś kostropate osoby. Potem kładła je na blaszce, a one pod wpływem gorąca wydymały się, stawały się brzuchate, śmieszne.

– To jest Herr Strom – pokazywała Franciszkowi ogromną kukielkę z głową jak bania i z rękami do ziemi. A to, widzi pan, jest Herr Thomas.

Okazało się, że jestem podobny do długonosego bociana i mam nóżki jak karzełek, brzuch zaś pękaty jak tłumok.

– A to będzie pani Agnieszka – roześmiany Franciszek podawał Krystynie wyciętą z ciasta osóbkę, która na blaszce zyskała ogromną głowę. Głowa ta zaraz pękła, wypuszczając kłąb pary jak zgnieciona purchawka.

Andrzej wszedł do swego namiotu, a po chwili wyskoczył z niego jakby przestraszony. Szybkim krokiem podszedł do Basi pochylonej przy kuchence.

– Od jak dawna państwo jesteście w obozie?

– Piętnaście... no, może dziesięć minut nie minęło, jak wróciliśmy z, wycieczki. Czy stało się coś?

Andrzej nie odpowiedział. Spojrzał w stronę kuchni, a potem wolniutko zawrócił do namiotu.

Reporter mył ręce w jeziorze. Teraz wszedł do namiotu Andrzeja i po chwili wybiegł, trzymając jakiś przedmiot.

– Panie Andrzeju, to przecież złota waza, prawda?

Rzuciłem się biegiem do reportera. Ale Andrzej uprzedził mnie.

– Tak. To jest trzecia złota waza. Ta, którą ukradziono Rzyndowej.

– Ostrożnie, panie Andrzeju – krzyknął reporter. – Być może na wazie zostały odciski palców złodzieja.

I teraz stało się coś zdumiewającego.

Andrzej wyciągnął z kieszeni chusteczkę do nosa i zanim ktokolwiek zdołał zaprotestować, starannie wytarł złotą wazę.

– Co pan robi? – oburzył się reporter.

Andrzej wycierał i wycierał.

– Pan wie, kto jest złodziejem? – pytał reporter.

– Wiem. Ale to nie ma żadnego znaczenia.

I obojętnym gestem podał mi wazę.

– Spójrz, Tomaszu, jaka ona piękna...

Była mała, mniejsza od pozostałych. Można ją było objąć dwoma dużymi dłońmi. Złote ściany wypełniał rysunek przedziwnych roślin. A między roślinami, jakby z dna naczynia wyciągał łeb wielki orzeł o zakrzywionym dziobie, z długimi, chciwymi szponami, którymi sięgał po gałązkę winnej latorośli.

Więc to Franciszek? – ta myśl wstrząsnęła mną. Bo wystarczyło pomyśleć „Franciszek” i wówczas wszystko stawało się jasne i zrozumiałe. Tylko że nigdy nikt z nas osoby starego kucharza nie włączał w krąg podejrzeń.

Franciszek odwiedzał Rzyndową w sprawach zakupu ziemniaków i świeżych jarzyn. Wiele lat pracy w muzeum i na wykopaliskach wyczuliły jego oko na różnego rodzaju znaleziska. Spostrzegł figusy, którymi zapewne pochwaliła się Rzyndowa, i od razu zauważył, że doniczki są ze złota. Stała mu w oczach starość – pusta, biedna, bezradna. Może z początku nie przypuszczał, że doniczki mają wielką wartość użytkową? Ukradł w nocy wazę z figusem. A potem? A potem było za późno na odwrót.

Później już tylko starał się zamaskować własne ślady. Czy to nie on pierwszy rozpuścił wieść, że duch Alfreda nawiedza Rzyndową? Opowiadano, że złodziej był w białym stroju. W białym kitlu kucharskim ciągle chodził Franciszek. Czy to nie on pokłócił się z Andrzejem, gdy ten chciał Rzyndowej dać stare puszki na doniczki do figusów? A te jego dziwne wywody o zasługach złodzieja, o bezużyteczności złotych zabytków w szklanych szafkach muzeum?... Może tak właśnie myślał, gdy dokonał kradzieży. W ten sposób uspokajał swe sumienie, dopóki Andrzej nie powiedział, że Franciszek ma opinię najuczciwszego z ludzi. To był chyba przełomowy moment. Tego dnia zapewne zdecydował się podzucić nam złotą wazę. I zrobił to dzisiaj.

„Złe dni” Franciszka – cierpienie człowieka, który pod koniec uczciwego życia popełnił przestępstwo. Jakież inny wydał mi się dzisiaj – wesoły, pogodny.

Krystyna wiedziała, kto ukradł figus. Potrafiła zbliżyć się do Franciszka, zdobyć sobie jego zaufanie. Czy wyznał jej swoją winę? Wątpliwe. Raczej domyśliła się jej intuicją, dziewczęcym sprytem.

Andrzej wytarł chusteczką złote ściany wazy. Teraz nikt nie dowie się prawdy o złodzieju. Nie naszą sprawą jest sądzić tego starca. On sam siebie już osądził, skoro odzyskaliśmy złote naczynie.

Nie ma cnotliwego bez błędu, nie ma występnego bez cnoty – uczy Edda Stara.

Ognisko płonęło wielkim, migotliwym płomieniem. Kiedy uderzał w nie wiatr, buchało ogniem jak piec kowalski. Iskry biegły gdzieś wysoko, wysoko, goniąc się wzajemnie, gasnąc i zapalając. Huczały palące się polana, trzaskały suchutkie gałązki świerku, dudnił od wiatru las.

Poprosiłem Stroma, aby zaśpiewał nam poemat „Woluspa”. Znałem go z przekładu Lelewela – ponury, groźny utwór, pełen krwawych opowieści o starych germańskich bogach, wieszczący ponury los ludzkości. Strom śpiewał w oryginalnym języku Eddy, a był ten poemat jakby podobny do Apokalipsy.

...Milczcie a słuchajcie. Świętego rodu, więksi i mniejsi, towarzysze Heimdalla. Walfodura sztuki chcę opowiedzieć, starców dawne powieści. Nic dawniejszego nie znam...

...Dawny jest wiek, gdy Ymer żył, ni piasku, ni morza, ni wiatru nie było, pusta jeno przestrzeń i ni źdźbła trawy.

...Nim Bore syny dźwignęły grunt i warowny Midgrod gotowy był, gorejące ukazało się słońce, na kamieniach budowy posada stała się zieloną, od zielonych porostów lśniącą.

...Słońce rzuciło światło, księżyc biegł po prawej stronie u bram nieba. O swoim domu nie wiedziało słońce, księżyc nie znał swojej mocy.

...Święty jesion Iggdasill, wiem, gdzie stoi błyszczący i bogaty; rosa z niego na doliny ścieka. Nie uszkodzony rośnie on w studni przeszłości.

...Trzy dziewice wystąpiły, wiele wiedzące. Przeszłość – Urd – zowie się jedna, druga terażniejszość – Yeranda – szybka jest na łyżwach, trzecia z nich, Skulda, czyli Przyszłość.

...Nadały i wybrały prawa. Los stanowiący o dzieciach czasu. Wiecież co więcej? I co? Wiem o pierwszym na świecie ludów mordzie, gdy chciwość złota powstała i nawet przybytki Wyniosłego podpałiła.

...Odin rzucił między lud broń, stąd był pierwszy mord na świecie. Zburzone były, popsute i połamane ściany grodu Asów.

...Biją się i zabijają bracia! Pokrewni związki krwi potargają, niedole i cudzołóstwo częste, kruszą się tarcze, czas dziczy i zawieruchy pełen. Tak nadchodzi koniec świata. Człowiek nie oszczędzi człowieka.

...Cóż wy, Asy? Co wy, Alfy, drży świat olbrzymi. Asy się gromadzą, jęczą karły w swych kamiennych kryjówkach. Wiecież co więcej? I co?

...Patrzcie, oto stoi dom opodal słońca, tam pod Nastrond, z drzwiami na północ. Krople trucizn z okien spadają, z kolców ostrych zbudowany; jest on mieszkaniem węzów.

Patrzcie, przez bystrą rzekę przepływają winowajcy, krzywoprzysięzcy i mordercy, tam ciała zmarłych szarpie i płata Ten, co Przeszłość kęsa. Wiecież co więcej? I co?...

Strom umilkł. Podmuch wiatru, jakby wielką pieśnią uderzył w ognisko. Na cmentarzysku zajęczał krzywy pień starej sosny.

Wiecież co więcej? I co?

KONIEC